TRZECIA DROGA OPOZYCJI

Z BIBLIĄ NA PLAŻĘ

AWANTURA O NADPRZEWODNIK

PJ HARVEY WRACA DO DOMU

Kraków 16–22 sierpnia 2023 nr 34 (3867) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Naród ma humory

JOANNA KOŁACZKOWSKA Z KABARETU HRABI

STRONY SPECJALNE
CHOPIN
I JEGO EUROPA 2023

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

Dziękujemy, że czytasz „Tygodnik Powszechny”

Chcemy odważnie prowadzić Cię przez świat, zachęcając do patrzenia na zmieniającą się dynamicznie rzeczywistość z różnych perspektyw. Niektóre treści wymagają natychmiastowej publikacji, dlatego z myślą o Twoim komforcie zmieniliśmy wygląd serwisu TygodnikPowszechny.pl

Kupując roczną prenumeratę wydania papierowego w cenie 550 zł za 49,99 zł otrzymasz także na cały rok:

- dostęp online do aktualnych i archiwalnych numerów obejmujących ostatnie 20 lat publikacji Twojego ulubionego pisma: sprawdź, o czym pisali na naszych łamach Stanisław Lem, Ewa Szumańska, Czesław Miłosz, Olga Tokarczuk, Andrzej Stasiuk, Dorota Masłowska i inni.
- dostęp do autorskiego serwisu Wojciecha Jagielskiego: trzymaj rękę na pulsie bieżącej polityki międzynarodowej i nie przegap niczego, co dzieje się w najdalszych zakątkach świata i ma wpływ na Twoją rzeczywistość.
- dostęp do autorskiego serwisu Anity Piotrowskiej z poleceniami najlepszych filmów na VoD w każdy weekend. Koniec z wielogodzinnym przeglądaniem serwisów streamingowych, oglądaj dobre kino i oszczędzaj swój czas.
- dostęp do serwisów specjalnych, które przygotowali dla Ciebie nasi redaktorzy: zdrowie, edukacja, książki, klimat i wiele innych. Poszerzaj wiedzę i zgłębiaj interesujące Cię tematy.
- dostęp do wszystkich odcinków naszego podkastu: bez reklam. Dołącz do 80 tys. naszych słuchaczy.
- dostęp do bieżących komentarzy swoich ulubionych dziennikarzy i dziennikarek. Czytaj obiektywne, rzetelne teksty i rośnij z nami.

Wybierz „Tygodnik” Papierowy+cyfrowy na TygodnikPowszechny.pl/sklep

prenumerata roczna na „Tygodnik” papierowy: 550,00 zł
prenumerata roczna na „Tygodnik” papierowy + cyfrowy: 599,99 zł

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Biblia podkręcona aniołem*

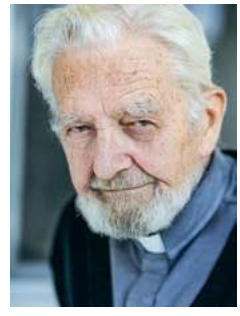

Pani profesor Kalina Wojciechowska w rozmowie z Zuzanną Radzik („Z Biblią na plażę”) podaje nam doskonałe wskazówki, jak czytać Pismo Święte. Nie jestem tak szalony, by kompetentne wskazówki pani profesor komentować czy uzupełniać. Zresztą wskazówki te nie są kategoryczne. To są rady, które zostawiają duży margines własnej inicjatywie. Wciąż jest tam niedopowiedziane, ale obecne: „zrób, jak uważasz, wiedz, dlaczego to robisz”.

Zastanawiam się, czy ktoś mnie kiedykolwiek pytał o to, o co w rozmowie pyta Zuzanna Radzik. Pewnie tak, ale na pewno nie w taki sposób. Wcale nie tak dawno czytanie Biblii bynajmniej nie było powszechnie zalecane. W dodatku panowało u nas przekonanie, że Biblię należy przeczytać od początku do końca, jak każdą książkę. Nic więc dziwnego, że wielu ugrzęzło grubo przed połową. Nawet natchnione teksty bywają różne, tekst tekstowi nie jest równy. Co więcej, teksty Starego i Nowego Testamentu były pisane w określonych okolicznościach i w konkretnych celach, były pisane w sposób, w jaki się wtedy pisało, dlatego nie da się ich czytać tak, jak pisanych dzisiaj książek historycznych. Nie chcę powtarzać tego, co mówi pani Wojciechowska, ale jedno przywołam: są fragmenty czy nawet księgi po prostu źle napisane, i są napisane dobrze, są spore fragmenty kiedyś ważne, dziś prawie nieczytelne i nużące, są księgi napisane z talentem i takie, których autorzy talentem się nie wyróżniali.

W dokumencie ostatniego soboru czytamy: „Ponieważ zaś Bóg w Piśmie św. przemawiał przez ludzi, na sposób ludzki, komentator Pisma św., chcąc poznać, co On zamierzał nam oznajmić, powinien uważnie badać, co hagiografowie w rzeczywistości chcieli wyrazić i co Bogu spodobało się ich słowami ujawnić. Celem odszukania intencji hagiografów należy między innymi uwzględnić również »rodzaje literackie«. Całkiem inaczej bowiem ujmuje się i wyraża prawdę w tekstach historycznych rozmaitego typu, czy prorockich, czy poetyckich, czy innego rodzaju literackiego. Musi więc komentator szukać sensu, jaki hagiograf w określonych okolicznościach, w warunkach swego czasu i swej kultury zamierzał wyrazić i rzeczywiście wyraził za pomocą rodzajów literackich, których w owym czasie używano. By zdobyć właściwe zrozumienie tego, co święty autor chciał na piśmie wyrazić, trzeba zwrócić należytą uwagę tak na owe zwyczaje, naturalne sposoby myślenia, mówienia i opowiadania, przyjęte w czasach hagiografa, jak i na sposoby, które zwykło się było stosować w owej epoce przy wzajemnym obcowaniu ludzi z sobą” (Dei Verbum 12).

Jak widać z tego fragmentu, niełatwe jest ustalenie, co jest efektem natchnienia, a co po prostu tworzywem literackim niemającym wiele wspólnego z objawionym charakterem tekstu. Oczywiście, pozostaje sprawa rozeznania się w jakości tekstu. Czy np. opisy narodzenia Jezusa w Betlejem i związanej z tym całej aktywności anielskiej należy odczytywać jako relację historyczną? Mam wrażenie, że obrośnięte cudownościami fragmenty Ewangelii, nie mówiąc o Starym Testamencie, utrudniają wiarę dzisiejszemu człowiekowi. Wiadomość, że to autorska inicjatywa kazała jakieś wydarzenie w Ewangelii lekko (czy nie tak znów lekko) podkręcić przy pomocy aniołów czy innych niezwykłych atrybutów, jest wspaniałym odciążeniem naszej wiary wieku XXI.

Czas najwyższy, żeby się nauczyć czytać Biblię. Z tym wszystkim, co dziś już wiemy o Biblii i świecie. Czytać według wskazań pani prof. Kaliny Wojciechowskiej. Albo nawet jakoś inaczej, byle czytać. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego”.

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.

zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

26 Katalog rozbieżności
MAŁGORZATA SOLECKA
Na drodze opozycji do władzy może stanąć nie tylko PiS, ale też własny brak chęci do współpracy.

46 Po dwóch stronach jednego morza
MARCIN ŻYŁA
Drastycznie wzrósł ruch migrantów przez Morze Śródziemne: po trzech nieco spokojniejszych latach kapitanowie statków handlowych znów meldują o niesionych przez wodę ciałach.

34 Z Biblią na plażę
ROZMOWA Z KALINĄ WOJCIECHOWSKĄ:
Biblia pokazuje, że z Bogiem można dyskutować. Wcale nie musimy przyjmować ugrzecznionej postawy.

60 Awantura o nadprzewodnik
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Niepozorna szara płytka, częściowo lewitująca nad magnesem, podzieliła świat nauki.

72 Między słowami
BEATA CHOMĄTOWSKA
Najnowsza płyta PJ Harvey czerpie z wierzeń, przesądów, ludowych pieśni i dziecięcych rymowanek. Ile w tym jest jej samej?

84 Zdjęcia urodzinowe
ROZMOWA Z WOJCIECHEM PLEWIŃSKIM:
Pod wodą każdy ułamek sekundy ma ogromną gęstość. Skondensowane przeżycie, za którym się tęskni i które się śni.

ARTUR SZCZEPAŃSKI / REPORTER // YASSINE GAIDI / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES // DING TING / XINHUA / AFP / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // CAPITAL PICTURES / FILM STILLS / FORUM // PIXABAY.COM

6 Porządki ministra Czarnka
ŁUKASZ KWIATEK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Zawód: ekolog
KRZYSZTOF STORY:
Polscy aktywiści czują się wypaleni

23 Nasze drogie drogi
PIOTR WÓJCIK:
Za bezpłatne autostrady przyjdzie słono zapłacić

26 Katalog rozbieżności
MAŁGORZATA SOLECKA

29 Nastolatki to, nastolatki tamto
ROZMOWA Z JACKIEM PYŻALSKIM: *W temacie dzieci i młodzieży za wiele czasu zajmuje nam walka ze złem*

WIARA

34 Z Biblią na plażę
ROZMOWA Z KALINĄ WOJCIECHOWSKĄ

38 Dzieci Alego
MARCELINA SZUMER-BRYSZ:
Kim są alawici, piąta część mieszkańców Turcji?

41 Ksiądz przyszłości
ARTUR SPORNIAK:
Franciszek nie chce klerykałów i światowców – wynika z jego listu do rzymskich kapłanów

ŚWIAT

46 Po dwóch stronach jednego morza
MARCIN ŻYŁA

TEMAT TYGODNIKA

KAMILA MARKIEWICZ-LUBAŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

12 Naród ma humory
JOANNA KOŁACZKOWSKA:
Gdy na scenie szaleję, los stawia mnie przed wyborem: kabaret albo życie

DODATEK

65 CHOPIN I JEGO EUROPA 2023

FELIETONY

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI
45 WOJCIECH BONOWICZ **64** JACEK PODSIADŁO
82 OLGA DRENDA **83** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
91 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: JOANNA KOŁACZKOWSKA
FOTOGRAFIA: KAMILA MARKIEWICZ-LUBAŃSKA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

50 Pokój, wolność, Rosja
ULA IDZIKOWSKA:
Kreml próbuje stworzyć w Europie antywojenną koalicję. Głównym celem są Niemcy

53 Czas rozliczeń
TOMASZ OTOCKI:
Litewscy katolicy również chcą skutecznego karania przestępców seksualnych

HISTORIA

56 Zaszczuli Hrycia
MYKOŁA RIABCZUK:
Jak KGB zniszczyło ukraińskiego poetę

NAUKA

60 Awantura o nadprzewodnik
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KULTURA

72 Między słowami
BEATA CHOMĄTOWSKA

76 Czyje to Wilno
PIOTR KOSIEWSKI:
Krakowska wystawa o mieście symbolu

78 Jest, gdzie było
DOROTA KOZIŃSKA:
Wenecka La Fenice nieraz odradzała się z popiołów

80 Zatruta studnia
ANITA PIOTROWSKA
o „Bestiach" Rodrigo Sorogoyena

81 Davos na Sycylii
LEKTOR *o książce „Opowieść siewcy zarazy" Gesualdo Bufalina*

ZMYSŁY

84 Zdjęcia urodzinowe
ROZMOWA Z WOJCIECHEM PLEWIŃSKIM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
Autorzy nowego podręcznika do historii prowadzą przez propagandę Kremla. Także dotyczącą inwazji na Ukrainę
– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Punkt zwrotny [Podkast]
Jakimś fuksem poradziłem sobie z pewnym kryzysem. Bo były kryzysy. I sytuacje, w których człowiek chciał przestać to robić
– opowiada **GRZEGORZ TURNAU** | tygodnikpowszechny.pl/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PORZĄDKI MINISTRA CZARNKA

W asyście kreacjonistów, antyszczepionkowców i klimatycznych denialistów minister edukacji zapowiedział likwidację Narodowego Centrum Nauki i reformę systemu państwowych dotacji na badania.

ŁUKASZ KWIATEK

POWYŻEJ:
Minister Przemysław Czarnek podczas sympozjum „Bóg – Człowiek – Świat" w Starym Sączu, 4 sierpnia 2023 r.

Polscy naukowcy pozyskują środki na prowadzenie badań przede wszystkim z trzech państwowych agencji grantowych: Narodowego Centrum Nauki, Narodowego Centrum Badań i Rozwoju oraz Agencji Badań Medycznych. Zgodnie ze stanowczą, choć mało szczegółową zapowiedzią Przemysława Czarnka po jesiennych wyborach rząd planuje likwidację tych agencji i zastąpienie ich jedną instytucją.

O tym, skąd te plany się wzięły i czym grożą polskiej nauce – za chwilę. Najpierw przyjrzymy się okolicznościom, w jakich Czarnek je przedstawił. Od 31 lipca do 5 sierpnia trwało w Starym Sączu sympozjum „Bóg – Człowiek – Świat", zorganizowane pod patronatem ministra edukacji, na którym wygłosił on referat o wyzwaniach polskiej oświaty i nauki – i to w nim wspomniał o reformie. W programie tej samej imprezy znalazło się wystąpienie dominikanina i teologa dr. Michała Chaberka, reprezentującego Fundację En Arche, aktywnie działającą na niwie rozpowszechniania pseudonauki. Chaberek to bodaj najbardziej zagorzały polski zwolennik koncepcji tzw. inteligentnego projektu, negującej podstawowe ustalenia współczesnej biologii (że zachodzące losowo mutacje genetyczne są siłą napędową biologicznej ewolucji). W konferencji wziął udział także Marek Stefaniak, przedstawiony jako profesor Uniwersytetu Kolońskiego, który w swoim wystąpieniu podważał wpływ człowieka na zmiany klimatyczne. O Stefaniaku wiadomo niewiele – poza tym, że nie jest profesorem, na Uniwersytecie Kolońskim nie pracuje, tylko przed laty obronił

tam doktorat, a według bazy Google Scholar w jego dorobku znajdują się dwie prace poświęcone półprzewodnikom. Uczestnikom konferencji wyświetlono też film „Władcy Świata. Bill Gates", przygotowany przez portal Polonia Christiana. Jego przesłanie otwiera oczy: rozwój nowych szczepionek, także tych przeciw COVID-19, nad którymi badania finansował Gates, ma służyć depopulacji.

BY UNIKNĄĆ NIEDOMÓWIEŃ: już sam patronat ministra edukacji i nauki nad takim wydarzeniem jest skandalem domagającym się wyjaśnienia, a jego uczestnictwo w tej konferencji – kompromitacją, po której obdarzony choć śladowym poczuciem wstydu polityk podałby się do dymisji. Ale do nieukrywanej sympatii polityków prawicy wobec pseudonaukowych i spiskowych teorii pewnie już przywykliśmy. W środowisku akademickim dużo więcej uwagi poświęca się zapowiedzianej przez Czarnka reformie systemu finansowania badań.

Jako pierwsza te plany nagłośniła w „Gazecie Wyborczej" Małgorzata Domagała, która zdążyła wysłuchać na ministerialnym kanale na YouTubie nagrania referatu Czarnka ze Starego Sącza, zanim film zniknął z sieci. Można by się zastanawiać, czy ten osobliwy zabieg nie świadczy o tym, że minister po cichu wycofuje się ze swych zapowiedzi, ale przecież Czarnek już wcześniej dawał do zrozumienia, że nie po drodze mu z przynajmniej jedną agencją grantową – NCN-em.

Bezpośrednio przed wystąpieniem w Starym Sączu wystosował do niej nawet „oficjalne i stanowcze pismo". Podkreślił w nim, że NCN jest instytucją „całkowicie autonomicznie rozstrzygającą konkursy na granty". To zasłużone komplementy – NCN faktycznie działa wedle standardów cywilizowanego świata: o podziale środków decydują tu panele ekspertów złożone głównie z zagranicznych badaczy. I właśnie to wydaje się nie do zaakceptowania dla ministra, który potępił „absurdalne rozstrzygnięcie" jednego z konkursów NCN-u. W kategorii nauk humanistycznych finansowanie w wysokości ok. 750 tys. zł uzyskał projekt zatytułowany „Transkobiecość i sadomasochizm/BDSM. Związki i napięcia w polu produkcji płci".

Nie wiem, jakie kompetencje ma minister Czarnek, by oceniać zasadność finansowania studiów literackich dotyczących transkobiecości i sadomachizmu czy, ogólniej, kondycję współczesnego literaturoznawstwa. Ale powinien zdawać sobie sprawę z tego, że projekty, których tytuł czy streszczenie brzmią dla laików dziwnie, mogą być wartościowe. Tyczy się to nie tylko humanistyki, i właśnie z tego powodu ludzkość wynalazła panele niezależnych ekspertów oceniające projekty, które umożliwiają bardziej sensowną, sprawiedliwą i pożyteczną redystrybucję środków niż ich ręczny podział przez polityków.

Znamienne, że zamiast uznać tę sytuację za dowód, iż w Polsce nadal istnieją wpływowe instytucje niezależne od rządu, Czarnek otwarcie nad tym ubolewa. Jeszcze bardziej znamienne jest to, że otwartą zapowiedź rewolucji w systemie finansowania badań naukowych w Polsce poprzedziło jedno rozstrzygnięcie konkursu w NCN-ie, a nie ciągnąca się miesiącami afera w innej, bogatszej agencji – NCBR – w sercu której znaleźli się ludzie władzy.

PRZYPOMNIJMY: wiosną media ujawniły, że w NCBR-ze niezgodnie z procedurami przyznano ponad 100 mln zł dotacji kilku świeżo założonym firmom, których właściciele okazali się powiązani z politykami Partii Republikańskiej. Tego samego ugrupowania, które z ramienia rządu sprawowało kontrolę nad NCBR-em.

Jeśli doniesienia o zalęgnięciu się w kierownictwie NBR-u politycznej ekipy rozkradającej granty zostaną udowodnione (śledztwo prokuratury trwa), to instytucja ta będzie wymagać reformy lub likwidacji. W środowisku akademickim coraz częściej pojawiają się również głosy o potrzebie zreformowania NCN-u – choć z zupełnie innych powodów. Obecnie przeciętny współczynnik sukcesu dla aplikujących w NCN-ie o granty wynosi 13 proc. – a w niektórych konkursach finansowanie uzyskuje mniej niż co dziesiąty złożony wniosek. Oznacza to, po pierwsze, że agencja traci zdolność do spełniania swojej funkcji. Po drugie – można zakwestionować zasadność tworzenia list rankingowych dla najlepiej ocenianych projektów. Skoro finansowanie uzyskuje garstka z nich, to rośnie ryzyko, że o wyłonieniu beneficjentów decydować będą mody naukowe, przypadek lub inne układy.

Biorąc pod uwagę sytuację w NCN-ie i NCBR-ze, reforma systemu państwowych dotacji może być nieunikniona. Ale nie znaczy to, że zapowiedź reformy ze strony ministra Czarnka należy traktować jako pozytywną wiadomość. Mówimy w końcu o ministrze nauki, który dopuszcza się naukowej zbrodni – z dumą występuje w jednym szeregu z antyszczepionkowcami, denialistami klimatycznymi i kreacjonistami, i w ten sposób uwiarygadnia ich przekaz. Nie wiem, czy robi to dlatego, iż nie rozumie, na czym polega nauka, czy zwyczajnie go ona nie obchodzi, bo ważniejsze jest zyskanie przychylności tych środowisk, które padły ofiarą niedoskonałości naszego systemu edukacji.

TAK CZY INACZEJ, trudno mieć nadzieję, że Czarnkowi bardziej marzy się duża, niezależna agencja grantowa, w której o finansowaniu projektów decydują wysokiej klasy specjaliści, niż taka, w której granty przyznawane byłyby z politycznego klucza. ©℗

Jak finansuje się badania

- **NARODOWE CENTRUM NAUKI** co roku rozdziela ok. 1 mld zł na badania podstawowe. W dużej mierze dzięki NCN-owi powstało i rozwinęło się w Polsce wiele grup naukowych, zdolnych konkurować na światowym poziomie. Także wielu autorów publikujących w dziale naukowym „Tygodnika" to w swojej działalności badawczej beneficjenci programów NCN-u.
- **NARODOWE CENTRUM BADAŃ I ROZWOJU** dysponuje kilkakrotnie większym budżetem – plan na 2022 r. zakładał ok. 7,8 mld zł. Środki te trafiają głównie do spółek, na dofinansowanie projektów o znaczeniu gospodarczym. Wśród nich są firmy zakładane w otoczeniu uczelni, w celu komercjalizacji wyników ich badań, a także przedsiębiorstwa od dawna obecne na rynku.
- **AGENCJA BADAŃ MEDYCZNYCH,** podległa Ministerstwu Zdrowia, finansuje badania kliniczne, jej roczny budżet to ok. 500 mln zł.
- **MINISTERSTWO EDUKACJI I NAUKI** bezpośrednio nadzoruje kilka programów grantowych, w tym Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, z budżetem ok. 100 mln zł. Ponad miliard zł na działalność badawczo-rozwojową przeznacza też MON.
- **W 2022 R.** na naukę i szkolnictwo wyższe z budżetu państwa przeznaczono ok. 32 mld zł. Połowę tej kwoty pochłonęły subwencje dla uczelni i instytutów PAN. Większość z nich dysponuje skromnymi budżetami na badania – wyjątkiem są te objęte programem IDUB, dzięki któremu dziesięć wybranych uczelni otrzymuje subwencję zwiększoną o 10 proc., a dziesięć kolejnych – o 2 proc.

GOV.PL / MEIN

Misja niemożliwa Sójki

MAŁGORZATA SOLECKA

Adam Niedzielski po blisko trzech latach urzędowania stracił stanowisko, składając 8 sierpnia wymuszoną rezygnację po tym, jak ujawnił wrażliwe dane lekarza-pacjenta.

Pod potężnym znakiem zapytania stoi dziś nie tylko jego kariera polityczna (stracił też szansę na miejsce w Sejmie), ale w ogóle aktywność publiczna – trudno sobie wyobrazić, że ktoś powierza byłemu ministrowi np. stanowisko dyrektora szpitala. Prawdopodobne są natomiast duże problemy prawne. Dymisja w żadnym wypadku nie kończy sprawy, a były minister musi się liczyć z zarzutami za złamanie m.in. ustawy o ochronie danych osobowych.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Czy odejście Niedzielskiego, utożsamianego z działaniami rządu w czasie pandemii, ułatwi PiS drogę do elektoratu Konfederacji? Nawet jeśli są takie spekulacje, warto pamiętać, że aktywna walka z COVID-19 nie była mocną stroną ministra, co widać choćby po bilansie nadmiarowych zgonów.

Duża część środowiska medycznego zarzuca Niedzielskiemu konfrontacyjne nastawienie, które ostatecznie go zgubiło, bo wymierzony w lekarza *tweet* był właśnie elementem takiej ostrej gry. Czy można coś zapisać mu na plus? W ciągu ostatnich trzech lat znacząco, wręcz skokowo, poprawiła się dostępność leków innowacyjnych dla polskich pacjentów. Nawet jeśli jeszcze wiele pozostaje do zrobienia, zmiana jest odczuwalna i doceniana.

Następczyni Adama Niedzielskiego, Katarzyna Sójka (na zdj.; specjalistka chorób wewnętrznych, dla której kończąca się kadencja Sejmu była pierwszą) nie ma przed sobą łatwego zadania: nie może niczego zepsuć, a sporo powinna naprawić. W ciągu dwóch miesięcy wydaje się to misją niemożliwą. ©

NA PUNKTY

PAŹDZIERNIKOWY DYLEMAT

Prezydent Andrzej Duda ogłosił (w mediach społecznościowych), że wybory odbędą się 15 października, a dzięki łaskawości Jarosława Kaczyńskiego poznaliśmy także pierwsze pytanie organizowanego równolegle z nimi referendum: „Czy popierasz wyprzedaż państwowych przedsiębiorstw?”. Nie możemy się doczekać następnych, obstawiając, że jedno będzie o niedobrych Niemcach.

WOLA POLITYCZNA

Nie możemy się też doczekać rozstrzygnięcia przyszłości politycznej Romana Giertycha. Popierany ponoć po cichu przez Donalda Tuska i Szymona Hołownię, ale nieumieszczony na liście kandydatów paktu senackiego ze względu na sprzeciw Lewicy, mecenas wygłasza obecnie tyrady przeciwko politykom tej ostatniej, sugerując, że i tak stanie w wyborcze szranki.

ARMIA NA TROPIE

Jeśli wydaje się wam, że sytuacja wokół Giertycha robi się zapalna, pomyślcie o Wojsku Polskim: Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych wydało właśnie komunikat o poszukiwaniach zapalnika pocisku rakietowego, zgubionego podczas śmigłowcowego patrolu w rejonie granicy z Białorusią. ©℗

Szczyt amazoński bez sukcesu

DOMA MATEJKO

Jestem pewien, że to spotkanie wyznaczy »przed« i »po« w historii Amazonii”, mówił prezydent Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva, gdy 8 sierpnia otwierał w Belém szczyt przywódców tego regionu. W czasie dwudniowego spotkania – pierwszego takiego od ponad dekady – członkowie Organizacji Traktatu Współpracy Amazońskiej (ACTO) mieli uzgodnić wspólny plan zaprzestania wycinki lasów. A także nie dopuścić do przekroczenia punktu krytycznego, co może się zdarzyć, jeżeli Amazonia straci ponad 20 proc. swoich lasów i biologicznej różnorodności. Zgodnym zdaniem naukowców zniszczenie „płuc świata” stałoby się wtedy nieodwracalne. Tylko w pierwszej połowie ubiegłego roku wycięto ok. 4 tys. kilometrów kwadratowych amazońskiej puszczy.

Przed spotkaniem liczono też na to, że liderzy państw ACTO wyznaczą kierunek działań, który następnie przedstawią podczas wrześniowego Zgromadzenia Ogólnego ONZ – i że wnioski ze szczytu odegrają kluczową rolę w czasie planowanego na grudzień szczytu klimatycznego COP28 w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Dla brazylijskich gospodarzy szczyt był też okazją do poprawy wizerunku kraju za granicą.

Niestety, przywódcy Brazylii, Boliwii, Ekwadoru, Kolumbii, Wenezueli, Gujany, Surinamu i Peru nie zgodzili się co do wspólnej polityki ws. Amazonii. Wszystko wskazuje na to, że nadal będą działać głównie na własną rękę. Taki brak koordynacji oznacza również, że cel, o którym wcześniej mówił da Silva (całkowite zaprzestanie wylesiania do 2030 r.), nie zostanie osiągnięty. Dla naukowców i aktywistów ekologicznych jest to poważny – być może katastrofalny w skutkach dla całego świata – błąd.

Jedną z niewielu rzeczy, co do których zgodzili się uczestnicy szczytu, było zwrócenie się do państw Zachodu z apelem o przeznaczenie 100 mld dolarów rocznie na finansowanie działań proklimatycznych w regionie. Pieniądze te miałyby pomóc w zwalczaniu grup zbrojnych odpowiedzialnych za nielegalne kopalnie oraz handel bronią i narkotykami na terenie Amazonii. ©

Znak Ulmów

ZUZANNA RADZIK

O zapowiedzianej beatyfikacji rodziny Ulmów pisaliśmy już w „Tygodniku", wyrażając obawę, że ich historię przykryje kościelna i państwowa polityka. Msza beatyfikacyjna siedmioosobowej rodziny rozstrzelanej za ukrywanie Żydów ma się odbyć w Markowej na Podkarpaciu 10 września, miesiąc przed wyborami parlamentarnymi. Podkarpacie spodziewa się z tej okazji 25 tys. pielgrzymów.

Nikogo nie zdziwi, jeśli rząd głęboko zaangażowany w politykę historyczną i temat Polaków ratujących Żydów skorzysta z tej okazji w swojej kampanii wyborczej, by budzić dumę narodową oraz podsycać niechęć do Niemców.

Z drugiej strony postulator procesu beatyfikacyjnego, ks. Witold Burda, podkreśla chętnie, że beatyfikacja Ulmów to pierwszy w historii przypadek, kiedy do chwały ołtarzy zostanie wyniesiona cała rodzina, w tym jeszcze nienarodzone dziecko. I znów, trudno się spodziewać, by polscy hierarchowie i księża nie chcieli wprząc tematu nienarodzonego beatyfikowanego dziecka Ulmów w obecne i nadchodzące dyskusje o aborcji, które Polski nie ominą.

Być może te sposoby użycia nowych błogosławionych dostrzeżono w Watykanie i postanowiono im zapobiec. W rozmowie z KAI kard. Marcello Semeraro, prefekt Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych, o najmłodszym potomku Wiktorii i Józefa mówił zaś jako o „dziecku ledwo urodzonym, które zostało od razu zabite". To wyraźnie, choć dyskretnie, koryguje język używany w Polsce.

Gdy tematem kampanii wyborczej u nas stają się uchodźcy, kard. Semeraro zaznacza, że przesłaniem Ulmów dla świata jest ich przyjmowanie.

„Papież wielokrotnie mówi o przyjmowaniu uchodźców – doprecyzował. – Na przykładzie tej rodziny mamy przed oczyma wartość przyjęcia i gościnności wobec drugiej osoby. Państwa mają wiele narzędzi, które mogłyby pomóc w ocenie przybywającej osoby. Wydalanie uchodźcy tylko dla wydalenia nie jest żadną wartością chrześcijańską ani ludzką. Przypowieść o dobrym Samarytaninie jest przykładem". Przypowieść tę nowy błogosławiony podkreślił w swoim egzemplarzu Biblii.

Tylko czy Kościół i rząd zauważą, że Watykan wytrąca im argumenty i stawia przy okazji beatyfikacji pytanie o stosunek do uchodźców? ©℗

Jesteśmy wartościowi

MAREK RABIJ

W rozpoczętej właśnie kampanii wyborczej polska gospodarka będzie opisywana jako kwitnąca bądź pogrążona w ruinie, w zależności od politycznych sympatii komentatora. Kto tęskni za obrazem bardziej zniuansowanym, a więc i bliższym rzeczywistości, powinien zajrzeć do najnowszego raportu znanej firmy doradczej Kearney, która porównała w nim 78 krajów świata pod względem atrakcyjności dla inwestycji w tzw. usługi dla biznesu. Pierwsze miejsce zajęły Indie. Polska w tym rankingu jest trzynasta – spośród krajów Europy wyżej od nas uplasowała się jedynie Wielka Brytania.

Zdaniem autorów zestawienia w kolejnych latach będziemy zyskiwać jeszcze bardziej na atrakcyjności dzięki korzystnemu położeniu geograficznemu, jakości edukacji (w raporcie z uznaniem podkreślono, że w Polsce działa ponad 400 uczelni wyższych, w tym 40 uniwersytetów i 20 wyższych szkół technicznych utrzymywanych przez państwo) oraz stabilnemu otoczeniu prawnemu i instytucjonalnemu, które gwarantuje członkostwo w Unii Europejskiej. Nie bez znaczenia jest też fakt, że do Polski napływają inwestycje zagraniczne z różnych branż, co zwiększa zapotrzebowanie na usługi dla biznesu. Dotyczy to zwłaszcza zaplecza informatycznego.

Warto zwrócić uwagę na tę listę komplementów, bo nie pojawia się na niej to, co w krajowej dyskusji o bezpośrednich inwestycjach zagranicznych od lat powraca jak refren – czyli konkurencyjność płac. Autorzy rankingu wręcz podkreślają, że polskim informatykom trzeba dziś płacić statystycznie więcej niż hiszpańskim, a mimo to Polska wyprzedza ten kraj w rankingu.

Wyniki zestawienia pokrywają się z najnowszymi badaniami ekonomistów, z których wynika, że w przypadku bardziej zaawansowanych przedsięwzięć inwestorzy nad niskie płace przedkładają przewidywalne otoczenie prawne, dobrą jakość infrastruktury, wysoki poziom kształcenia czy wreszcie – rzecz ważna szczególnie ostatnio – lokalizację w centrum Europy, zapewniającą bezpieczeństwo łańcuchom dostaw.

W ubiegłym roku, w porównaniu z rokiem 2021, liczba bezpośrednich inwestycji zagranicznych w Polsce wzrosła o 23 procent – do 237. Od początku lat 90. ubiegłego stulecia obcy kapitał zainwestował nad Wisłą łącznie już ponad 920 mld dolarów. ©℗

ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS

Warszawskie wieżowce, siedziby międzynarodowych koncernów. 14 maja 2023 r.

Nowy nuncjusz w Warszawie

POLSKI KOŚCIÓŁ ▪ Papież mianował nuncjuszem apostolskim w Polsce Włocha – abp. Antonia Guido Filipazziego. Urodził się on w 1963 r. w Melzo w archidiecezji mediolańskiej. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1987 r. Jest absolwentem prowadzonego przez Opus Dei Papieskiego Uniwersytetu Świętego Krzyża w Rzymie, gdzie w 1992 r. obronił doktorat z prawa kanonicznego, równolegle uczęszczając do Papieskiej Akademii Kościelnej, kuźni watykańskich dyplomatów. Przeszedł wszystkie szczeble kariery dyplomatycznej – od asystenta, przez podsekretarza, sekretarza, radcę, aż po nuncjusza. Pracował w nuncjaturach na Sri Lance, w Austrii i w Niemczech, a przez osiem lat w watykańskim Sekretariacie Stanu. W 2011 r. Benedykt XVI mianował go nuncjuszem w Indonezji, podnosząc do godności arcybiskupa (jako hasło biskupie Filipazzi wybrał początek psalmu 127. „Jeżeli domu Pan nie zbuduje”).

W 2017 r. papież Franciszek mianował go nuncjuszem w Nigerii – najludniejszym państwie Afryki. Jego pierwszym, trudnym zadaniem było zażegnanie buntu księży i świeckich w diecezji Ahiary. Wcześniej Benedykt XVI mianował biskupem tej diecezji Petera Ebere Okpaleke, który nie został wpuszczony do katedry, ponieważ należał do plemienia Igbo, a większość katolików w diecezji to Mbaise. Ostatecznie w 2018 r. bp Okpaleke zrezygnował z funkcji (papież utworzył dla niego nową diecezję – Ekwulobia, a w 2022 r. mianował kardynałem).

Komentarz abp. Filipazziego do swojej nominacji pokazuje, że niezbyt dba on o kościelny język dyplomatyczny. Mówi o „lekkim niepokoju”, bo zaczyna wszystko od nowa, a poza tym „trudno jest być w miejscu bez znajomości języka polskiego, który nie należy do najłatwiejszych”. Przy tym dodaje: „Jest też trochę smutku z powodu opuszczenia Nigerii, gdzie w ciągu sześciu lat zbudowaliśmy tak wiele relacji i mam nadzieję, że wykonaliśmy dobrą pracę”.

W Nigerii zapamiętano go jako przedstawiciela Kościoła, który upominał się o praworządność i walkę z przemocą. W sierpniu 2020 r. wzywał rząd do zajęcia się „antagonizmem” między chrześcijanami i muzułmanami na północy kraju, mówiąc, że wierni obu religii cierpią w równym stopniu. „W Nigerii jest zbyt wiele przemocy, a prawo wydaje się nie być egzekwowane. Co robi państwo, aby zapewnić bezpieczeństwo życia i mienia ludzi?” – pytał.

Czy w Polsce będzie miał więcej odwagi niż jego poprzednik – abp Salvatore Pennacchio – by upominać władzę, aby nie wykorzystywała Kościoła do doraźnej polityki?

©℗ ARTUR SPORNIAK

MATERIAŁY PRASOWE

Antonio Guido Filipazzi. Ondo, Nigeria, luty 2020 r.

Jak badania DNA przywracają pamięć o ofiarach historii

PRZODKOWIE ▪ Szesnastu mężczyzn i jedenaście kobiet w różnym wieku. Dwadzieścioro siedmioro z setek czarnych niewolników zmuszonych między 1774 a 1850 r. do pracy w kuźni Catoctin Furnace w stanie Maryland, nieopodal dzisiejszej rezydencji prezydentów USA w Camp David. Ich szczątki odkryto w 1979 r. podczas budowy autostrady. Niewolniczy system nie trudził się dokumentacją ich losów, po odkryciu ich grobów nie dało się więc o nich dowiedzieć więcej. Aż do teraz.

Zespół Éadaoin Harney, genetyczki populacyjnej z firmy 23andMe.com i Uniwersytetu Harvarda, ogłosił w „Science”, że zidentyfikował prawie 41,8 tys. żyjących krewnych tych dwadzieściorga siedmiorga, w tym przeszło 2,9 tys. bliskich – od 9. od 5. (praprapraprawnuk) stopnia pokrewieństwa. Badacze zastosowali te same metody, dzięki którym można dziś wysłać próbkę śliny do firmy takiej jak 23andMe czy MyHeritage, by ich algorytmy porównały nasz genom ze swoimi bazami danych, oszacowały pochodzenie etniczne i geograficzne naszych przodków oraz wytypowały naszych krewnych spośród innych użytkowników: im więcej współdzielimy fragmentów DNA i im są one dłuższe, tym bliższe pokrewieństwo.

Okazało się m.in., że większość z tych bliskich krewnych wciąż żyje w Maryland, jest też grupa w południowych Stanach, co rzuca światło na późniejsze losy niewolników z Catoctin Furnace. Genom wielu z tych dwadzieściorga siedmiorga nosi ślady brytyjskich i irlandzkich przodków po mieczu – świadectwo przemocy seksualnej.

To pierwsze tego typu badanie, otwiera ono nowe metody przywracania pamięci i tożsamości anonimowych ofiar historii. Rodzi też jednak problemy etyczne – nie tylko w kwestii ujawniania wyników podobnych analiz. Otóż genetyczne klucze do takich odkryć dzierżą dziś prywatne firmy nastawione na zysk, co każe pytać o równość w dostępie do badań naukowych i wiedzy o własnej historii.

©℗ MK / NATURE / REUTERS / HARVARD.EDU

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP”
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole
97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

BALIMA BOUREIMA / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Abdourahmane Tchiani (w środku) na wiecu zwolenników zamachu stanu. Niamej, 6 sierpnia 2023 r.

W Nigrze ważą się losy całego regionu

AFRYKA ▪ Wojskowi, którzy przed dwoma tygodniami przejęli rządy w Nigrze, umacniają się u władzy. Nie ulękli się sankcji gospodarczych (Nigeria zamknęła granicę i wstrzymała dostawy prądu) ani gróźb interwencji zbrojnej sąsiadów ze Wspólnoty Gospodarczej Państw Afryki Zachodniej (ECOWAS). Nie wypuścili też obalonego prezydenta z aresztu domowego.

Samozwańczy przywódca gen. Abdourahmane Tchiani nie przyjmuje wysłanników ONZ i innych państw. Spotkał się tylko z byłym emirem nigeryjskiego Kano z Nigerii, tradycyjnym przywódcą ludności Fulani i Hausa, stanowiącej większość w Nigrze i północnej Nigerii. Wobec uporu nowej władzy, zachodnioafrykańscy sąsiedzi, którzy grozili Nigrowi najazdem, spuszczają z tonu. Rządzone przez rodzimych puczystów Gwinea, Mali i Burkina Faso zagroziły, że atak na Niger uznają za wypowiedzenie wojny także ich krajom. Inwazji sprzeciwiają się też sąsiednie Czad i Algieria.

Z kolei Nigeria, Wybrzeże Kości Słoniowej czy Ghana chciałyby dać nauczkę zamachowcom i zapobiec ewentualnym puczom, które coraz częściej zdarzają się w zachodniej Afryce. Obawiają się jednak, że inwazja może przerodzić się w konflikt, który obejmie cały region, i tak od prawie dekady wstrząsany powstaniem dżihadystów. Bola Tinubu, prezydent Nigerii, przekonuje dziś, że spory lepiej załatwiać po dobroci, a po przemoc sięgać w ostateczności (w rzeczywistości wolałby nie sprawdzać, czy Hausańczycy i Fulanie z północy okażą się lojalniejsi wobec niego, Joruby z południa, czy wobec swoich kuzynów z Nigru).

Tymczasem Zachód szuka sposobu, jak nie stracić najważniejszego sojusznika w Sahelu i ostatniej zapory przed ekspansją dżihadystów i Rosji w Afryce. Amerykanie szkolą i zbroją nigerskie wojsko (niektórzy zamachowcy z Tchianim na czele to absolwenci kursów wojskowych w Ameryce), mają tu dwie bazy wojenne i ponad tysiąc żołnierzy. W przeciwieństwie do Francji – byłej metropolii, dla której pucz w Nigrze oznacza właściwie ostateczne rozstanie z jej dawnymi koloniami w Sahelu (zostanie jej tylko Czad, również rządzony przez wojskowego dyktatora) – Amerykanie z Nigru wynosić się nie zamierzają. Ani nikt ich stamtąd nie wyprasza. Waszyngtońscy urzędnicy nie nazywają nawet puczu puczem, bo ich prawo zabrania współpracy z państwami rządzonymi przez samozwańców i dyktatorów (chyba że Kongres, na prośbę Białego Domu, zrobi wyjątek). Powołując się na źródła w Waszyngtonie, agencja Reutera pisze, że pozostanie w Nigrze mogą pokrzyżować Amerykanom tylko inwazja państw ECOWAS lub desant rosyjskich najemników z Grupy Wagnera – i to co najmniej tak liczny, jak te jedno-, dwutysięczne grupy stacjonujące już w Republice Środkowoafrykańskiej, wschodniej Libii i Mali. Według analizy agencji nawet dwie kompanie wagnerowców nie skłonią Amerykanów do wyjazdu z Nigru.

©℗ **WOJCIECH JAGIELSKI**

Na Cyprze kotom grozi jeszcze jedna epidemia

ZDROWIE ▪ Jeden z mutujących koronawirusów zabija zwierzęta już od stycznia. Cypryjskie stowarzyszenie zajmujące się ochroną tego gatunku podało, że na wyspie zmarło już 300 tys. kotów, jednak władze weterynaryjne uznały tę liczbę za bardzo przesadzoną – według ich szacunków w pierwszej połowie roku liczba zgonów wyniosła ok. 8 tys. Sytuacja jest jednak wciąż poważna, a władze zdecydowały o podaniu kotom 80 tys. tabletek antycovidowego leku przeznaczonego dla ludzi.

Koronawirusy są wśród kotów domowych powszechne i zwykle nie powodują problemów poważniejszych niż łagodna biegunka. Jeden ze szczepów może jednak doprowadzić je do stanu, w którym u ok. 10 proc. zakażonych zwierząt rozwija się zapalenie otrzewnej oraz następują zmiany w nerkach i mózgu. Choroba prawie zawsze prowadzi do śmierci. „Niepokojące jest to, że na Cyprze chorują także koty niewypuszczane na zewnątrz, a człowiek może przenosić wirus na inne koty – tłumaczył w rozmowie z BBC dr Charalampos Attipa, weterynarz i badacz związany z Uniwersytetem Edynburskim. – Dlatego władze weterynaryjne apelują do turystów wyjeżdżających z Cypru o dezynfekcję obuwia i walizek podróżnych". Zagrażający kotom wirus nie wywodzi się od SARS-CoV-2 i nie może wywołać choroby u człowieka. Po niedawnej serii zachorowań kotów na ptasią grypę w Polsce cypryjska epidemia jest jednak drugim przypadkiem, gdy wysoce zjadliwy wirus zagraża gatunkowi blisko związanemu z naszym.

Na Cyprze żyje ok. 1,5 mln kotów – ich populacja jest nieco liczniejsza niż ludzka. Koty najprawdopodobniej zostały na wyspę przywiezione celowo, być może wraz z pierwszymi jej kolonizatorami, którzy mieli dotrzeć na nią ok. 10-12 tys. lat temu. Już 9,5 tys. lat temu te zwierzęta odgrywały w życiu mieszkańców wyspy ważną rolę – w 2001 r. odkryto pochodzący z tego okresu grób, w którym obok ludzkiego szkieletu znajdowały się szczątki kota. ©℗ **MARCIN ŻYŁA**

TEMAT TYGODNIKA

NARÓD MA HUMORY

JOANNA KOŁACZKOWSKA:

Gdy robię na scenie pompki, skaczę albo szaleję w dowolny inny sposób, los stawia mnie przed wyborem: kabaret albo życie.

JOANNA KOŁACZKOWSKA: Nagrywa pan?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Na dyktafon i telefon – ze strachu.

Też tak mam. Raz rejestrowałam z Szymonem Majewskim podkast, i część szlag trafił. Część podkastu, nie Szymona. W dodatku tę część, w której ja mówiłam. Używamy nagrywarki z dwoma mikrofonami – jeden wysiadł.

Zaczęliśmy od nerwicy natręctw, a plan był zupełnie inny – mieliśmy rozpocząć od migotania przedsionków.

To jest bardzo poważne schorzenie serca. Mogę panu opisać objawy. Nagle odczuwa pan w okolicach gardła przyspieszone drgania – efekt arytmii. I osłabienie, czasami mogące skutkować utratą przytomności.

Pani to miała na scenie.

Premiera „Hrabi Draculi", czyli jednego z programów naszego kabaretu, warszawska „Dorożkarnia". Stoję na scenie, gram i nagle czuję, że jest coraz gorzej. W dodatku dociera do mnie, że atak migotania za chwilę wywoła atak paniki – i że ta panika nakręci z kolei migotanie, a ja za chwile umrę.

Rozważała Pani komunikat: „Bardzo państwa przepraszam...

...nic z tych rzeczy! Ja byłam tak przerażona, że jeśli zdecydowałabym się przerwać spektakl, to mój komunikat miałby bardziej gwałtowny charakter.

Tak czy inaczej: dlaczego grała Pani dalej?!

Chciałabym panu powiedzieć, że pragnę umrzeć na scenie, a wtedy nadarzyła się ku temu okazja, ale to by była przesada. Powiem tak: na pewno chciałabym umrzeć – wiem, że to zabrzmi głupio – w dobrym stanie. Może taki był wtedy mój intuicyjny tok rozumowania: „będzie, co będzie"?

I chyba podjęłam słuszną decyzję. Bo jednak premiera się odbyła, ja żyję.

A kilka lat później udało się to moje migotanie opanować – za pomocą ablacji. Wie pan, co to jest ablacja?

Mam doświadczenie hipochondryczne, a więc i wiedzę o chorobach.

To wspaniale, moglibyśmy porozmawiać o objawach! Fascynuje mnie medycyna.

To dobrze się składa, bo mam kolejne pytanie. O kręgi szyjne.

Chyba wiem, o co panu chodzi.

Mamy piosenkę „Łysy pan". Śpiewam o człowieku z szerokim karkiem, którego lepiej nie spotkać w ciemnej ulicy. A gdy tak śpiewam, dwie postacie – odgrywane przez Darka Kamysa i Tomka Majera, moich kolegów z Kabaretu Hrabi [czwartym członkiem grupy jest Łukasz Pietsch – red.] – przedstawiają scenki: np. jeden okłada drugiego kijem bejsbolowym. Po pewnym czasie odgrywania tego motywu wymyśliliśmy rodzaj zapowiedzi „Łysego pana". Podchodzę do chłopaków, podskakuję i w locie uderzam ich w klapy marynarki.

Oni wysocy, postawni, Pani niewielkiego wzrostu.

Moje popisy bawiły widzów, ale zaczęły mi wysiadać kręgi szyjne. Trafiłam nawet z tego powodu do szpitala, a gdy jakiś czas później na naszym występie pojawił się mój fizjoterapeuta i zobaczył zapowiedź „Łysego pana", kategorycznie mi tej ewolucji zabronił. Obiecałam sobie: nigdy więcej.

I?

Niestety zdarza się, że ferwor mnie porywa. Nie tylko przed „Łysym panem". Mamy teraz program „Pociechy": o rodzicielstwie, wychowaniu, nastolatkach itd. Jest tam skecz, w którym gram wuefistkę. Wpadam na scenę, robię pompki, bez przygotowania. Dziesięć, a potem jeszcze ze trzy na jednej ręce.

Umie Pani na jednej?!

Sama nie wiedziałam, że umiem, to się dopiero okazało pewnego dnia na scenie. Tyle że te pompki też uszkadzają ciało – bark, klatkę piersiową.

Pani, jeśli dobrze te straszne opowieści odczytuję, jest gotowa za swoją pracę zginąć.

Niestety dobrze pan to odczytuje. Gdy robię na scenie pompki, skaczę albo szaleję w dowolny inny sposób, los stawia mnie przed wyborem: kabaret albo życie. Wybieram kabaret.

To są historie do portretu perfekcjonistki? Pasjonatki?

Raczej to drugie. Choć perfekcjonistką też bywam, tworząc i obserwując, co z tego tworzenia wychodzi. Gdy widzę, że nie mamy już takiej reakcji na skecz, jak byśmy chcieli, to grzebię w jego konstrukcji jak chirurg przy jakiejś misternej operacji.

Przy ablacji.

To może być to: ablacja jest oddziaływaniem na miejsca, które są przyczyną nieprawidłowych pobudzeń serca. Ze skeczem jest podobnie – o jego sukcesie bądź klapie decydują ledwo uchwytne szczególiki, które też można korygować.

Władek Sikora [nieformalny animator tzw. zielonogórskiego zagłębia kabaretowego, z którego wywodzi się m.in. Joanna Kołaczkowska – red.] mawia, że istnieje kategoria skeczu mutanta. Grasz, ludzie się śmieją, a potem się orientujesz, że przestali.

Bo?

Bo „zmutował". Ktoś coś w nim zmienił, czegoś nie powiedział albo coś dodał, zrobił za długą albo za krótką pauzę – i tak już zostało.

Uwielbiam w tej robocie nie tylko moment, w którym powstaje nowy skecz. Kocham też cerowanie, reperowanie żartów, które się zepsuły. Fascynuje mnie koronkowa praca ratowania żartu, by znowu zaczął sprawiać ludziom radość.

Ale perfekcjonistką tylko bywam – pasjonatką jestem.

Pani się nawet podobno relaksuje, wymyślając skecze.

A jak je wymyślam, to już mnie cieszy fakt, że to potem odegram na scenie. Ludzie zaś – często jestem tego po prostu pewna – zareagują wybuchem, rykiem. Gdy ten ryk uszami wyobraźni słyszę, jestem szczęśliwa.

Po raz pierwszy to szczęście poczuła Pani jako kilkuletnia dziewczynka – w lubińskim domu kultury.

To były dwa szczęścia.

Po pierwsze, bardzo zabiegałam wtedy o uwagę mamy. Tata zmarł, gdy miałam pięć lat, mama cierpiała na depresję, ↦

Warszawa, kwiecień 2019 r.

DAREK GOLIK / FORUM

↦ której nie leczono tak skutecznie jak teraz. Nie pamiętam z tamtego czasu mamy czytającej nam z siostrą bajkę, przytulającej.

Aż tu nagle wychodzę na scenę, a ona siedzi i patrzy.

A drugie szczęście?

Odkrycie, że mogę rozśmieszać. Nie wiem, co myśmy tam na tej scenie tańczyli, czy to był kujawiak, czy oberek. Dość powiedzieć, że wszystkie występujące dziewczynki miały na sobie śmieszne galoty, odkrywające się, gdy zadzierałyśmy sukienki. A że to ja byłam najbliżej widowni, więc to z moich ewolucji w tych galotach ludzie się najbardziej śmiali.

Potem była szkoła.

W której rozśmieszanie dawało mi również poczucie wartości. Czułam się cenna, lubiana.

Co miała Pani w repertuarze?

Na przykład mistrzowskie odgrywanie żula – pijaczka spod sklepu. Ale też naśladowanie. Kolegów, koleżanek, nauczycieli, dyrektorki.

Ryzykowne.

Wylęknione, niepewne siebie dzieci mają opanowane do perfekcji ukrywanie się – nic mi nie groziło. Bywało, że karę dostawali ci, którzy się śmiali – ja nigdy.

Figura klasowego błazna jest u nas chyba – kulturowo – zarezerwowana dla chłopca?

W związku z tym ci, którzy o tym moim klaunowaniu wiedzieli, zrzucali je na karb zaburzeń, np. nadpobudliwości ruchowej. I nie da się wykluczyć, że miałam jakiś rodzaj ADHD. Równocześnie miałam już wtedy objawy talentu sceniczno-ruchowego. Podskoczyłam, zatańczyłam – a ludzie wybuchali śmiechem.

Jak szybko zyskała Pani renomę w szkole?

Nie w szkole – w klasie! Bałabym się, że moja działalność zatoczy zbyt szerokie kręgi.

To dokładnie jak z Pani powrotem na scenę dekady później. Były lata dwutysięczne, nie istniał już Kabaret Potem, który przyniósł pierwsza falę Pani sławy, a Pani na propozycję dołączenia do nowo tworzonej ekipy Hrabi zareagowała przerażeniem: niech będzie, ale grajmy lokalnie, żeby za dużo ludzi nie oglądało tej „klęski”.

Dbałam – i wtedy w szkole, i później – o sławę, o artystyczną reputację, ale w granicach swojej introwertycznej, zalęknionej postawy.

> Czy wolno się śmiać z lęków? Z chorób? Ze śmierci? Mnie podświadomie ciągnie do tych tematów, bo próbuję się przygotować do sytuacji granicznych. Oswoić lęki, także śmiechem.

Ciekawy jest ten kontrast między Pani scenicznym wizerunkiem – energią, galopadą, decybelami – a tym nieśmiałym niemal szeptem w kawiarni, w której siedzimy. Aż się boję, że się słabo nagra.

(*Joanna Kołaczkowska ustawia na stole dwie minipiramidy: mój dyktafon kładzie na butelce od wody mineralnej; telefon na szklance*).

Ci, którzy poznają mnie w odwrotnej kolejności – najpierw życie, potem scena – są w jeszcze większym szoku: że ta i tamta ja to są te same osoby. Mam 57 lat, i nadal z zalęknionej w życiu kobiety zamieniam się w kobietę pewną siebie na scenie.

A wracając do dzieciństwa, wówczas ten kontrast polegał na współistnieniu grzecznej i nierzucającej się w oczy dziewczynki – z dziewczynką chcącą zwrócić na siebie uwagę. Przychodził jakiś wujek, ja zaczynałam robić tańce i fikołki. Tyle że w domu mnie gasili – albo robiła to poważniejsza ode mnie siostra, albo dorośli twierdzący, że „to nie miejsce i czas”, bo tu się odbywa jakaś bardzo poważna rozmowa.

Więc odchodziłam na bok i słuchałam. To były rozmowy tych wszystkich barwnych wujków i cioć – o wszystkim. Chłonęłam te ich dyskusje, a po latach zorientowałam się, że wiele jest w moich skeczach atmosfery i treści tamtych rozmów. Że tym, czym żyje kabaret – stosunki międzyludzkie, relacje damsko-męskie, role płciowe – chłonęłam już wówczas.

Co do ról: w polskim kabarecie kobiet jak na lekarstwo.

Bo kobietom, podobnie jak dziewczynkom, „nie wypada”. Jak pan weźmie grupkę facetów, to bez trudu znajdzie pan takich, którzy lubią się wygłupić, opowiedzieć żart, rozśmieszyć anegdotą. Wśród kobiet będzie trudniej. Kobieta ma być ponętna, urodzić dzieci – do tych spraw żarty się nie przydają.

Sama Pani zresztą zrezygnowała ze sceny, gdy urodziła dziecko.

Wcześniej poznałam swojego przyszłego – choć teraz już byłego – męża, a dziesięć dni po ostatnim występie w likwidowanym pochopnie przez Władka Sikorę Kabarecie Potem zaszłam w ciążę.

A co to za kobieta, która...

...jedzie do Kudowy-Zdroju, żeby się wygłupiać, a zostawia męża i dziecko.

Postrzeganie kobiet w kabarecie obserwowałam też, występując już w Hrabim. Nawet w sposobie, w jaki byłam odbierana.

Jak?

„Chłopczyca”. Nawet w Hrabim chłopcom zdarzało się powiedzieć o mnie: „skrzat”. Tak, w pewnym sensie byłam nieraz odzierana z płci tylko dlatego, że wybrałam sobie zajęcie społecznie „niepasujące” do roli kobiety.

A potem dziwiłam się – naprawdę! – że jakiś facet się we mnie zakochał (*śmiech*).

Dziwię się, że się Pani dziwiła. Pani, „caryca polskiego kabaretu”, z Hrabiego, o którym mówi się, że unieważnia wszystkie inne kabarety. W Waszej książce „Hrabi. Duszkiem tak!” (Znak 2019) Jan Englert mówi, że jesteście najbardziej inteligentni i najbardziej kulturalni, a Maciej Stuhr, że inne kabarety powinny się nazywać „Pół-Hrabi” albo „Ćwierć-Hrabi”.

My się nie pompujemy tym, co słyszymy. Z tego pławienia się w komplementach można się z czasem utopić. Więc gdy ktoś pochwali, powie coś miłego, to się cieszymy – „Bardzo to jest miłe, a do

JOANNA KOŁACZKOWSKA jest aktorką kabaretową i teatralną, autorką tekstów, prezenterką radiową i podkasterką. Od 2002 r. związana z Kabaretem Hrabi, wcześniej z kabaretami Potem i Drugi Garnitur, współtwórczyni (z Szymonem Majewskim) podkastu „Mówi się".

Na zdjęciu: Z Kabaretem Hrabi w programie „Gdy powiesz: Tak". Białystok, październik 2013 r.

ANATOL CHOMICZ / FORUM

tego jakie prawdziwe!" – ale bierzmy się za robotę, bo zaraz jest nowa premiera.

Dużo jest śmiechu w Pani życiu?

Teraz sporo, choć nie zawsze tak było. Od lat leczę się z depresji, a po tym, czy w moim prywatnym życiu jest miejsce na śmiech, rozpoznaję, czy jest ze mną lepiej.

Depresji nie da się śmiechem wyleczyć.

W najtrudniejszych momentach nie tylko nic mnie nie bawiło, ale też nic nie cieszyło. I nie było w stanie wyrwać ze stanu smutku. Śmiech się przydawał wtedy, gdy robiło się lepiej.

Miała Pani przerwy w pracy?

Ani dnia! Wiem, że ta choroba często wyklucza z życia, a jednak mnie scena trzymała przy życiu. Nie cieszyło mnie jedzenie, nie cieszył mnie sen – a wchodząc na scenę, wkraczałam tak jakby do innej rzeczywistości.

Tylko później trzeba było wrócić do tej poprzedniej.

I było znowu źle. Ciągnęło się to za mną latami, zaostrzyło w pandemii – teraz jest już znacznie lepiej.

Smutek jest w Pani życiu od początku. We wspomnianej książce opowiada Pani o tacie, z którym bawiła się Pani w chowanego, i znajdowała go dzięki wystającym spod firan butom. Potem tata umarł, ale buty pod firanką zostały – w dodatku nie było Wam z siostrą dane przeżyć żałoby, bo zgodnie z wersją dorosłych tata miał wrócić „wraz z nadejściem śniegu".

Moje życie to było – i do pewnego stopnia nadal jest – balansowanie między dwiema skrajnościami: dużym smutkiem i wielką radością. Być może najbliżej równowagi jestem teraz, po 10-letniej terapii, dzięki której więcej o sobie wiem.

Śmiech to też Pani odpowiedź na lęki? Malownicze, czasem absurdalne. Przed zapadliskami, przed lawinami błotnymi...

Nadal je mam.

Że tutaj, do kawiarni, wpadnie lawina błotna?

Aż tak to nie – chodzi raczej o symbolikę tych lęków. Obawę przed czymś, co dzieje się nagle, i czego nie sposób zatrzymać.

Śmiertelnie poważne pytanie: wolno się w ogóle śmiać z lęków? Z chorób? Ze śmierci?

Przecież sami to od początku tej rozmowy robimy, więc chyba się da. To samo robię z wieloma moimi przyjaciółmi. Jeden z nich jest hipochondrykiem – gdy opowiada, jak się bada, jak dręczy lekarzy, to trudno zachować powagę.

Ale jest w tym coś więcej. Może podświadomie ciągnie mnie do tych tematów – lęków, chorób, przemijania – bo próbuję się do różnych granicznych sytuacji przygotować? Oswoić lęki, także śmiechem.

Z chłopakami rozmawiamy czasem, co będzie, jak umrze Kamol. Albo co się stanie, jak zabraknie mnie.

Co?

Mówię chłopakom, że namaszczę – na tę okoliczność – dwie dziewczyny.

Dwie, żeby zrekompensować brak jednej Kołaczkowskiej?

Nie o to mi chodziło! Dwie na wypadek, gdyby jedna się nie zgodziła.

A wracając do pana pytania: oczywiście czym innym jest się śmiać z siebie – swoich chorób, własnych lęków i własnego przemijania – a co innego robić to samo ze sceny. Zgłosił się do nas kiedyś pan, którego żona chorowała na raka. Powiedział, że musimy koniecznie zrobić program o tym, co się dzieje społecznie wokół osób ciężko chorujących. Że znikają z ich otoczenia przyjaciele, że stają się samotni.

Wiem, że ci ludzie potrzebują mówienia o swoim stanie wprost, czasami może nawet rozbrojenia swojej sytuacji śmiechem. Ale jednak nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić robienia na ten temat skeczów. ↦

Pani się prywatnie dużo śmieje?

Mieszkam sama. Kiedy wracam z pracy, potrzebuję ciszy. Nie robię imprez, nie włączam głośno muzyki. A do siebie się nie śmieję.

Więc prędzej w towarzystwie – ale za to dość często.

W jaki sposób?

Drę się. Wybucham.

Ostatnio furorę w sieci robią krótkie, skrajnie absurdalne filmiki o cioci i Filipku, odgrywane przez Panią wraz z młodym aktorem Filipem Cembalą. W jednym z odcinków uczy Pani Filipka „śmiechu bocznego".

Bocznego, czyli taktownego, z subtelnym użyciem ręki. Ale w życiu to ja częściej mam śmiech głośny, nieopanowany. A kiedy nie wypada się śmiać, to wtedy śmieję się jeszcze bardziej.

Myśli Pani czasami o śmiechu Polaka? Co się w nim zmienia?

W miarę, jak naród coraz bardziej się dzieli politycznie, większe jest też chyba oczekiwanie wzięcia oddechu od polityki. Choć nie zawsze. Rozstaliśmy się nie tak dawno z menedżerem, który m.in. chciał, byśmy w tę politykę wreszcie weszli. Zaczął nawet publikować na naszym Facebooku polityczne apele...

Raz o politykę pokłóciliśmy się zresztą także w naszym gronie.

Powiem to Panu w absolutnej tajemnicy: myśmy z Darkiem Kamysem, który prywatnie jest mężem mojej siostry, byli po dwóch stronach politycznej barykady.

Kto był „gamoniem z rządu", a kto „głupkiem z opozycji"?

Pije pan do naszego jedynego politycznego skeczu, napisanego przez Władka Sikorę, pokazującego modelową debatę. To było do zaakceptowania, bo ten skecz nie stanowił bieżącej publicystyki – pokazywał coś ponadczasowego.

A kto był kim w naszej awanturze, tego panu oczywiście nie zdradzę.

Wystarczy mi sensacyjna wiadomość, że członkowie Hrabi – tłumaczący swój dystans do polityki „własnym stylem" i chęcią łączenia Polaków – sami skoczyli sobie do gardeł.

KAMILA MARKIEWICZ-LUBAŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Jako Hrabina Pączek

Pamiętam, że powiedziałam nawet wtedy: „Skoro tak, to ja nie wyobrażam sobie dalszej współpracy", choć wcale tak nie myślałam. To był tylko taki szantażyk. Zresztą od tamtej pory zdążyliśmy się do siebie światopoglądowo zbliżyć.

A bieżąca polityka naprawdę nie jest w naszym stylu – i jest to świadomy wybór artystyczny. A może nawet etyczny: my nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić sytuacji, że naśmiewamy się z jakiejś konkretnej, żyjącej osoby.

Andrzej Poniedzielski powiedział, że Hrabi naigrywa się z głupoty człowieka, ale „z wyraźną troską o niego". I że nawet w tym naigrywaniu czuć empatyczny podprogowy przekaz: „Każdemu się może zdarzyć".

A jeszcze chętniej uśmiechamy się po prostu do codzienności, przyglądając się np. prozie relacji międzyludzkich. To się nigdy nie zmieni: ludzie zawsze będą chcieli rozmawiać o relacjach, a skoro tak, to również się z nich śmiać.

Relacje to też pułapka. Próbujecie łamać stereotypy, jak w skeczu, w którym przerażony mąż tak boi się powrotu do domu dominującej i przemocowej żony Wandy, że się jąka i przekręca jej imię („Windzia jedzie!"). Ale i Wy pławicie się w stereotypach.

I skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie boję się ich przegrzania. Mamy, co tu kryć, swój „przebieg", który już nie będzie mniejszy, a świat się zmienia.

I 20-latek może nawet nie zrozumieć tyrady żony ze skeczu „Stupor": ona wyrzuca mu, że zrobił sobie naprzeciwko telewizora „wodopój i paśnik".

Ciągle zadajemy sobie pytanie: co ci młodzi mogą od nas dostać? Staramy się eliminować niektóre scenki czy dialogi, które „jadą" na starych kalkach. Chcę, byśmy zmieniali się razem ze światem, pozostając równocześnie sobą. Musimy brać pod uwagę np. to, jak bardzo zmieniają się związki, będące przecież naturalnym tematem dla kabaretów: ludzie się ze sobą już tak często nie mordują, tylko się rozstają, zanim pojawi się ten „paśnik i wodopój".

Jest też inna pułapka: poprawności politycznej.

Słyszę co i rusz takie zdanie: „Za chwilę to już z niczego się nie będzie wolno śmiać".

Nie wydaje mi się, żeby to był nasz największy problem – sama zresztą, jak pan słyszał, wolę się czasami do tej poprawności politycznej dostosować, zwłaszcza jeśli na szali są uczucia ludzi. Większym zagrożeniem dla kabaretu jest to, co było nim zawsze: niechlujność, bylejakość, brak stylu. Dobra sztuka, a ja kabaret uważam za sztukę, obroni się zawsze swoją jakością – niezależnie od tego, czy będzie przekraczać granice poprawności, czy nie.

Bywa, że ofiarą poprawności padają satyrycy. Krzysztof Daukszewicz rozstał się ze „Szkłem kontaktowym”, choć chyba nikt nie wierzy, że chciał obrazić środowisko LGBT+. Daukszewicz, odnosząc się do wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego na temat płci, niefortunnie zażartował, zapominając najwyraźniej, że będący razem z nim na wizji dziennikarz Piotr Jacoń jest ojcem transpłciowej córki. W ślad za Daukszewiczem ze „Szkła” odeszli Robert Górski, który uznał, iż to cenzura rodem z TVP Info, a także Artur Andrus.

Zgadzam się, że pan Krzysztof, choć wyraził się niefortunnie, nie chciał nikogo urazić. A równocześnie byłam zdziwiona gwałtowną reakcją Roberta i Artura.

Czyli Pani, gdyby była w „Szkle”, toby z niego po tej aferze nie odeszła?

Nie, choć zastrzegam, że nie znam dokładnie kulis tego rozstania.

No i musiałby mnie pan jeszcze zapytać, czy w ogóle bym do „Szkła” poszła.

Pytam: poszłaby Pani?

Nie, z przyczyn opisanych wyżej – ja bym się nie odnalazła w politycznej satyrze. Ale to nie jedyny powód: nie ciągnie mnie do telewizji, a tym bardziej do programów, w których realizowałabym czyjeś, a nie własne pomysły, i obcowała nie ze „swoją” publicznością. Z tego samego powodu nie poszłabym do programu typu „Taniec z gwiazdami”.

„Wolimy scenę od estrady” – powtarzacie.

To prawda, choć zależy jeszcze, co nazywamy telewizją. Np. rejestrujemy nasze występy, które później można odtworzyć na założonym przez nas kanale internetowym www.hrabi.tv. A nie lubimy estrady nie dlatego, że jesteśmy uprzedzeni do telewizji, tylko po prostu wiemy, że tam nie da się – bez telebimów – odbierać tego, co chcemy przekazać. Przy takich tłumach widz nie jest w stanie wychwycić niuansów, które w naszych występach są istotne. Dlatego wolimy zagrać kilka razy dla kilkuset osób niż raz dla kilku tysięcy.

Jak Polak odnosi się do humoru abstrakcyjnego? Może to jest właśnie domena młodszej publiki, sądząc po tysiącach wyświetleń wspomnianych scenek z życia Filipka i cioci w mediach społecznościowych?

Te scenki to już czysty absurd, przecież one są kompletnie o niczym (*śmiech*). Robimy to spontanicznie, z doskoku, tym większe było moje zaskoczenie, gdy się okazało, że mamy dziesiątki tysięcy reakcji. Może właśnie ze względu na tę spontaniczność i luz: ludzie nawet lubią, że to jest trochę byle jak nagrane – może mają wtedy wrażenie, że faktycznie podglądają prawdziwą ciocię i prawdziwego Filipka gadających od rzeczy.

Słuch do absurdu mam być może po mamie. Ostatnio rozmawiamy przez telefon, a ona mówi: „Słuchaj, mąż Helenki zmarł, a ona z gołą głową chodzi”.

Absurd jednak, w sensie warsztatowym, nie jest wbrew pozorom taki łatwy. Chwyta, gdy jest dobrze zagrany, tzn. gdy to „nic” ubierze się w formę sugerującą, że mamy do czynienia z prawdziwą głębią.

Pani już przegalopowała wszędzie: przez estradę, scenę, kabaret dla dorosłych, dla dzieci, internet; dwie stacje radiowe (najpierw Trójka, teraz Radio Nowy Świat), telewizję. Ma Pani na kolejne trzy dekady marzenia?

Przede wszystkim się nie zatrzymywać. Mam marzenie, by wydać płytę; by sfilmować mój recital „Hrabina Pączek”; by zrobić teledyski do moich piosenek. Te muzyczne marzenia mi się jakoś tak z wiekiem rozkręcają.

Chciałabym też zrobić teatr dla dzieci. Kto wie, może bym też zagrała w spektaklu – dramacie, nie komedii?

A gdy to wszystko się spełni, to może być nawet śmierć na scenie.

Tylko nie w środku występu.

Ale już na bisach – jak znalazł.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Dziary po hebrajsku

Tatuaże często okazują się trwalsze od związków, na cześć których zostały wykonane. 20 lat temu Radosław Majdan grał przez jeden sezon w izraelskim klubie piłkarskim i zapewne wtedy na jego przedramieniu pojawiła się pokaźnych rozmiarów dziara po hebrajsku (napis „Dorota"). Doda nie pozostała mu dłużna i do niedawna na jej ręce widniało „Kochać Radek" w tym samym języku. Choć prawo żydowskie tatuowania zakazuje, zapewne studiów tatuażu w Izraelu nie brakuje.

Rabin Cylkow tak oddał w ostatniej dekadzie XIX w. traktujący o tym wers: „A nacięć dla umarłego nie czyńcie na ciele waszém, i napisów nakłówanych nie nadawajcie sobie: Jam Wiekuisty!" (Kpł 19, 28). Tradycja nie pozostawia wątpliwości, że chodzi o tatuaż, z którym Izraelici zetknęli się w Egipcie, gdzie znakowano ciała imionami tamtejszych bogów. Pierwsza część Talmudu widzi czyn niedozwolony w „napisaniu" trwałym barwnikiem, rabin Szymon syn Jochaja potępia jedynie wytatuowanie imienia [bożka], ponieważ jest napisane: „Nie tatuuj się: Jam Wiekuisty". Próby wyjaśnienia zakazu są trojakie. Po pierwsze: tak robią bałwochwalcy – nie naśladuj, byś ostatecznie nie stał się jednym z nich. Włoski rabin z przełomu XV i XVI w. zauważa, że jedynym dozwolonym znakiem na ciele jest obrzezanie. Większość widzi w tatuowaniu niszczenie ciała, które Najwyższy dał nam w czasowe użytkowanie. Zastanawiające są trzy biblijne wersy (Iz 44, 5 [napisze na swej ręce „dla Wiekuistego"]; 49, 16 [na dłoniach wyryłem Cię] i Hi 37, 7 [rękę każdego człowieka oznaczy]), które – potraktowane dosłownie – mogą odnosić się do tatuaży. Choć nastręczają trudności tylko tym, którzy nie chcą widzieć prawa żydowskiego w perspektywie historycznej.

Kiedy – prawdopodobnie pod wpływem wydziaranej po hebrajsku pary celebrytów – w naszym kraju zrobiły się modne tatuaże w tym języku, prośby kierowane do warszawskiej Gminy Żydowskiej o napisanie słowa lub frazy, która „ozdobi" potem czyjeś ciało, spływały do mnie. Przez jakiś czas średnio trzy na tydzień. Następująca szczególnie wryła mi się w pamięć: żeby napisać po hebrajsku „Jezu ufam Tobie". Przyznaję, że nie zrobiwszy kwerendy, czy tłumaczono już siostrę Faustynę na hebrajski, zaproponowałam własny przekład tej deklaracji. Nadawcy prośby wysłałam PDF – wtedy niektóre edytory tekstowe z lubością odwracały kolejność pieczołowicie wstukanych hebrajskich liter – i odetchnęłam z ulgą: katolicyzm nie ma skrystalizowanego stanowiska dotyczącego tatuaży i tu przynajmniej wiem, że nie przykładam ręki do grzechu żyda. Szybko przyszło podziękowanie z kolejną prośbą: czy mogłaby mi to pani napisać pionowo? Bo to ma być wytatuowane wzdłuż kręgosłupa. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Choroby naszej wiary

Kananejska matka, pokonując opory apostołów i samego Jezusa, nie tylko otrzymuje od Niego pomoc, ale i uznanie: „Kobieto! Wielka jest twoja wiara! Niech więc ci się stanie tak, jak chcesz". Wielkość tej jej wiary przejawiła się w odwadze wyjścia z klatki zdogmatyzowanej religijności. Temu ewangelicznemu wydarzeniu warto się przyjrzeć, jako że choruje nasza religijność.

Powiedzmy od razu, jedną z przyczyn tej choroby jest to, że wypędziliśmy z Kościoła rozum. Dowód? Wystarczyło parę miesięcy obostrzeń covidowych, a z Kościoła, biorąc rzecz procentowo, wynieśli się przede wszystkim ci, którzy w swoich i cudzych oczach uchodzili za głęboko wierzących i praktykujących. Chuchaliśmy na nich i dmuchaliśmy, i nadal to robimy, żeby ich tylko nie zgorszyć, bo jak odejdą, to kto nam zostanie? Natomiast procentowo najmniej odeszło tych, którzy przyszli do Kościoła z własnej, nieprzymuszonej woli i byli uważani za katolików gorszego sortu. Domagający się komunii na rękę i na stojąco, niesłuchający wyłącznie katolickich „głosów", nieodmawiający modlitwy do św. Michała Archanioła i krytykujący ostatnich naszych obrońców, to znaczy polityków udających kaznodziejów i kaznodziejów z biskupami na czele, którzy Ewangelię podporządkowali partyjnej propagandzie, czy też niedouczonych egzorcystów i mistyków propagujących jakieś zmyślone objawienia.

Co prawda lekarze, nie wszyscy, ostrzegali, ale kto ich słuchał? Pewnie niewielu, skoro milczeliśmy, albo wielkodusznie oświadczaliśmy, że można i tak, i tak, i jeszcze inaczej. Epidemia to taka sobie grypa, szczepienia to zbrodnia na narodzie, powoduje bezpłodność, to wszczepianie czipów, ograniczenie frekwencji to działania komuchów. A do tego jeszcze: komunia na rękę to świętokradztwo, grzech śmiertelny i prosta droga do piekła. Ciało Pańskie jest najskuteczniejszym lekarstwem na wszystkie choroby, nie może zarażać, podobnie namaszczone, kapłańskie dłonie. Zamiast lekarstw proponowaliśmy procesje pokutne i krzyże morowe oraz modlitewne szturmy do nieba, jakbyśmy nie pamiętali, że nasz „Ojciec niebieski wie, czego nam potrzeba", i nie przepada za pobożną „paplaniną". Słowem, oderwaliśmy wiarę od rozumu i zapomnieliśmy, że to, co bezrozumne, nie może być pobożne. „Zwróć się do lekarza, gdyż to Pan go stworzył. (...) Pan stworzył lekarstwa pochodzące z ziemi i roztropny człowiek nie będzie ich odrzucał. (...) Lekarz uzdrawia i łagodzi ból, a aptekarz przygotowuje miksturę" (Syr 38). Tych, którzy odeszli, warto by zapytać: dlaczego? A duchownych, czy rzeczywiście nasze milczenie wynikało z uczciwej troski o Boga i ludzi w świecie i Kościele. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Narodzić się na nowo

Jeden, kiedy grzeszy, (...) odłącza się od Boga, staje się podzielony i pozbawiony jedności.

ORYGENES

„Ja" stoi między Bogiem a wami. Kiedy człowiek powiada „ja" – przywłaszcza sobie słowo swojego Stwórcy i odgradza się od Niego. Kto jednak składa ofiarę ze swojego „ja", ten nie ma przed sobą żadnej przegrody.

RABBI JECHIEL MI

Ostatnią katechezę na Światowych Dniach Młodzieży w Lizbonie przeżywaliśmy w formie liturgii pokutnej. Biblijną kanwę dla niej stanowiły słowa zaczerpnięte z maryjnego „Magnificat": „A Jego miłosierdzie z pokolenia na pokolenie" (Łk 1, 50).

„Magnificat" nie jest hymnem, który by powstał z teoretycznej czy poetyckiej refleksji na temat, kim jest Bóg. Jest on wybuchem uwielbienia w odpowiedzi na wydarzenie i doświadczenie. Maryja wychwala Boga, który zdumiewająco i potężnie objawił się właśnie w jej życiu i w życiu jej krewnej – Elżbiety. Objawił się jako... Miłosierdzie (to słowo pada jeszcze raz pod koniec hymnu: „ujął się za swoim sługą, Izraelem, pomny na swe miłosierdzie").

Miłosierdzie Boga w życiu Maryi i Elżbiety objawia się tak, że Bóg wypełnia ich łona nowym życiem. Właśnie tego chce dla nas Bóg za każdym razem, kiedy wychodzi ku nam w swoim miłosierdziu (a już szczególnie w doświadczeniu nawrócenia i sakramentu pokuty): chce, byśmy się odrodzili na nowo – jeszcze raz zaczęli od początku. Pan nie chce dla nas jakiejś kosmetycznej zmiany – delikatnego retuszu jednej czy drugiej grzesznej postawy – Bóg daje kompletnie nową szansę: nowe życie. To właśnie kryje się w najważniejszym hebrajskim/biblijnym słowie określającym „miłosierdzie": *rachamim*. Źródłowo pochodzi ono od hebrajskiego *rechem*, to znaczy „łono". Bóg gotów jest nieustannie poczynać nas na nowo w swoim łonie i ciągle na nowo rodzić. Nigdy się tym nie męczy i nigdy przy tym nie traci nadziei.

Niesłychanie przy tym ważne jest uświadomić sobie, że w obu przypadkach – Maryi i Elżbiety – naszą pierwszą reakcją na wydarzenie miłosierdzia (czyli poczęcia nowego życia) jest: niemożliwe. Maryja poczyna Jezusa pozostając dziewicą („Nie znam męża") – to niemożliwe! Elżbieta natomiast poczyna Jana „w swej starości", będąc przez całe swoje długie życie „niepłodną" – i to jest niemożliwe! Takie jest właśnie nierzadko nasze podejście do Bożej propozycji miłosierdzia – do oferty rozpoczęcia życia na nowo: to niemożliwe!

Czasami niemożliwe tak, jak w przypadku Maryi, która w chwili zwiastowania mogła mieć dwanaście (lub nieco więcej) lat – mówimy: za wcześnie. Jeszcze nie teraz. Może jutro, za rok, za dziesięć lat – teraz nie jestem jeszcze gotowy...

Może być także przeciwnie – jak w odniesieniu do Elżbiety: to niemożliwe – już jest za późno. Zabrnąłem za daleko. Z miejsca, gdzie się znalazłem, już nie ma powrotu. Może dla innych jest jeszcze szansa urodzić się na nowo, ale dla mnie już z całą pewnością nie.

Bóg mówi: możliwe! I mówi: dzisiaj! Nie wiem, ilu młodych wyspowiadało się tego dnia w Lizbonie: pół miliona? Milion? Wiem, że także dla tych, którzy tego nie uczynili, Bóg niezmiennie i niezmordowanie otwiera swe łono. Chce, by nie byli jedynie stworzeni, ale również (na nowo) zrodzeni – na wzór Jego Jedynego Syna. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (20 – 27 VIII)

20. niedziela zwykła: Iz 56, 1. 6-7; Ps 67; Rz 11, 13-15. 29-32; Mt 15, 21-28;
Poniedziałek: Sdz 2, 11-19; Ps 106; Mt 19, 16-22;
Wtorek: Sdz 6, 11-24a; Ps 85; Mt 19, 23-30;
Środa: Sdz 9, 6-15; Ps 21; Mt 20, 1-16;
Czwartek: Ap 21, 9b-14; Ps 145; J 1, 45-51;
Piątek: Rt 1, 1. 3-6. 14b-16. 22; Ps 146; Mt 22, 34-40;
Sobota, uroczystość NMP Częstochowskiej: Prz 8, 22-35 lub Iz 2, 2-5; Ps 48; Ga 4, 4-7; J 2, 1-11;
21. niedziela zwykła: Iz 22, 19-23; Ps 138; Rz 11, 33-36; Mt 16, 13-20.

Wybrał PIOTR SIKORA

BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

BOGUSZ BILEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE GREENPEACE POLSKA

JACEK KARCZEWSKI, *dawniej aktywista, dziś autor książek przyrodniczych. Sopot, lipiec 2020 r.*

ZAWÓD: EKOLOG

Ciągła walka ze stresem, konflikty z decydentami, brak wolnego czasu. A na dokładkę kiepskie wynagrodzenia i toksyczne układy środowiskowe. Polscy aktywiści czują się wypaleni.

KRZYSZTOF STORY

Jacek Karczewski przesyła mi notatkę z przemyśleniami po prawie 20 latach pracy w ochronie przyrody. Czytam o żalu, stratach, bezsilności, depresji. Najkrótsza jest odpowiedź na pytanie, czy żałuje tego wszystkiego. To jedno słowo: „tak".

Na aktywistów, ekologów i przyrodników patrzymy przez pryzmat ich misji, strategii, wygranych lub przegranych bitew o naturę. Oceniamy konkretne akcje i postulaty, ale ludzie, którzy za tym stoją, rzadko mieszczą się w naszej perspektywie. Jedno z nielicznych polskich badań autorstwa dr Marzeny Cypryańskiej-Nezlek z Uniwersytetu SWPS pokazało, że aż 43 proc. aktywistów i pracowników organizacji pozarządowych czuje się bardzo zestresowanych, a połowa jest po prostu zmęczona. Wyniki ankiety tylko miejscami są optymistyczne: 70 proc. odczuwa satysfakcję z pracy i uważa, że ma ona sens. Z drugiej strony: 45 proc. wyrzuca sobie, że nie robi tyle, ile trzeba. 40 proc. czuje, że „wali głową w mur".

Karczewski, przyrodnik, współzałożyciel stowarzyszenia Jestem na pTAK! (wcześniej Ptaki Polskie), na pytanie, czy coś by zmienił, gdyby mógł cofnąć czas, odpowiada: – Może poszedłbym ścieżką Adama Wajraka, popularyzatora przyrody, a nie aktywisty. Częściej chodziłbym w teren, obserwował ptaki. Więcej czasu spędzałbym z rodziną i przyjaciółmi. Wróciłbym na wieś i miał dom z ogrodem...

Nie dać się obijać

Według raportu organizacji Global Witness w 2021 r. na świecie zamordowano 200 osób działających na rzecz ochrony środowiska. To nie tyle aktywiści, co drobni rolnicy albo rdzenne społeczności stojące na drodze wielkim interesom. Ponad trzy czwarte morderstw miało miejsce w Ameryce Południowej, co jest regułą od dekady, ale rekord krajowy dzierży Meksyk, w którym zginęły 54 osoby.

W Polsce i Europie aktywizm przyrodniczy i obrona własnej ziemi nie są grą o tak wysoką stawkę, choć i u nas zdarzają się tragedie. Adam Ulbrych przez lata działał na rzecz renaturyzacji rzek i walki z suszą w województwie opolskim. W 2014 r. wraz z innymi mieszkańcami protestował przeciwko wycince drzew w gminie Wołczyn. W końcu, po serii SMS-ów z pogróżkami, spalono mu dom. Za zlecenie podpaleń (ogień podłożono też w okolicznym gospodarstwie) skazano Michała A., właściciela pobliskiej fabryki mebli, który dostał sześć lat więzienia. Ulbrych zaś wyprowadził się do Milówki w Beskidzie Żywieckim. Dziś skupia się już prawie wyłącznie na edukacji.

Cena zazwyczaj jest niższa, ale płacą ją prawie wszyscy, którzy na poważnie

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

ŁUKASZ SUPERGAN *podczas protestu Greenpeace „Cała Puszcza parkiem narodowym". Warszawa, 14 kwietnia 2016 r.*

DOMINIKA LASOTA *podczas konferencji prasowej inicjatywy Wschód. Warszawa, 18 października 2022 r.*

angażują się w ochronę natury. Czasami są to prozaiczne historie. Rozmowy do artykułu musiała odmówić mi jedna z aktywistek, bo właśnie zmaga się z boreliozą, której nabawiła się podczas dni spędzonych nad Odrą. Jednak dużo częściej za aktywizm płaci się zdrowiem psychicznym.

– Niezwykłe jest to, ile wspólnego mają historie organizacji przyrodniczych – mówi Karczewski. – Wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej poobijani. Zaczyna się zwykle od ambitnych celów i dużego szumu. Dzisiaj na szczęście się to zmienia, ale kiedyś organizacje reagowały na „nowych" jak puchacz broniący rewiru. Nie mogłeś liczyć na żadną pomoc, za to z różnych stron przychodziły kolejne ciosy. W końcu było ich tak dużo, że zaczynał się zjazd w dół, z końcem w postaci nokautu albo resetu. Trzeba było wymyślać się na nowo, najczęściej z dużo mniejszym rozmachem, bez porywania się z motyką na słońce. To chyba jedyny sposób, żeby w ogóle przetrwać w naszych warunkach.

Tak było z jego stowarzyszeniem Ptaki Polskie. Powstało na początku XXI wieku, w szczytowym momencie miało ponad 20 pracowników, cztery siedziby, realizowało projekty chroniące naturę, naukowe, edukacyjne, tworzyło rezerwaty, współpracowało z parkami narodowymi, obracało milionami.

– Krytyczny cios przyszedł z najmniej spodziewanej strony, od wewnątrz – wspomina Karczewski. – Mieliśmy wieloletni i bardzo drogi projekt z unijnego funduszu LIFE oraz, jak się okazało, bardzo nieudolnego kierownika. Musieliśmy mu dać wybór: albo przygotuje program naprawczy, albo się rozstajemy. Wybrał to drugie, a ja wyjechałem na pierwszy od kilku lat tygodniowy urlop. Gdy wróciłem, zastałem inną rzeczywistość, bo zraniony były kierownik napisał donos i rozesłał go w dziesiątki miejsc.

Projekt i stowarzyszenie były przez ponad rok prześwietlane na wszystkie strony, także przez NIK. – Kontrola zakończyła się wynikiem pozytywnym, ale to już nie miało znaczenia – wspomina Karczewski. – Zaczęliśmy być traktowani jak trędowaci. Oceniano nas nie za to, co zrobiliśmy, tylko za to, o co byliśmy podejrzani.

W tym przypadku stawką była nie tylko możliwość skutecznego działania. Aktywizm, nawet ten sprofesjonalizowany, robiony „na etacie", rzadko jest tylko pracą. To również spory kawałek tożsamości; nie każdy radzi sobie z próbami dyskredytacji.

– Ja ledwo to przeżyłem – przyznaje Karczewski. – Przez lata prowadziłem firmę, miałem jakiś tam prestiż, pieniądze, dobre imię. Wchodząc w obronę przyrody ryzykowałem majątkiem, bo naprawdę w to wierzyłem. Moi bohaterowie to przecież sami pozytywiści: doktor Judym i jemu podobni. Przez lata pracowałem po kilkanaście godzin na dobę, kupiłem nad Biebrzą siedzibę dla stowarzyszenia, zostawiliśmy po sobie dobry ślad. I nagle ktoś mi mówi, że wszystko to zrobiłem, żeby ukraść jakiś grant. Nigdy w życiu nie czułem się tak bezsilny. Rozsypałem się. Na ostatnich oparach napisałem książkę „Jej wysokość gęś". Ludzie mówią mi dzisiaj, że to książka o miłości do przyrody, a dla mnie to są wspomnienia o wielkim bólu. I o myślach samobójczych.

Pilnować swoich granic

W historiach aktywistów-przyrodników kluczowe są początki. To, na jakim etapie życia zaczynają się angażować, definiuje ich możliwości oraz nastawienie. Dość częstym schematem, zwłaszcza od kiedy Greta Thunberg rozpoczęła akcję „Piątki dla klimatu", jest angażowanie się ludzi młodych, ze szkół średnich i uczelni. Tak powstał Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, tak też rodzi się organizacja Wschód, działająca na rzecz transformacji energetycznej.

Dominika Lasota, jedna z jej aktywistek, mówi: – Tak, to trudna praca, ale też wiele daje. Spotkałam tu ludzi, którzy myślą podobnie i są gotowi o swe idee walczyć. Bardzo tego potrzebowałam, bo jestem osobą zaangażowaną i zarazem wierzącą, ale widząc, co się dzieje z Kościołem, przestawałam czuć, że to moja wspólnota.

Dominika nigdy nie była dzieckiem, które całe dnie spędzało w lesie. Raczej siedziała przed telewizorem i oglądała ↦

↦ „Hannah Montanę" w rodzinnej Bydgoszczy. Czuła, że nauka jest jedynym, co jej naprawdę wychodzi. W wieku 16 lat wyjechała na wymianę szkolną na północ Anglii. – Wcześniej obejrzałam film „Before the Flood" o katastrofie klimatycznej i zamurowało mnie. Ale w arystokratycznej szkole z siedzibą w starym klasztorze czułam się oderwana od świata. Obserwowałam Gretę, ale nic nie mogłam zrobić, bo szkoła zabraniała. Uczennicy z Polski, i to na stypendium, nie wypadało wzniecać protestów.

Dominika wróciła do Polski na początku pandemii i – mimo lockdownu – zaczęła działać w Młodzieżowym Strajku Klimatycznym. Jej misją od trzech lat jest wywieranie presji na polityków: od ulicznych protestów, przez sejmowe komisje, po korytarze szczytu klimatycznego w Egipcie w 2022 r., gdzie prezydent Andrzej Duda miał spore problemy z odpowiedziami na pytania Dominiki o naszą transformację energetyczną. – Mam w sobie dużo nadziei i energii. Wykorzystuję to, na ile mogę, ale muszę pilnować swoich granic. Nie można wpaść w myślenie, że jeśli nie zrobię wszystkiego, to jakbym nie zrobiła nic. Każdy daje z siebie tyle, ile może. Finalny efekt i tak tylko w części zależy od ciebie.

Aktywistka przyznaje, że miewa momenty zwątpienia – ale wynikają one najczęściej z decyzji polityków. Tak było przy okazji walki o liberalizację ustawy o elektrowniach wiatrowych. Zmiany w niej popierały trzy czwarte społeczeństwa. A potem Marek Suski odręcznie napisał poprawkę, która większość zapisów wyrzucała do kosza. W takich momentach Dominice ciężko zrozumieć, czym kierują się ludzie u władzy. W szkole mówili jej, że dorośli „ogarniają całość spraw, wiedzą lepiej". W kwestii klimatu ewidentnie jest inaczej.

– Mimo wszystko marzę, by za 10-20 lat dalej to robić. To mi daje życie – mówi.

Niektóre historie tak się właśnie rozwijają – zryw młodzieńczy przeradza się w styl życia, decyduje o wyborze kierunku studiów, pracy. Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

– Znam mnóstwo takich opowieści – mówi Łukasz Supergan, od lat związany z Greenpeace. – Przychodzi nowy wolontariusz i rzuca się w wir. Przez dwa, trzy lata jest na każde skinienie. Pisze maile, chodzi na demonstracje, kształci, buduje stację na skraju kopalni odkrywkowej, nic mu nie straszne. I nagle znika. Parę lat później spotykasz go albo ją w zupełnie innej branży. Niestety, jeśli zrobisz z życia barykadę i nie dasz sobie prawa, żeby z niej czasem zejść, po paru latach jesteś spalony.

JACEK KARCZEWSKI:

Zamieniłem eleganckie buty na wodery, a walizkę na plecak. Ale dopiero wśród aktywistów doświadczyłem tego, z czym kojarzymy korporacje.

Łukasz, znany głównie jako specjalista od długodystansowych wędrówek, trafił do ochrony przyrody rok po studiach, od razu na etat. To rzadki komfort. – Greenpeace przyciągnął mnie tym, że działają radykalnie, ale bez przemocy – mówi. – Idąc na akcję narażasz się na to, że zostaniesz zatrzymany i spędzisz noc w areszcie. W mojej historii okazało się, że ja co prawda byłem na to gotowy, ale moja partnerka nie. Nie była to jedyna przyczyna, ale związek nie przetrwał tej próby.

Wiązać koniec z końcem

Dla wielu aktywistów największym wyzwaniem nie jest ryzyko aresztowania, ale... płacenie rachunków. Codzienność to niskie pensje, umowy śmieciowe i tzw. grantoza, która każe skakać od projektu do projektu, byle tylko związać koniec z końcem. Według badań całego sektora pozarządowego tylko 41 proc. organizacji regularnie płaci za pracę choć jednej osobie, a ledwie 22 proc. oferuje stałą umowę etatową. Nawet najwięksi, jak Greenpeace i WWF, mocno polegają na wolontariacie. Jest on oczywiście nieodłączną częścią aktywizmu, ale zarazem olbrzymim polem do nadużyć. Gdy zapłata za wielogodzinną pracę pod ogromną presją wyrażona jest wyłącznie w „misji" i „satysfakcji", mamy prostą drogę do kryzysu.

Łatwiej powinno być tym aktywistom, którzy w ochronę przyrody wchodzą później, mają ustabilizowane życie i pieniądze, więc mogą poświęcić się „misji". To jednak mit. Przykładem jest Antoni Kostka z Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze. Dołączył do niej mając 57 lat jako zamożny facet, który właśnie sprzedał firmę. Dziś angażuje się w reformę Lasów Państwowych, ale też ochronę Pogórza Przemyskiego (to tam policja i straż leśna usunęły blokadę aktywistów żądających zaprzestania wycinek i powołania Turnickiego Parku Narodowego).

– Wolę działać na poziomie politycznym, eksperckim, tam się bardziej odnajduję, niż przykuwając do drzew, ale potrzebne są obie nogi. Gdyby nie ludzie, którzy fizycznie blokują wycinki, za chwilę nie byłoby czego chronić. Trzeba jednak szybko przejść od etapu „akcji" i „zainteresowania mediów" do momentu, w którym mamy konkretne, realne propozycje.

Dużo rozmawiamy o polityce, negocjacjach, reformach, bo w takim *Realpolitik* były już biznesmen odnajduje się świetnie. Ale po chwili Kostka mówi: – Muszę zrobić sobie przerwę, chociaż kilka miesięcy, bo dotyka mnie ciągłe uczucie frustracji, bycia upokarzanym. Moim punktem zwrotnym była historia z Magdą Filiks i jej synem. Popełnił samobójstwo po medialnej nagonce, będącej skutkiem kontroli, jaką posłanka prowadziła w Lasach Państwowych. A ja byłem jedną z kilku osób, które jej doradzały – przyznaje, po czym dodaje: – Niczego nie osiągniesz, jeśli sam nie jesteś zdrowy i co rano masz ciśnienie 150. Ja pięć lat temu przeszedłem operację raka prostaty. Na oddziale widziałem facetów, którym jeszcze przed chwilą wydawało się, że wszystko mogą, a teraz drepczą w tych szlafroczkach, tacy malutcy.

Mieć twarde tyłki

Każda organizacja, działacz i działaczka płacą sporą cenę za to, co robią. Już samo sformułowanie „ochrona przyrody" sugeruje walkę. Na ciosy z zewnątrz aktywiści są dobrze przygotowani, ale wielu krzywdom i wypaleniom współwinne są też same organizacje.

– Ja przyszedłem ze świata korporacji. Miałem firmę HR-ową, organizowaliśmy szkolenia i rekrutacje dla dużych firm – wspomina Jacek Karczewski. – Nagle zmieniłem eleganckie buty na wodery, a walizkę na plecak. I dopiero tutaj, wśród aktywistów, doświadczyłem wszystkiego, z czym kojarzymy świat „korpo". Ogromną rywalizację, nadęte ego tokujących samców i samic, konflikty o nic.

Dzisiaj na szczęście widzę tego mniej, częściej pojawia się wspólnota celów.

Temat mobbingu i złej kultury pracy był przez lata przemilczany. – To paradoks: z jednej strony aktywizm z natury przyciąga ludzi wrażliwych, a z drugiej wiele organizacji funkcjonuje w modelu prawie że militarnym – mówi Natalia Sarata, działaczka społeczna, założycielka fundacji RegenerAkcja, która wspiera wypalonych aktywistów i aktywistki. – Mówi się: „to jest walka". Wymaga się „twardej dupy". Uczy się budowania barykad, ale często brakuje „infrastruktury troski".

RegenerAkcja jest jedną z pierwszych inicjatyw w Polsce, która zajmuje się tematem wypalenia aktywistycznego. Organizuje sesje z psychologami, pracuje też z całymi strukturami.

To samo robi Anna Kuliberda, dawniej członkini organizacji pozarządowej: – Wypalenie jest dla aktywistów szczególnie bolesne, bo to praca stanowiąca ważną część tożsamości. A wypalenie właśnie to odbiera; nawet nie tyle siły, co poczucie sensu. W polskich organizacjach do dziś często najważniejszymi kwestiami są pieniądze i czas. Bo projekt niegotowy, bo grant trzeba rozliczyć w terminie, bo misja wielkiej wagi czeka na swoich „żołnierzy". Łatwo wtedy zacząć traktować ludzi, jakby byli z gumy.

Obie ekspertki przyznają, że sporo zmienia się na lepsze. – Ciężkich historii o wypaleniu i mobbingu słyszymy więcej, ale to przede wszystkim dlatego, że wreszcie zaczynamy o tym rozmawiać – mówi Natalia Sarata. – Choć dalej widzę, jak ciężko jest, zwłaszcza mężczyznom, prosić o pomoc.

– O nowym pokoleniu często się mówi, że jest roszczeniowe na rynku pracy, i to samo można powiedzieć o ich aktywizmie – zauważa Anna Kuliberda. – Tyle że to nie roszczeniowość, lecz bardziej umiejętność stawiania granic. Widzę jeszcze jedną zmianę wśród młodych. Więcej mówią o emocjach. Kiedyś aktywizm był raczej intelektualny, oddzielony od uczuć. A przecież one są wpisane w samą istotę działalności. Chronisz coś, bo to kochasz, a nie dlatego, że w raporcie naukowym wyliczono, że jest cenne. Tak samo cierpisz, gdy się nie uda. W aktywizmie również na to musi się znaleźć miejsce.

©℗ KRZYSZTOF STORY

ADAM WARŻAWA / PAP

Konferencja prasowa Mateusza Morawieckiego przy wjeździe na autostradę A1. Rusocin, 1 lipca 2023 r.

Nasze drogie drogi

PIOTR WÓJCIK

Za bezpłatne autostrady przyjdzie nam sporo zapłacić. Tyle że nie z własnej kieszeni, ale wspólnej. Czy starczy nam pieniędzy na remonty dróg lokalnych i transport publiczny?

Z początkiem lipca na autostradach zarządzanych przez Generalną Dyrekcję Dróg Krajowych i Autostrad zniesiono opłaty za przejazd samochodów osobowych oraz motocykli. To pierwszy etap realizacji jednej z kluczowych obietnic wyborczych Prawa i Sprawiedliwości. Docelowo, już w przyszłym roku, bezpłatne mają być wszystkie autostrady w Polsce. Wygląda to prosto i konkretnie, ale tylko na wiecach.

Wakacyjna promocja

Sieć bezpłatnych autostrad nad Wisłą jest obecnie bardzo skromna. Opłaty dla pojazdów pasażerskich zniesiono tylko na dwóch odcinkach: A4 Gliwice–Wrocław i A2 Konin–Stryków. Oba odcinki nie należały jednak do najdroższych. Opłata wynosiła zaledwie 10 gr za kilometr, czyli 10 zł za sto kilometrów. Poza tym na obu odcinkach nie było już bramek, które spowalniałyby podróż i tworzyły korki (jak na dużo droższej A4 z Katowic do Krakowa, gdzie za 60 km zapłacimy 30 zł). Stało się tak dzięki zainstalowaniu systemu e-Toll, umożliwiającego mobilne uiszczenie opłaty; kierowcy nieposiadający tej aplikacji mogli natomiast zakupić bilet na stacjach benzynowych. W efekcie wdrożony ledwie dwa lata temu system będzie już obsługiwał tylko pojazdy o masie powyżej 3,5 tony oraz autobusy.

– Zgodnie z procedurą Oceny Skutków Regulacji koszt zniesienia opłat na tych dwóch odcinkach wyniesie 180-200 mln zł rocznie. Poniesie go nie bezpośrednio budżet państwa, tylko Krajowy Fundusz Drogowy – tłumaczy Bartosz Jakubowski, ekspert ds. transportu Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego (CAKJ) i autor podkastu „Węzeł przesiadkowy".

W skali całego państwa to kwota niewielka, ale mówimy jedynie o dwóch krótkich fragmentach. Kierowcy w kieszeni tego niemal nie odczują, mogą za to dostrzec większy ścisk na drodze. – Wysokość opłat dla pojazdów do 3,5 tony była dosyć symboliczna. ↦

↦ Mimo to obniżały one nieco natężenie ruchu na obu odcinkach, co widać choćby po większej liczbie pojazdów na przylegających do nich drogach nieobjętych płatnością – twierdzi Jakubowski.

Na okres wakacji zawieszono też pobieranie opłat na autostradzie A1 Toruń–Gdańsk, ale tylko w weekendy. To najpopularniejsza trasa prowadząca nad morze, a jej zmorą bywały korki na bramkach. Odcinek ten zarządzany jest przez prywatną spółkę Gdańsk Transport Company SA (GTC), a cena za przejechanie trasy liczącej 152 km wynosi 30 zł – niecałe 20 gr za kilometr.

– A1 funkcjonuje w ten sposób, że koncesjonariusz otrzymuje stałe wypłaty z Krajowego Funduszu Drogowego, niezależnie od ruchu pojazdów. KFD natomiast zatrzymuje całość przychodów z opłat na bramkach. Operator dostanie więc tyle, ile zawsze, natomiast brak przychodów funduszu trzeba będzie uzupełnić środkami z budżetu państwa – wyjaśnia ekspert CAKJ.

Rząd przyjął już odpowiednią uchwałę umożliwiającą rekompensatę utraconych wpływów funduszu; zarezerwowano na ten cel 50 mln zł. Łącznie daje to prawie ćwierć miliarda złotych kosztów. Zniesienie opłat na pozostałych odcinkach będzie już jednak znacznie trudniejsze i dużo droższe.

OGŁOSZENIE

KLUB TP Grudziądz
KLUBTYGODNIKA.PL

GRUDZIĄDZ: Klub „TP” w Grudziądzu istnieje, bo mamy tradycję związaną z ks. Adamem Bonieckim. Jeśli pragniesz rozmów na tematy społeczne i ciekawych spotkań, dołącz do nas.

Koordynatorka
Monika Mellerowska
grudziadz@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP” na **klubtygodnika.pl**

jt STOWARZYSZENIE **IM. JERZEGO TUROWICZA**

Rząd od kilku lat obiecuje włączenie ekspresówek do systemu opłat, ale efektów brak. TIR-y nadal **bezkosztowo rozjeżdżają nasze nowe drogi.**

– Zasadniczo umowy koncesyjne są utajnione. Wiadomo jednak, że na odcinkach zarządzanych przez Autostradę Wielkopolską SA (Konin–Nowy Tomyśl) oraz Stalexport (Kraków–Katowice) Skarb Państwa nie ponosi bezpośrednich kosztów, choć jest gwarantem kredytów zaciągniętych przez koncesjonariuszy. Jednym słowem, ustalane przez operatorów opłaty na tych odcinkach stanowią całość ich przychodów – wyjaśnia Jakubowski.

Teoretycznie można sobie wyobrazić, że rząd wynegocjuje z operatorami rekompensaty za zawieszenie opłat. Mógłby wypłacać im równowartość utraconych wpływów określanych na podstawie realnych przejazdów lub średniej za ustalony okres. Pytanie tylko, czy operatorzy nie postawią dodatkowych warunków finansowych. Podczas tych rozmów to rząd będzie przecież na gorszej pozycji negocjacyjnej. Niczego siłą narzucić nie może, a będzie związany obietnicami wyborczymi.

Miliard nie wystarczy

Drugi płatny odcinek znajdujący się w zarządzie Autostrady Wielkopolskiej (Świecko–Nowy Tomyśl) funkcjonuje na tej samej zasadzie co A1 Toruń–Gdańsk (GTC), czyli opłaty wpływają do Krajowego Funduszu Drogowego, a zarządca otrzymuje z niego ustalone wynagrodzenie. W tym przypadku rządzący mogliby zastosować rozwiązanie ustawowe, by doraźnie podnieść szlabany i wypłacić odpowiednią rekompensatę funduszowi – ale byłoby to nagięcie prawa.

Ostatnia możliwość to pozbawienie operatorów koncesji. Problem w tym, że obowiązywać będą jeszcze przez wiele lat. Koncesja Stalexportu wygasa w 2027 r., Autostrady Wielkopolskiej w 2037 r., a GTC dopiero w 2039 r. Czekanie na ich wygaśnięcie nie wchodzi więc w grę, jeśli rząd chce spełnić swoją obietnicę już w przyszłym roku. Natomiast odebranie koncesji przed terminem wiązałoby się z dużymi odszkodowaniami.

Tak czy inaczej, za bezpłatne autostrady trzeba będzie prywatnym operatorom zapłacić. Można dziś zakładać, że będzie to – co najmniej – równowartość ich przychodów z tytułu pobieranych opłat. – Znamy natężenie ruchu na tych drogach i wysokość opłat, więc możemy oszacować potencjalne koszty. Dla A1 w zarządzie GTC będzie to około 160 mln zł rocznie, a dla A2 w zarządzie Autostrady Wielkopolskiej ok. 80 mln zł. Roczne przychody Stalexportu na A4 to ok. 300 mln zł, natomiast Autostrady Wielkopolskiej na odcinku Konin–Nowy Tomyśl: ok. 375 mln zł – wylicza ekspert CAKJ.

Doliczając do tego koszty poniesione z powodu zniesienia opłat na odcinkach zarządzanych przez GDDKiA, wychodzi około 1,1 mld zł. A trzeba pamiętać, że majowa nowelizacja zablokowała również wprowadzenie odpłatności na odcinkach GDDKiA, które są dopiero w realizacji lub też działają, ale jeszcze nie obłożono ich opłatami. Mowa chociażby o długich fragmentach A1 i A2 łączących Łódź z Warszawą i Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolią, które razem miały przynosić kilkaset milionów rocznie. Łączny koszt bezpłatnych autostrad można więc oszacować na półtora miliarda złotych, co roku.

Nierówna konkurencja

To także może się wydawać niewiele w skali całego państwa, jednak należy pamiętać, że pieniędzy notorycznie brakuje na inne, mniej efektowne, ale równie potrzebne usługi publiczne. Chociażby na komunikację zbiorową poza dużymi ośrodkami miejskimi. Budżet hucznie ogłoszonego Funduszu Rozwoju Przewozów Autobusowych, zwanego potocznie Pekaes plus, wynosi 800 mln zł. To prawie dwa razy mniej niż potencjalny koszt zniesienia danin pobieranych na autostradach.

W ostatnich dwóch dekadach na inwestycje drogowe wydaliśmy 200 mld zł. Według raportu opracowanego przez prof. Przemysława Śleszyńskiego w latach 2001-20 sieć autostrad i dróg ekspresowych wzrosła z 501 km do 4142 km, a więc ośmiokrotnie. W czasie rządów PiS drogi szybkiego ruchu również rozwijają

BARTŁOMIEJ MAGIEROWSKI / EAST NEWS

Węzeł drogowy łączący trasę S8, S5 i autostradę A8. Wrocław, 5 maja 2023 r.

się szybko. Co prawda w latach 2016-20 przybyło zaledwie 151 km autostrad, jednak to efekt przesunięcia akcentów i postawienia na drogi ekspresowe, których powstało w tym czasie aż 1118 km.

– Sieć dróg ekspresowych mamy już bardzo dobrze rozwiniętą. Są tylko pojedyncze braki, jeżeli chodzi o sieć bazową, co wynika wyłącznie z lokalizacji. Brakujące odcinki w okolicach dużych miast często mają problemy z uzyskaniem decyzji środowiskowych, gdyż zaczynamy budować drogi tam, gdzie ich uzasadnienie jest wątpliwe – mówi Bartosz Jakubowski.

Władze państwa zakładają, że w najbliższej dekadzie inwestycje drogowe jeszcze przyspieszą. Według Rządowego Programu Budowy Dróg Krajowych do 2030 r. wydamy na ten cel niemal 300 mld zł. A więc o połowę więcej w o połowę krótszym czasie, niż to się działo po 2000 r.

– Mimo że ciągle inwestujemy w drogi, od 2017 r. nie jest rozszerzana sieć odcinków, za które płacić muszą pojazdy ciężarowe – zauważa ekspert CAKJ. – W efekcie wydatki na ich utrzymanie nie bilansują się z wpływami. W tej sytuacji deficyt będzie się pogłębiał. Pamiętajmy też, że odpłatność za drogi obniża ruch samochodów osobowych. Będziemy więc dopłacać kierowcom do tego, żeby jeździli autostradami, choć wcale nie muszą. Kiedy trzeba zapłacić, to okazuje się, że spora ich liczba woli jechać pociągiem.

Na szczęście dla KFD z opłat za przejazdy fundusz otrzymuje 2 mld zł rocznie. Dużo większe wpływy zapewniają opłata paliwowa (7 mld zł) oraz fundusze unijne (niecałe 5 mld). Pieniądze z autostrad mogłyby być jednak znacznie wyższe, gdyby wybudowane po 2017 r. drogi ekspresowe, których w przeciwieństwie do autostrad oddano w ostatnim czasie bardzo dużo, zostały objęte system e-Toll, czyli „mytem" od samochodów o masie powyżej 3,5 tony. Minister infrastruktury Andrzej Adamczyk od kilku lat obiecuje włączenie ekspresówek do systemu poboru, ale na zapowiedziach się kończy. W rezultacie ciężkie TIR-y mogą bezkosztowo rozjeżdżać nasze nowe ekspresówki.

W planach rządu są też co prawda inwestycje „w tory", jednak Krajowy Program Kolejowy zakłada przeznaczenie na ten cel tylko 80 mld zł do 2030 r. To prawie cztery razy mniej niż na drogi. – A jest to łączna kwota ze wszystkich możliwych źródeł, czyli budżetu, Europejskiego Banku Inwestycyjnego, środków unijnych czy Funduszu Kolejowego – przypomina Jakubowski.

Trudno mówić w takiej sytuacji o sprawiedliwych warunkach konkurencji. Jak wskazuje ekspert, jeśli inwestycje drogowe nadal będą traktowane tak priorytetowo, to kolej i komunikacja autobusowa na długo pozostaną na przegranej pozycji.

Chcemy czegoś innego

Jeśli ktoś może zmienić tę politykę, to wyborcy, którzy także wydają się mieć już dosyć ładowania kolejnych miliardów w transport samochodowy. Według czerwcowego sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" zaledwie 7 proc. pytanych – i tylko 9 proc. wyborców PiS – oczekiwało od rządu dalszego wspierania kierowców. Według jednej trzeciej ankietowanych rząd powinien postawić na rozwój komunikacji zbiorowej, a przeszło połowa chciałaby bardziej zrównoważonej polityki transportowej.

Postulat bezpłatnych autostrad miał być dla obozu rządzącego ukłonem w stronę kierowców, którzy w ostatnim czasie wyrażali złość na podwyżkę stawek mandatów (niewaloryzowanych od 1999 r.), wprowadzenie pierwszeństwa pieszych na pasach, a wcześniej – na ceny paliw. Wydaje się jednak, że PiS tym razem przestrzelił.

– Czy to w ogóle miało szansę chwycić? – zastanawia się socjolog i analityk polityczny prof. Jarosław Flis z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Przecież opłaty na autostradach nie są problemem, którym żyją ludzie. To kwestia ograniczona terytorialnie, np. w ogóle nie dotyczy Podkarpacia. Jest więc trzeciorzędna i tak samo trzeciorzędny wpływ ma na elektorat.

Warto przy okazji zaznaczyć, że chłodne przyjęcie spotkało też inne obietnice wyborcze PiS – 800 plus oraz bezpłatne leki dla seniorów i młodzieży. Wrażenia na wyborcach nie zrobiły również obietnice składane przez PO – kredyt o procent czy tzw. babciowe. Najwyraźniej Polki i Polacy oczekują już innych rozwiązań niż w 2015 czy nawet 2019 r.

– Od dziesięciu lat szybko rośnie zamożność obywateli, więc w naturalny sposób zmieniła się ich perspektywa. Tych, którzy się już trochę nasycili, mobilizuje co innego. Rozwiązywanie problemów zamożnego społeczeństwa jest znacznie trudniejsze. Powielanie rozwiązań z przeszłości zwyczajnie nie działa – twierdzi prof. Flis.

W obliczu wyborów rząd nie składa broni. Ale zamiast skonstruować program adekwatny do nowych oczekiwań, postanowił przekonać ludzi, że to oni się mylą. Premier Morawiecki przeznaczył więc część środków z rezerwy budżetowej na promocję swoich planów. 10 mln zł zapłacimy za akcję marketingową programu 800 plus. Działania promujące bezpłatne autostrady będą nas kosztować 2,5 mln zł. To oczywiste finansowanie partyjnych interesów wyborczych z budżetu państwa, czyli nas wszystkich. I to jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnej kampanii. © PIOTR WÓJCIK

Katalog rozbieżności

MAŁGORZATA SOLECKA

Na drodze opozycji do władzy może stanąć nie tylko PiS, ale też własny brak chęci do współpracy. Liderzy nie są w stanie określić nawet minimum programowego oraz strategii w kwestii przejętych przez PiS instytucji.

Zawirowania wokół Trzeciej Drogi, przezwyciężone przez Szymona Hołownię i Władysława Kosiniaka-Kamysza, mogą być zapowiedzią kłopotów opozycji w realnej współpracy, jeśli udałoby się jej wygrać wybory. Rozpoczęta oficjalnie kampania wyborcza zapewne jeszcze zaostrzy niesnaski, a w połączeniu z różnicami programowymi i dużym brakiem zaufania może utrudnić dogadywanie się w sprawie wspólnego rządu. A tym samym ułatwić PiS przejęcie pakietu kontrolnego w parlamencie i utrzymanie władzy.

Wojna w rodzinie

Przełom lipca i sierpnia. W mediach pojawiają się spekulacje o rozpadzie Trzeciej Drogi. PSL i Polska 2050 nie mogą się dogadać, w jakiej formule wystartować oraz czy brać na listy Agrounię Michała Kołodziejczaka, polityków Porozumienia i byłych posłów Konfederacji. W nieformalnych rozmowach działacze PSL deklarują również, że są gotowi iść do wyborów sami, jeśli Polska 2050 nie zgodzi się na postulat startu z list samej PSL. Tworzenie list koalicyjnych, w ramach których trzeba pokonać próg 8 proc., jest ryzykowne w sytuacji, gdy notowania nie rosną – przekonują. Polska 2050 nie chce jednak o tym słyszeć. Szymon Hołownia naciska na start w ramach Trzeciej Drogi. A jeśli PSL będzie innego zdania, Polska 2050 jest gotowa zerwać sojusz. Współpracownicy Hołowni w nieformalnych rozmowach pokazują najnowsze badania sondażowe, w myśl których przy samodzielnym starcie PSL ma 2 proc. poparcia, a Polska 2050 – 9 proc. Koalicja ma zaś zapewniać spokojne przekroczenie 10 proc.

Prawdopodobnie właśnie tych badań używał Hołownia, prowadząc rozmowy ostatniej szansy z Kosiniakiem-Kamyszem między 3 a 5 sierpnia. Podczas tych – jak sam mówił – 72 kluczowych godzin zapadła decyzja o utrzymaniu koalicji w dotychczasowej formule. Bez Agrounii Michała Kołodziejczaka, za to z politykami Porozumienia.

Według Hołowni Kołodziejczak stara się zdobyć miejsca na listach dowolnego ugrupowania tylko w jednym celu – by dostać się do Sejmu, a następnie wraz z Konfederacją dążyć do kolejnych przedterminowych wyborów, być może w perspektywie kilku miesięcy. Ludowcy z kolei do końca rozważali porozumienie z Agrounią, by w ten sposób utworzyć jeden front polityczny, który będzie mógł skutecznie rywalizować z PiS na wsi. W końcu jednak, gdy musieli wybrać między Kołodziejczakiem a Hołownią, uznali, że Polska 2050 to lepsza opcja.

Artur Balazs, były minister rolnictwa w rządzie AWS, który najpierw wspierał porozumienie Hołowni z Kosiniakiem, a ostatnio PSL z Agrounią, uważa decyzję ludowców za błąd. Przekonuje, że przy dokooptowaniu Agrounii do swej listy PSL miałoby większą szansę na przekroczenie progu 5 proc. niż z Hołownią progu 8 proc. Natomiast dołączenie Agrounii do sojuszu PSL z Polską 2050 przyniosłoby temu komitetowi jeszcze lepszy rezultat. – Bez dobrego wyniku Trzeciej Drogi opozycja nie wygra wyborów, a nie stanie się to na pewno, jeśli z Agrounią porozumie się PiS – mówi Balazs.

Z dziadkiem na czele

Utrzymanie Trzeciej Drogi w dotychczasowej formule nie ucieszyło też liderów Koalicji Obywatelskiej, choć z innych powodów. Gdy kryzys między PSL a Polską 2050 był w apogeum, Donald Tusk zamieścił na Instagramie niewinne zdjęcie. Lider KO idzie za rękę z wnuczką.

Pod zdjęciem komentarz: „A moja mała kaszubska Księżniczka uważa, że najlepiej iść jedną wspólną drogą. Z dziadkiem za rękę”. Zostało to odebrane jako apel do wyborców Trzeciej Drogi, by zamiast na skłócony wewnętrznie sojusz postawili na Koalicję Obywatelską, czyli poszli wspólną drogą z „dziadkiem Tuskiem” na czele.

W oficjalnych wystąpieniach lider KO nie pozwala sobie jednak na ataki wobec partnerów z opozycji. Od jesieni ubiegłego roku zabiegał, by cała demokratyczna opozycja utworzyła wspólną listę. Wobec kategorycznego sprzeciwu PSL, a także kryzysu, jaki wybuchł w ramach opozycji po styczniowym wyłamaniu się Polski 2050 z głosowania za rządową ustawą o Sądzie Najwyższym (miała uruchomić pieniądze z KPO), Tusk postawił na budowanie własnych list i ograniczenie wyborczej współpracy opozycji do paktu senackiego. Gdy w maju Hołownia z Kosiniakiem-Kamyszem ogłosili powstanie koalicji Polski 2050 z PSL pod

ARTUR SZCZEPAŃSKI / REPORTER

Spotkanie Donalda Tuska z mieszkańcami Ostródy. 27 lipca 2023 r.

nazwą „Trzecia Droga", Tusk zapewnił, co prawda, że „po stronie demokratycznej opozycji nie ma wrogów czy przeciwników", ale podkreślił też, że w tych wyborach „nie ma trzeciej drogi, jest tylko jedna droga do zwycięstwa".

Późniejsze działania polityków Koalicji Obywatelskiej wpasowały się w to myślenie. – Każdy poseł PSL miał w KO swojego anioła stróża, który chodził z nim nawet do toalety, a celem było przekonanie do startu z list Tuska – opowiada jeden z przedstawicieli Trzeciej Drogi. Rzeczywiście, gdy nie udały się rozmowy na szczycie, politycy Platformy usiłowali na wszelkie sposoby nakłonić poszczególnych ludowców do zmiany barw. Liczyli, że gdy uda im się przekroczyć masę krytyczną, skłoni to liderów PSL, a finalnie także Polski 2050, do wspólnego startu. Przed posiedzeniem Rady Naczelnej PSL 5 sierpnia jako jeden z możliwych wariantów w przypadku rozpadu Trzeciej Drogi poważnie rozważano sojusz ludowców z KO.

Ostateczne porozumienie Hołowni z Kosiniakiem-Kamyszem unieważniło te scenariusze i postawiło Tuska przed koniecznością akcentowania różnic między KO a Trzecią Drogą, które przekonają wahających się wyborców, że to Koalicja Obywatelska jest główną siłą opozycji – jedyną zdolną do pokonania PiS.

Tusk i jego ludzie znaleźli się jednak w specyficznej sytuacji. Z jednej strony – co naturalne – będą dążyć do mocnego osłabienia Trzeciej Drogi i przejęcia jej elektoratu, ale z drugiej, nie mogą doprowadzić do zepchnięcia jej pod próg wyborczy, czyli *de facto* uśmiercenia ewentualnego koalicjanta w przyszłym rządzie.

Również Trzecia Droga będzie się starała jak najmocniej odróżnić od KO, zapewne wskazując, iż jest „nową jakością" w polskiej polityce. Będą się więc pojawiać coraz częściej takie wypowiedzi jak posła Michała Gramatyki z Polski 2050, który nazwał rozdawnictwem pomysły KO na temat podwyżki świadczenia 500 plus, podniesienia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł oraz wprowadzenia tzw. babciowego. Jego zdaniem zwiększą one inflację, a także „zabiją" samorządy; podniesienie kwoty wolnej spowoduje bowiem, iż prawie nikt nie będzie płacił PIT-u.

Paweł Zalewski, polityk Polski 2050, który kiedyś był w PiS, a potem w PO, przekonuje, że ludzi zniechęconych zarówno do formacji Jarosława Kaczyńskiego, jak i ugrupowania Donalda Tuska jest bardzo dużo (PiS i PO zagospodarowują ok. 60 proc. wyborców). I to właśnie do nich zamierza adresować swoją ofertę Trzecia Droga. – Naszym celem jest odsunięcie PiS od władzy, ale jesteśmy również alternatywą dla Platformy, bo uważamy, że nasza propozycja jest po prostu lepsza – mówi. Pytany, czy nie utrudni to tworzenia w przyszłości wspólnego rządu z Tuskiem, odpowiada: „dziś ważne są wybory".

Pod znakiem zapytania

Różnice programowe między opozycyjnymi partiami są naturalne i nawet poszerzają bazę wyborców. To zresztą główny argument przeciwników jednej listy. Jednak – jak pokazuje wcale nie tak odległa przeszłość – kampania może wydobyć na tyle istotne rozbieżności między formacjami, że pod znakiem zapytania staną ich wspólne rządy po wyborach.

Przypomnijmy sobie rok 2005, kiedy PiS i PO miały stworzyć koalicyjny rząd; układano nawet listę zadań do wykonania. Jednak po wyborach po idei tej nie pozostał nawet ślad. Stało się tak, gdyż oba ugrupowania rywalizowały nie tylko w wyborach parlamentarnych, ale i prezydenckich. Te ostatnie nakręciły atmosferę bezwzględnej walki między PiS a PO, bo w drugiej turze starli się przedstawiciele obu formacji. To wtedy, pozornie tylko na użytek kampanii, pojawiły się tezy o podziale Polski na „solidarną" i „liberalną", które przetrwały kolejne lata, a wykopanego wtedy politycznego rowu nie udało się już zasypać.

Trzeba oczywiście pamiętać, że wielu analogii do tamtej sytuacji dziś nie ma. Wtedy na utrwalenie nowego podziału sceny politycznej wpłynął fakt, że PiS, choć uchodził za partię słabszą, wygrał zarówno wybory parlamentarne, jak i prezydenckie. PO poczuła się takim wynikiem upokorzona i miała obawy, niebezpodstawne, że w razie wspólnych ↦

↦ rządów będzie sprowadzana do roli „przystawki". Olbrzymie znaczenie miało też to, że dotychczasowy hegemon – SLD – osłabł i znalazł się na granicy przetrwania. Zarówno PiS, jak i PO nie miały więc z kim przegrać i siłą rzeczy zwróciły się przeciw sobie.

Teraz jest inaczej. PiS po wyborach, nawet jeśli je nieznacznie przegra, pozostanie największym i niezwykle wpływowym ugrupowaniem, wciąż aspirującym do rządzenia. To będzie czynnik cementujący obecną opozycję (z wyjątkiem Konfederacji).

Zarazem problemem może się okazać brak zaufania. Pałką na Trzecią Drogę w rękach Koalicji Obywatelskiej będą zapewne powtarzane co rusz podejrzenia, że Hołownia z Kosiniakiem chcą za plecami reszty opozycji już po wyborach dogadywać się jakoś z PiS. KO może argumentować, że przecież Trzecia Droga jednym ze swoich haseł czyni odchodzenie od podziału na Polskę PO i Polskę PiS. Czyli tak naprawdę sugeruje równy dystans do obu obozów. Przedsmakiem tej taktyki był niedawny spór wokół konsultacji w sprawie projektu ustawy Trzeciej Drogi „Przyszłość Plus", zakładającej wzrost wydatków na edukację do 6 proc. PKB. Do konsultacji zaproszono wszystkie duże partie, także PiS. KO odmówiła udziału.

– Jeśli pierwszym krokiem dla Trzeciej Drogi jest planowanie przyszłości polskiej szkoły z Czarnkiem, to niech idą nią sami – stwierdził wówczas rzecznik PO Jan Grabiec. – Przyszłość nie jest ani lewicowa, ani prawicowa. Jest nasza wspólna – replikował Hołownia, a posłanka Paulina Hennig-Kloska przypomniała Platformie, że wraz z PiS chciała zmieniać konstytucję i Sąd Najwyższy oraz waloryzować 500 plus.

Kobiety dzielą opozycję

W tych wyborach, jak pokazują sondaże, szczególną rolę mogą odegrać kobiety – zwłaszcza młode, między 18. a 45. rokiem życia. Partie wiedzą, że to elektorat mniej chętny do udziału w wyborach, albo inaczej: najłatwiej oddający wybory walkowerem. Jego mobilizacja może zmienić wynik. I dlatego KO stawia na liberalizację przepisów antyaborcyjnych, używając jako punkt odbicia z jednej strony wyrok Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r., z drugiej – tragedii na oddziałach ginekologiczno-położniczych, do których ten wyrok w dużym stopniu się przyczynił, wzmacniając niechęć publicznych placówek do przeprowadzania zabiegów terminacji ciąży również wtedy, gdy są one dopuszczone przez prawo.

> Każda słabość opozycji i nawet niewielkie wewnętrzne pęknięcia mogą spowodować, że **niepodjęta z marszu władza i tak padnie łupem PiS.**

Trzecia Droga i jej liderzy nie mówią „nie" liberalizacji przepisów i dopuszczeniu aborcji na życzenie do 12. tygodnia ciąży, chcą jednak w tej sprawie referendum, w którym na stole byłoby również przywrócenie tzw. kompromisu aborcyjnego z 1993 r.

W tej sprawie podziały między blokami opozycji są klarowne: KO idzie ręka w rękę z Lewicą, stawiając na rozwiązanie bardziej liberalne, Trzecia Droga adresuje swoje przesłanie do wyborców – a raczej wyborczyń – bardziej konserwatywnych. Obydwa bloki stoją w kontrze do Zjednoczonej Prawicy i Konfederacji; tu różnice sprowadzają się do niemal całkowitego lub całkowitego zakazu przerywania ciąży.

Podział ten – KO z Lewicą, PSL z Hołownią – obowiązuje jednak tylko w tej konkretnej sprawie, choć Kosiniak-Kamysz długo przekonywał, że różnice programowe są tak istotne, iż powinny powstać dwie listy opozycyjne – jedna PO z Lewicą, a druga PSL z Polską 2050. Intencja była jasna, układ ten bowiem bardzo umacniałby pozycję tego drugiego sojuszu w centrum sceny politycznej.

KO nie dała się jednak wepchnąć w ramiona Lewicy; w zamian zaczęła przejmować jej postulaty. Powoduje to, że również z ugrupowaniem Włodzimierza Czarzastego, Roberta Biedronia i Adriana Zandberga będzie musiała mocno rywalizować. W związku z tym zapewne pojawią się napięcia, i nawet jeśli nie będą tak silne jak w przypadku Trzeciej Drogi, mogą wywołać problemy z wzajemnym zaufaniem. Znana jest niemal atawistyczna niechęć partii Razem do PO i samego Tuska. Adrian Zandberg i jego towarzysze nie przepuszczają żadnej okazji, by zaatakować „neoliberałów" z Platformy. To oni również byli inspiratorami zdarzenia, które zaowocowało największym kryzysem między Lewicą a resztą opozycji, gdy w maju 2021 r. formacja Czarzastego wraz z PiS zagłosowała za ratyfikacją unijnego Funduszu Odbudowy.

Grozi nam pat

Wszystkie te zaszłości mogą odżyć w ramach kampanii, nawet jeśli dziś Czarzasty jest spolegliwy wobec Tuska. Po wyborach zaś problemem – po ewentualnym zdobyciu większości sejmowej – może być czysto techniczne podzielenie się resortami czy też ustalenie podstawowych kwestii programowych. Dotąd, choć opozycja od dawna szykuje się na wspólne rządy, nie powstał żaden dokument, który określałby choćby minimum programowe nowego gabinetu. Ugrupowania opozycyjne nie są zgodne nawet w takiej kwestii, jak postępować z „przejętymi" czy stworzonymi od zera przez PiS instytucjami, jak Trybunał Konstytucyjny, Krajowa Rada Sądownictwa, Rada Mediów Narodowych czy komisja ds. wpływów rosyjskich, jeśli powstanie.

Wiadomo, że każda słabość opozycji i nawet niewielkie jej pęknięcia mogą spowodować, że niepodjęta z marszu władza i tak padnie łupem PiS (choćby w postaci rządu mniejszościowego) – tym bardziej że ugrupowanie to będzie miało wciąż swojego prezydenta.

Może się więc okazać, że przy niewielkiej większości opozycyjnej (choć sondaże dziś wskazują, że nie jest to wcale pewne) znajdzie się kilku parlamentarzystów, którzy, niczym Wojciech Kałuża z sejmiku śląskiego, w imię ustabilizowania sytuacji politycznej, albo wobec trwającej za wschodnią granicą wojny, czyli „dla wyższego dobra" – dadzą się podkupić PiS i poprą rząd tworzony przez to ugrupowanie.

Jak to może w praktyce wyglądać, widać było choćby po 2019 r. w Senacie, gdy PiS przez wiele miesięcy podejmował próby zdestabilizowania niewielkiej opozycyjnej większości. Tyle że tym razem może to być skuteczne. A jeśli nie, istnieje jeszcze jeden scenariusz: politycznego chaosu i szybkiego powrotu Polaków do urn.

© MAŁGORZATA SOLECKA

LECH MUSZYŃSKI / PAP

Lekcja wychowania fizycznego. Gorzów, 1 września 2022 r.

Nastolatki to, nastolatki tamto

DR HAB. JACEK PYŻALSKI, PEDAGOG:

W temacie dzieci i młodzieży tak wiele energii poświęcamy na walkę ze złem – patostreamingiem, cyberbullyingiem, uzależnieniami, kryzysami itd. – że nie starcza nam czasu na budowanie dobra.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Czuje się Pan straszony? Pytam ojca nastoletniego syna, nie badacza.

JACEK PYŻALSKI: U mnie to są sfery nierozdzielne. Czuję się czasami straszony, ale też niekiedy obserwuję z naukowej perspektywy zjawisko straszenia. W mediach, w komunikatach organizacji pozarządowych, ale też w doniesieniach naukowców wiele jest negatywnych przekazów na temat młodzieży. Gdy prywatnie słucham takich komunikatów, to od razu nakłada mi się filtr, który każe zadawać pytania. Kto i jak zbierał dane? Na jakiej podstawie je później zinterpretował?

Tak się składa, że w ciągu ostatnich kilkunastu tygodni przyszło nam – Panu jako badaczowi, mnie jako dziennikarzowi – zadawać podobne pytania publicznie w odniesieniu do dwóch głośnych raportów.

W kwietniu Stowarzyszenie Umarłych Statutów ogłosiło wyniki badań dotyczących przestrzegania praw ucznia w polskich szkołach.

A portale krzyczały, że prawa te są „nagminnie łamane".

To ważny temat, więc sięgnąłem po ten raport z zainteresowaniem. Szybko się jednak zorientowałem, że sposób przeprowadzenia badań nie uprawnia do formułowania jakichkolwiek uogólniających tez.

Teza jednak była: 80 proc. polskich uczniów czuje, że ich prawa są łamane.

Tyle że dobór próby ankietowanych nie był reprezentatywny. Organizacja, która te badania przeprowadzała, uznała, że wystarczy umieścić w różnych miejscach w sieci linki z zachętą w rodzaju: „Weź udział, jeśli twoje prawa są łamane" – by zebrać losową grupę respondentów. W pewnym momencie pojawił się nawet komunikat, że do tej pory tyle i tyle procent uważa, iż ich prawa są łamane, „więc i ty się wypowiedz" – co w sposób oczywisty mogło wpływać na potencjalne odpowiedzi.

↦

↦ Żeby było jasne: nie wiem, czy skala zjawiska jest dużo mniejsza niż w wynikach tych badań, czy może większa. Ten raport po prostu nie zbliżył nas do wiedzy na ten temat. Również ze względu na sposób, w jaki zostały zadane pytania. Niektóre posiadały błędy strukturalne, inne były po prostu nielogiczne. Np. pojawiło się stwierdzenie, że nauczyciel stawia ocenę na koniec roku wyłącznie na podstawie not cząstkowych, i do tego stwierdzenia trzeba było dobrać przysłówek czasu: „zazwyczaj", „często", „zawsze" itd. Problem w tym, że ocenę końcoworoczną stawia się – jak sama nazwa wskazuje – raz do roku... Nie wiadomo też, jak użyć takiego zestawu odpowiedzi, gdy różni nauczyciele konkretnego ucznia robią różnie.

W innym badaniu, do którego omawiania za moment przejdziemy, młodzi respondenci opowiadający m.in. o przemocy mogli wybrać opcję, iż padają jej ofiarą... „zawsze".

Warto wiedzieć – także jako odbiorca badań i raportów – że pytania mogą być mniej lub bardziej zobiektywizowane. Np. możemy zapytać, ile razy w ciągu ostatniego miesiąca respondenci byli w kinie, i wówczas poziom obiektywizmu odpowiedzi będzie wysoki. Ale jeśli będziemy dawać ankietowanym do dyspozycji odpowiedzi tak niejasne i subiektywne, jak „rzadko" czy „często", to nie łudźmy się, że pokażą jakąś obiektywną prawdę.

Mam wiele wyrozumiałości dla lapsusów, błędów, także tych badawczych. Ale jeśli niedopracowany raport miałby stanowić podstawę publicznego dyskursu na ważny społecznie temat, to uważam, że powinniśmy powiedzieć: nie.

Także w kwietniu Fundacja Unaweza, której prezeską jest znana podróżniczka i aktywistka Martyna Wojciechowska, opublikowała raport z badań dobrostanu psychicznego dzieci i młodzieży, przeprowadzonych przez Fundację Dbam o Mój Zasięg. Metodologię badania, z którego wynika m.in., że czworo na dziesięcioro młodych ludzi myślało o tym, by się zabić, a co dziesiąty ma już za sobą próbę samobójczą, skrytykowało dwoje socjologów i badaczy ilościowych – Dorota Peretiatkowicz oraz Janusz Sielicki, o czym doniosły (w odróżnieniu od masowych omówień samych tez raportu) już tylko pojedyncze media, w tym „Tygodnik". A zarzuty nie były błahe: niereprezentatywna próba respondentów, nieprecyzyjne pytania, naciągane tezy.

W tym przypadku mam nieco bardziej ambiwalentne – to znaczy nie tylko negatywne – odczucia. Np. raport, o którym pan mówi, szeroko potraktował problem zdrowia psychicznego młodych ludzi, uwzględniając jego różne aspekty – to rzadki walor. Ponadto zastosowano ciekawy i wartościowy zabieg, że biorące udział w badaniu szkoły dostały po ukończeniu pomiarów informacje zwrotne wraz z rekomendacjami, co mogą zrobić dla poprawienia stanu psychicznego swoich uczniów.

I wszystko by było w porządku, gdyby do tego prewencyjnego waloru się ograniczono.

Było wprost przeciwnie: wyniki – faktycznie wstrząsające – zostały powszechnie zinterpretowane jako miarodajne dla całej społeczności.

Tymczasem metodologia badania do niczego takiego nie uprawniała. Potocznie uważa się, że bardzo duża próba – a tu mieliśmy faktycznie do czynienia z próbą wyjątkowo liczną – oznacza automatycznie jej reprezentatywność, co jest oczywistą nieprawdą. Po osiągnięciu pułapu tysiąca ankietowanych, co jest normą np. w badaniach preferencji wyborczych, zwiększanie puli uczestników nie wpłynie już znacząco na możliwość przenoszenia wyników na populację. Tę zapewnia losowość doboru pytanych, o którą nie zadbano: ankietowani nie byli np. reprezentatywni w sensie lokalizacji szkół na terenie kraju.

Nierzetelność badań to również pokłosie kultury straszenia, w której żyjemy?

Być może, choć my w tej kulturze żyjemy od dekad. O panice moralnej, straszeniu, demonizowaniu, zwłaszcza w kontekście opisywania świata nastolatków, mówi się od lat 70., odkąd to pierwsze pojęcie ukuł socjolog Stanley Cohen. Dziś można powiedzieć, że przestaliśmy już dyskutować o problemach młodzieży – mówimy wręcz o młodzieży jako problemie. To mocno nachylony negatywnie dyskurs, czasami wręcz skandalizujący.

Zdarza mi się o tym rozmawiać ze specjalistami z obszaru edukacji. Podczas jednego ze szkoleń w dziedzinie użytkowania nowych mediów, jakie prowadziłem z nauczycielami, zadałem pytanie: „Czy państwo też czują się bombardowani komunikatami, jak to z tą dzisiejszą młodzieżą jest źle?". Większość odpowiadała twierdząco. Doszliśmy też do wniosku, że to straszenie ma swoje konsekwencje dla odbiorców – nie wiedzą, co z tego jest prawdą, co przesadą, a co zmyśleniem, a więc nie mają również pojęcia, z jakimi problemami należy się zmierzyć w pierwszej kolejności.

Jest jeszcze inna konsekwencja tego zjawiska. Koncentrując się na problemach i patologiach tracimy z oczu tych, którzy jeszcze problemów nie mają, ale w przyszłości mogą je mieć. Czy zwalczając zjawisko przemocy pamiętamy o budowaniu wspólnoty, która jest jej przeciwieństwem? Czy w każdej klasie szkolnej, w której nie ma agresji, jest dobra atmosfera? W temacie dzieci i młodzieży tak wiele energii poświęcamy na walkę ze złem – patostreamingiem, cyberbullyingiem, uzależnieniami, kryzysami itd. – że nie starcza nam czasu na budowanie dobra. A budowanie jasnej strony to nie to samo co przeciwdziałanie ciemnej – także na co dzień.

To problem na styku nauki, sektora NGO i mediów.

Tradycyjnie mieliśmy dość jasny podział ról: naukowcy robią badania, dziennikarze popularyzują wiedzę o ich wynikach, organizacje pozarządowe prowadzą działania aktywistyczne. Teraz zrobił się z tego rodzaj postmodernistycznego miksu, w efekcie czego odbiorca nie może mieć pewności, z jakiego rodzaju komunikatem ma do czynienia: naukowym, aktywistycznym czy może publicystycznym? W tym miksie przestaje już się liczyć, kto i co mówi – zyskują na znaczeniu zupełnie inne czynniki.

Jakie?

Czy mówi się głośno? Przekonująco? Wystarczająco emocjonalnie?

Już od Maxa Webera wiemy, że przekaz naukowy i publicystyczny to dwa zupełnie inne przekazy. Gdy uznamy, że jednak nic ich nie różni, to trudno będzie nam zweryfikować, na jakiej właściwie podstawie wyrabiamy sobie opinie o świecie. I po co nam zgodna ze standardami nauka, rzetelne dziennikarstwo czy skuteczny aktywizm.

Rozbijmy te trzy światy na czynniki pierwsze, zaczynając od Pana poletka.

Badam zachowania młodzieży w sieci, więc najłatwiej posługiwać mi się tym przykładem. I muszę przyznać, że większość badań skupia się w tej dziedzinie na zachowaniach ryzykownych, dysfunkcjonalnych, uzależniających.

Dlaczego?

Po pierwsze, znacznie łatwiej dostać na tego rodzaju badania grant. Jeśli istnieje zjawisko, które może nam wszystkim zaszkodzić, a dzięki badaniom możemy mu zaradzić, to o wiele łatwiej do sensowności takiego przedsięwzięcia przekonać kogoś, kto przyznaje środki.

Po drugie, znacznie większa jest szansa na wywołanie takimi badaniami społecznego oddźwięku; na uznanie, że oto mamy do czynienia z „ważnymi ustaleniami".

Co do zasady nie ma w tym niczego złego. Rozpoznanie skali negatywnych zjawisk, choćby łamania praw uczniów bądź kryzysów psychicznych, to jeden z warunków walki z nimi. Bo że te zjawiska istnieją, i że nam zagrażają, to chyba bezsporne.

Zgoda, sam prowadziłem badania np. na temat cyberbullyingu, i fakt, że wcześniej prowadzono masę innych dociekań na ten temat, był dla mnie korzystny – zawsze miałem się do czego odnieść. Podobnie w temacie patostreamerów, którzy nagrywają i pokazują w sieci spektakularnie okrutne rzeczy.

W czym więc problem?

W tym, że gdy skupiamy się wyłącznie na negatywnych zjawiskach, to te niepasujące do schematu mogą nam umykać. Gdy prowadziłem z Naukową i Akademicką Siecią Komputerową unikalne badania dotyczące pozytywnego wykorzystania internetu, a konkretnie edukacyjnej działalności polskich youtuberów, to podczas tworzenia raportu z pogłębionych wywiadów z tymi ludźmi nie bardzo było do czego się odnieść. Nie było po prostu wcześniej niemal żadnych badań na ten temat, mimo że takich youtuberów nie jest na pewno mniej niż wspomnianych patostreamerów.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. JACEK PYŻALSKI jest pedagogiem, profesorem na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Kierownik i wykonawca kilkudziesięciu polskich i międzynarodowych projektów badawczych. Specjalizuje się w obszarach komunikowania, trudnych zachowań młodzieży, edukacji medialnej i przemocy rówieśniczej.

Powiedzmy więc trochę o tych pierwszych.

Opowiadali mi o pasjach. O podróżowaniu, wystroju wnętrz, wegetariańskim gotowaniu, sporcie i wielu innych. To są historie o prawdziwej edukacji, o samorozwoju. Historie niezwykłych ewolucji: od amatorszczyzny, pewnej nieporadności i posiadania niewielu odbiorców – do profesjonalnej działalności i tysięcy subskrybentów. O rozwoju merytorycznym w danej dziedzinie, ale też o profesjonalizacji, jeśli chodzi o sposób komunikowania, nagrywania, używania dźwięku czy kontaktowania się z odbiorcami.

Jako badacz uważam, że ta pozytywna strona funkcjonowania w sieci jest nie tylko równie interesująca, ale też równie ważna – choćby ze względu na swój walor rozwojowy i społeczny. Nie wszyscy jednak tak uważają.

W mediach ten negatywny przechył jest faktycznie wyraźny. Ale broniłbym go: opisywanie patologii to nasze ważne zadanie.

Tyle że w przypadku mediów mówimy też o tworzeniu komunikatów, których prawdziwość jest wątpliwa. A nawet o takich, które idą wbrew ustaleniom badawczym, ostrzegając np. przed „plagą dopalaczy", podczas gdy używa ich mniej niż 2 proc. nastolatków.

Pan się czuje zakładnikiem mediów?

Nigdy nie pójdę w rozmowę typu: „Dlaczego według pana skala przemocy w szkołach rośnie", skoro żadne badania na to nie wskazują.

Ale problem na styku media-naukowcy istnieje, bo istnieją badacze gotowi uczestniczyć w tym głuchym telefonie, w którym każda kolejna osoba potwierdza, czy nawet rozwija obiegowe teorie, a na koniec już nikt nie wie, od czego i od kogo się zaczęło.

Inny problem polega na tym, że – takie odnoszę wrażenie – coraz mniej jest osób zainteresowanych wyważonym, zniuansowanym przekazem. Wynika to też z braku czasu: w trakcie 45-sekundowej wypowiedzi dla telewizji nie ma przestrzeni dla niuansu. Bywa nawet, że dziennikarz wygląda na urażonego faktem, iż ktoś łamie obiegową „prawdę". W jakiejś szkole pobito ucznia, a naukowiec śmie twierdzić, że skala agresji się nie zwiększa.

To jest też problem nauki: niejednokrotnie widziałem w telewizji badacza z tytułem, który wypowiadał się na temat będący daleko od jego specjalizacji. Mówił coś, co każdy mógłby powiedzieć. Pewnie ktoś go o to poprosił, pomny poprzedniej, „wyrazistej" wypowiedzi.

A jaką rolę w tym wszystkim odgrywają organizacje NGO, od których zaczęła się nasza rozmowa?

Wiele z nich, poza samym aktywizmem, decyduje się dzisiaj przeprowadzać własne badania. I trzeba przyznać, że niektóre – np. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę – robią to profesjonalnie, zatrudniając działy badawcze z doświadczonymi naukowcami. Inne jednak tego nie robią: uznają, że same potrafią badać, a wyniki podawać jako reprezentatywne dla całej Polski.

I powiem panu szczerze: rzadko się zdarza, że ktoś taki raport skrytykuje, tak jak było w przypadku Unawezy czy Stowarzyszenia Umarłych Statutów. ↦

Dlaczego?

Nikt nie chce odgrywać roli jednoosobowej policji metodologicznej. Można się narazić, narobić sobie wrogów, a co gorsza, zyskać opinię kogoś, kto lekceważy problem.

Skoro krytykujesz raport o kryzysach psychicznych młodych ludzi, to lekceważysz te kryzysy...

...„szkodzisz sprawie", atakujesz organizację, która „robi tyle dobrego". Tymczasem jest dokładnie na odwrót: bardzo potrzebna jest nam rozmowa o jakości badań i raportów.

Także w interesie organizacji pozarządowych jest to, by ktoś im patrzył na ręce, poddawał konstruktywnej – choć możliwie eleganckiej – krytyce.

Widzę tu szerszy problem. Coraz rzadziej godzimy się na spór, bo on nam się źle kojarzy.

Żyjemy w końcu w kraju, w którym z telewizora idzie całodobowa lekcja: spór równa się chęć unicestwienia przeciwnika.

A nie zawsze tak jest. Głęboko wierzę w to, że krytyka badań – choćby tych firmowanych przez Unawezę czy SUS – sprawi, iż kolejne edycje wspomnianych raportów będą lepsze. Inne organizacje zaś będą się bardziej starały, bardziej pilnowały.

Podarowałbym dzisiejszym nastolatkom ten kawałek dawnego świata, w którym trzeba było być bardziej samodzielnym. Dziś dorośli często wyręczają, pomagają, zawożą. **Świat za dużo rzeczy podsuwa młodym pod nos.**

Stawka jest wysoka: chodzi o przywrócenie rangi rzetelnej nauce. Powrót do sytuacji, w której hasło „badania" kojarzyło się z wiarygodnością.

Kiedyś mówiono tak o gazetach: „To musi być prawda, skoro w gazecie napisali".

Teraz wiarygodny jest ktoś, kto na jakiś temat mówił coś w telewizji: „Skoro go tam zaprosili, to chyba nie na darmo" (*śmiech*).

Zapytam na koniec, jaki jest według Pana naprawdę ten świat nastolatków, gdy weźmiemy w nawias katastroficzne nagłówki portali. Co by Pan, rocznik 1974, dał swojemu synowi ze swojego dzieciństwa? I odwrotnie: czego mu Pan zazdrości?

Zazdroszczę nowych mediów, dostępu do informacji. Dziś, gdy zainteresuję się czymkolwiek, np. malowaniem woskiem na szkle albo graniem na drumli, to w ciągu jednego dnia znajdę strony i społeczności, które się tym zajmują i których częścią mogę się z dnia na dzień stać. Tu nie ma barier – kiedyś były.

A podarowałbym dzisiejszym nastolatkom ten kawałek dawnego świata, w którym trzeba być bardziej samodzielnym, samemu sobie poradzić. Dziś dorośli zbyt często wyręczają, pomagają, zawożą. Świat za dużo rzeczy podsuwa młodym ludziom pod nos.

A co do pytania o prawdziwy obraz życia dzisiejszych młodych, to oczywiście nie ma jednej odpowiedzi. Zobaczymy w nim np. to, że więcej niż kiedyś się o jakości tego życia mówi. Ujrzymy dużą skalę kryzysów psychicznych i wielki problem z dostępem do profesjonalnego wsparcia – ale też brak tabu w mówieniu o tej sferze. Dostrzeżemy poważne dysfunkcjonalne zachowania w sieci, które jednak dotyczą jednocyfrowego odsetka młodzieży – a po drugiej stronie wielkie możliwości rozwojowe.

Możemy wymieniać bez końca, ale wniosek zawsze będzie jeden. Jakość naszego świata zmienia się również w zależności od tego, jakim językiem o tym świecie opowiadamy.

Naprawdę warto o jakości tej opowieści rozmawiać.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

POŻEGNANIE

W dniu 4 sierpnia 2023 roku przeżywszy lat 78, zmarła

Ś.†P.

Marta Taranczewska

z domu Tarnowska-Umińska

Życie oddała Rodzinie.

W ostatnich latach, cierpiąc na chorobę nowotworową, służyła innym, dopóki mogła.

Do końca podnosiła na duchu tych, którzy się nią opiekowali.

Jesteśmy wdzięczni lekarzom i pielęgniarkom krakowskich szpitali: Szpitala Uniwersyteckiego UJ oraz Szpitala Jana Pawła II oraz Hospicjum Siloe i wszystkim innym zaangażowanym w opiekę nad nią i ulgę w cierpieniu.

Szczególne wyrazy wdzięczności za wieloletnią pomoc i opiekę medyczną do ostatniej chwili pragniemy przekazać panu prof. Krzysztofowi Sładkowi.

MĄŻ, DZIECI I WNUKI

Msza święta i pogrzeb odbędą się 11 sierpnia o godz. 10.20 w kaplicy Zmartwychwstania Pańskiego na cmentarzu Rakowickim.

O pogrzebie zawiadamia Rodzina.

Prosimy o nieskładanie kondolencji.
Zamiast kwiatów prosimy o wpłatę na Hospicjum Siloe.

TOMASZ

Stawiszyński: *Przekroczyć mur*

Amerykański podróżnik i filmowiec Peter Santenello – na którego twórczość trafiłem, jak to często bywa, dzięki niestrudzonej pracy internetowych algorytmów – robi w gruncie rzeczy to samo, co kiedyś Arlie Hochschild, autorka znakomitej książki „Obcy we własnym kraju" (nawiasem mówiąc, powinna być to lektura obowiązkowa w każdej amerykańskiej i nie tylko amerykańskiej szkole). Zamiast obracać się w świecie własnych wyobrażeń; zamiast w cieple i ciszy wirtualnego inkubatora wzmacniać fantazję o własnej słuszności i fajności w kontraście do cudzego okropieństwa i głupoty – po prostu rozmawia z innymi. Próbuje ich zobaczyć i zrozumieć, w całej złożoności i niejednoznaczności. Bez odruchowych ocen, bez etykiet, bez propagandowego zaślepienia.

Hochschild dekadę temu spędziła mnóstwo czasu w Luizjanie, żeby – jak to nazwała – przekroczyć „mur empatii" wznoszący się pomiędzy przedstawicielami dobrze sytuowanej liberalnej amerykańskiej klasy średniej a mieszkańcami biedniejszych stanów, głosujących na antysystemową radykalną prawicę (to oni masowo poparli Donalda Trumpa w 2017 r., książka Hochschild ukazała się 12 miesięcy wcześniej). Przekroczyć „mur empatii" to znaczy dotrzeć do żywych ludzi ukrytych za stereotypowymi kliszami kultywowanymi w środowisku, w którym na co dzień się obracała – wykładowczyni na prestiżowym uniwersytecie w Berkeley, o zdecydowanie lewicowych przekonaniach, spędzająca popołudnia w swoim pięknym domu z widokiem na zatokę San Francisco. W efekcie powstała książka tyleż przełomowa, co niewygodna dla obu stron politycznej wojny, pogrążających się w coraz bardziej ślepej, brutalnej polaryzacji.

Kiedy tuż przed wybuchem pandemii miałem okazję odwiedzić Hochschild i podziwiać ten niesamowity krajobraz wprost z jej pełnego książek salonu, mówiła mi – z wyraźnym rozgoryczeniem – że, paradoksalnie, to właśnie jej liberalno-lewicowe środowisko zareagowało na publikację „Obcych we własnym kraju" największą agresją. A przecież starała się tylko pokazać, że polityczne wybory wielu Amerykanek i Amerykanów z Głębokiego Południa posiadają jakieś uchwytne, zrozumiałe społeczne, psychologiczne i kulturowe podłoże. Że są to ludzie mający dokładnie takie same lęki, pragnienia i potrzeby jak wszyscy inni. Nie wyłącznie głupcy, prymitywne „rednecki" albo oszalali z nienawiści radykałowie, którymi miotają same niskie instynkty. Nie zgadzam się z nimi – deklarowała w książce – ale pojmuję, dlaczego ich sposób widzenia świata wygląda tak, a nie inaczej. Bez porzucenia plemiennego dualizmu, bez choćby próby wzajemnego zrozumienia, co nas doprowadziło do miejsca, w którym teraz jesteśmy, bez uznania własnych odmienności, ale też zaakcentowania tego co wspólne i gotowości do częściowego przynajmniej kompromisu – sytuacja będzie się tylko pogarszać. „Obcy we własnym kraju" to projekt, którego ambicją jest przyczynić się do jakiejś w tym względzie poprawy.

Podobne cele przyświecają Santenello, który zarówno na swoim youtube'owym kanale (ponad 2 mln subskrypcji), jak i na stronie internetowej podkreśla, że chce pokazywać rzeczywistość niewidoczną i omijaną w oficjalnych mediach. Omijaną właśnie dlatego, że niemal bez reszty rządzi dzisiaj nimi logika polaryzacji i politycznej wojny. Wyposażony w prostą kamerę na wysięgniku Santenello wybiera zawsze szlaki, delikatnie mówiąc, nieuczęszczane. Paraduje po skrajnie niebezpiecznych dzielnicach Kijowa, Rzymu czy Los Angeles, przenika do zamkniętych społeczności muzułmańskich i chasydzkich, dokumentuje sposób życia amiszy i mennonitów, a chwilę później odwiedza opanowane przez gangi *no entry zones*. Wszędzie jednak w pierwszej kolejności interesują go ludzie, ich skomplikowane, niekiedy tragiczne losy; ich sposób widzenia świata, siebie i innych; ich wartości, obawy, marzenia; ich często trudna i pełna zmagań codzienność.

Ostatnia seria nagrań pochodzi z regionu Appalachów, najbiedniejszej bodaj, najbardziej dotkniętej bezrobociem, zdewastowanej i borykającej się z epidemią uzależnienia od opioidów części USA. Te filmy robią naprawdę piorunujące wrażenie: ciągnące się kilometrami ruiny i pustostany, opuszczone zakłady, wyludnione miasta niby wyjęte z postapokaliptycznego kina. Tu i ówdzie ludzkie skupiska, pojedynczy mieszkańcy, zazwyczaj powyżej czterdziestki. I powtarzająca się raz za razem sekwencja: bezrobocie, bankructwo przemysłu i narkotyki. Kilkanaście lat temu poupadały tu niemal wszystkie biznesy poza klinikami „leczenia bólu", do których od rana ustawiały się gigantyczne kolejki. Nie ma w Kentucky ani jednej rodziny – słyszymy z ust jednego z bohaterów – w której ktoś nie umarł albo nie poszedł do więzienia z powodu narkotyków. A choć opioidowe kliniki już dawno zamknięto, nawet 60-70 proc. ludzi jest wciąż w szponach nałogu, po prostu przerzucili się na łatwo na czarnym rynku dostępny fentanyl.

Tym zaś, co ratuje uzależnionych, którym udaje się przetrwać, są w większości przypadków programy oparte na systemie dwunastu kroków, gdzie kluczowe znaczenie odgrywa religia. Trzymają ich więc przy życiu wspólnota, rodzina, poczucie godności, sprawczości, odpowiedzialność za siebie, innych, praca, miłość i lokalny kościół. Tylko na to mogą liczyć, cała reszta – tak uważają – zawiodła ich i opuściła. Czy to zatem naprawdę aż takie dziwne, że wybierają teorie spiskowe i konserwatywną prawicę zamiast progresywnej tożsamościowej lewicy, która traktuje ich wiarę jako relikt niechlubnej przeszłości oraz widzi w nich – przeważnie heteroseksualnych białych mężczyznach w średnim wieku – rzekomych nosicieli rozlicznych przywilejów oraz źródło rozlicznych opresji?

Odzyskać ich zaufanie i pokazać, że są ważną częścią społeczeństwa, że ich doświadczenie się liczy, a praca ma uznanie – oto dzisiaj niezwykle ważne zadanie dla liberalnych i lewicowych polityków. Nie tylko w Stanach Zjednoczonych. ©

WIARA

Z BIBLIĄ NA PLAŻĘ

KALINA WOJCIECHOWSKA, BIBLISTKA:

Biblia pokazuje, że z Bogiem można dyskutować. Zadawać pytanie: dlaczego? Wcale nie musimy zajmować ugrzecznionej postawy.

ZUZANNA RADZIK: Jak zacząć czytać Biblię? Od początku?

KALINA WOJCIECHOWSKA: Są różne szkoły czytania, również taka, żeby czytać od pierwszej do ostatniej księgi, czyli tak, jak to poukładali redaktorzy kanonu. Jednak taka lektura jest trudna i chyba już anachroniczna.

Dlaczego?

Zanim taki czytelnik przejdzie całą Torę, może się zniechęcić. O ile z zainteresowaniem przeczyta Księgę Rodzaju czy Księgę Wyjścia, to już Księga Kapłańska czy Księga Liczb – o Księdze Powtórzonego Prawa nie mówiąc – będą po prostu nużące. Potem znowu zaczynają się elementy narracyjne, ale za nimi idzie Księga Kronik i nudne genealogie. Kolejne księgi – te dydaktyczne i prorockie – też mogą nie powalać żywością narracji i obrazowania.

Czyli jak sobie z Biblią poradzić?

Można próbować czytać ją antropologicznie, wybierając opisy ludzkich doświadczeń: cierpienia, macierzyństwa lub jego braku, ojcostwa czy też poszukiwania swojego miejsca na ziemi. Tych doświadczeń jest dużo i można obserwować, jak Biblia prowadzi nas poprzez ludzkie losy.

To jest sposób dosyć uniwersalny, dostępny również dla niewierzących. W warstwie egzystencjalnej refleksja biblijna o kondycji ludzkiej nie jest tak mocno ukierunkowana teologicznie,

jak by chcieli to widzieć jej wierzący czytelnicy.

To najprostsza metoda lektury?

Tak, ale niesie niebezpieczeństwo, że będziemy chcieli transponować własne odczucia i przeżycia na tekst. Tutaj dotykamy tematu hermeneutyki, która przypomina, że zawsze przyglądamy się tekstowi z punktu widzenia czytelnika...

...którego z tekstem dzieli czasem dwa i pół tysiąca lat.

Nawet gdybyśmy przyjęli, że istnieje jeden autor danego tekstu, a nie, że tekst był sukcesywnie redagowany, nie da się zrekonstruować wszystkich uwarunkowań, które wpłynęły na jego powstanie. Możemy uwzględniać kontekst kulturowy, socjologiczny, ekonomiczny. Pytać o gatunki literackie, bo literatura podlega konwencjom, które determinują jej rozumienie. Jeżeli tekst jest ironiczny, musimy tę ironię dostrzec i nie traktować go w sposób dosłowny. Jeżeli zawiera metaforę czy obraz, trzeba go rozpoznać i rozumieć.

I to nam pomoże?

Uwzględniając konteksty, jesteśmy w stanie trochę przybliżyć się do warunków, w jakich tekst powstał, ale nie jesteśmy do końca pewni, na ile tekst jest np. kreacją literacką. Kluczowe jest wzięcie pod uwagę, że Biblia jest literaturą.

I to literaturą pisaną do różnych celów, np. narodowotwórcze opowieści tworzy się niekoniecznie na faktach.

Taką opowieść tworzy się, by kształtować odbiorców, o których jednak niewiele wiemy.

Od których ludzkich historii można zacząć czytać Biblię?

Od Abrahama. Jego historia jest naładowana ludzkimi doświadczeniami, dobrymi i złymi: doświadczenie bezdzietności i hierarchii aksjologicznej, np. przy ofiarowaniu Izaaka – co jest ważne? Mamy tu kwestie opuszczenia ojczyzny, wykorzystywania drugiego człowieka dla osiągnięcia własnych korzyści i uniknięcia negatywnych konsekwencji. Dochodzi wręcz do stręczenia własnej żony, żeby zapewnić sobie dobrobyt.

Jest też porzucenie kobiety z dzieckiem, bo to nieprawomocna partnerka.

I dobijanie targów z Bogiem przy okazji Sodomy i Gomory. To pięknie pokazuje, jaką postawę można wobec Boga przybierać i że nie musi być ugrzeczniona, polegająca na przyjmowaniu wszystkiego, co Bóg zsyła. Można dyskutować z Bogiem, zadawać pytania: dlaczego?

Jeszcze jest wyjście w nieznane, decyzja, ryzyko... A mniej oczywiste historie niż Księga Rodzaju?

Pieśń nad Pieśniami opisuje doświadczenie ludzkiej miłości, na której budowane są później alegoryczne interpretacje. W warstwie podstawowej znajdziemy zachwyt ukochanym czy ukochaną, miłosny dialog.

Idąc „miłosnym” tropem, można zobaczyć, jak miłość między ludźmi jest opisana w innych księgach Biblii. Okaże się, że nie tak romantycznie i nie tak pięknie. Np. w Księdze Ozeasza mamy też motyw oblubieńca i oblubienicy, ale tu eksponowany jest motyw niedocenienia i zdrady. Bóg nakazuje prorokowi poślubić prostytutkę Gomer, która ugania się za kochankami. Jest pokusa, by czytać tę historię wyłącznie symbolicznie i teologicznie, ale nawet jeśli cała historia byłaby tylko kreacją literacką, jest w niej ogromna doza ludzkiego doświadczenia, zawodu partnerem.

Cierpienie?

Oczywiście – doświadczenie Hioba, czyli niezasłużone cierpienie i pokazanie, jak sobie z nim radzić lub nie radzić. ↦

PIXABAY.COM

↦ Wydaje mi się, że cierpienie i postawa Hioba też mają dużo wspólnego z Abrahamem. Zwłaszcza w pytaniu o sens działania Bożego i w przyzwoleniu na brak dostrzegania jego celowości.

Co jeszcze?

Warto sięgnąć po doświadczenie Eliasza. Mamy tu przykład – mówiąc współczesnym językiem – wypalenia zawodowego. Eliasz cierpi na poczucie bezsensu i strach przed podejmowaniem działania. Pojawia się motyw zastępowalności i kontynuacji misji, przekazywania pałeczki Elizeuszowi. To samo znajdziemy w Nowym Testamencie, gdy Jezus przekazuje część swoich kompetencji uczniom.

A klucz teologiczny? Ktoś boryka się np. z pytaniem, w jakiego Boga wierzy i jakiego przedstawia tradycja i Biblia.

Nie powinniśmy oczekiwać od tekstu Biblii jednoznacznej odpowiedzi. Nie otrzymamy jej.

Biblia nie ma jednolitego zdania na temat Boga?

Żaden przekazywany obraz Boga nie jest absolutny. Każdy jest uwarunkowany i szczątkowy. Nieuprawnione jest mówić, jaki jest Bóg, na podstawie tylko jednego tekstu, a nawet na podstawie wielu tekstów wciąż pozostaje to ryzykowne i niepełne. Biblia niewątpliwie pozwala zobaczyć różne perspektywy postrzegania Boga przez wielu biblijnych autorów. Można szukać ogólnej zasady, ale ona też się zmieniała w trakcie rozwoju egzegezy biblijnej i świadomości teologicznej.

Trzeba bowiem pamiętać, że objawienie i jego rozumienie jest progresywne. Kiedyś np. bardziej podkreślano Bożą sprawiedliwość i przeciwstawiono ją miłosierdziu. Ale sprawiedliwość wcale nie musi być rozumiana jako odpłacanie za coś, także jako kierowanie się miłosierdziem, bo w tym hebrajskim słowie cedaka jest ono zawarte. Wraz z narastającą świadomością teologiczną i filologiczną będziemy odkrywać te aspekty. Trzeba pamiętać, że często nakładamy nasze wyobrażenia ukształtowane w innych warunkach historycznych i kulturowych na teksty biblijne.

Siadamy do lektury z gotowymi odpowiedziami.

Żaden obraz Boga nie jest absolutny.
Każdy jest uwarunkowany i szczątkowy. Nieuprawnione jest mówić, jaki jest Bóg, na podstawie tylko jednego tekstu.

Jest takie niebezpieczeństwo. Musimy mieć świadomość własnych uwarunkowań, ale też uwarunkowań biblijnych autorów i ograniczeń w naszej ich recepcji. Nie da się absolutyzować tekstu; on sam właściwie nic nie mówi, musi być odczytany, a jest odczytywany przede wszystkim indywidualnie. Świadomość uwarunkowań z jednej i drugiej strony pozwala zachować dystans i pewien balans.

Bo inaczej wyczytamy takiego Boga, jakiego chcieliśmy wyczytać.

Często podświadomie szukamy tekstów, które potwierdzają naszą wizję Boga. Odrzucamy zaś te, które do niej nie pasują. Chrześcijanie czasem, podążając za stereotypami, wyczytują ze Starego Testamentu, że Bóg Izraela jest groźnym sędzią, i dość powszechnie myślą, że miłosierny Bóg jest wynalazkiem Nowego Testamentu, a to przecież jeden Bóg.

To samo działa w drugą stronę: nie dostrzegamy w Starym Testamencie Boga, który jest Bogiem miłości, pragnącym dobra człowieka. Cała Biblia pokazuje, jak wybory Boże są nieoczywiste i suwerenne, nieprzystające do obrazu Boga, który staramy się uporządkować i usystematyzować.

Czy czytanie Biblii bez odpowiedniej wiedzy jest ryzykowne?

Cały czas mówimy o indywidualnej lekturze, ale warto propagować lekturę grupową. W środowiskach katolickich powstają kręgi biblijne, w środowiskach ewangelickich funkcjonują godziny biblijne, gdzie się wspólnie czyta Biblię. To korzystne, bo pokazuje możliwość spojrzenia na teksty z różnych perspektyw. Zwykle przy takiej grupowej lekturze ktoś przygotowuje czytany tekst od strony historyczno-krytycznej, literackiej, retorycznej. Pokazuje miejsce omawianego fragmentu w księdze, bo istotne jest umiejscowienie danego passusu w szerokim kontekście. Warto wiedzieć, czy pojawiające się motywy są unikalne czy powtarzalne i dlaczego. Potem łatwiej dyskutować o tekście i jego różnych aspektach.

Powiedzmy, że biorę Biblię na wakacje, bo chciałabym poobcować z dobrą, starożytną literaturą.

Musisz wziąć pod uwagę, że to jest bardzo różna literatura, wcale nie tylko wysokiej klasy.

Biblia jest słaba literacko?

Zdecydowanie są fragmenty słabe, i to pod każdym względem: czy to literackim, czy to kompozycyjnym, czy nawet teologicznym. Ale są fragmenty, a nawet całe księgi bardzo udane, np. Pieśń nad Pieśniami.

Czyli przed romantyczną kolacją nad morzem czytajmy Pieśń nad Pieśniami.

Ale też jak para się pokłóci – są tam fragmenty odzwierciedlające również tę sytuację. To akurat jest dobra literatura, która doczekała się niezłych tłumaczeń. Bliskie czytelnikowi będą też Psalmy, ale w nich również trzeba brać pod uwagę konteksty, uwarunkowania i pewną gatunkowość.

Psalmy to nie jeden gatunek tekstów?

Zupełnie inne są te psalmy, które będziemy nazywać mesjańskimi, czy psalmy koronacyjne albo psalmy na wejście. W niektórych pobrzmiewa triumfalizm, w innych rezygnacja. Specyficzną literaturą są psalmy złorzeczące, które pokazują, że człowiek wierzący może sobie pozwolić na negatywne emocje, skoro nawet Biblia podsuwa mu „stosowne" teksty. Psalmy na ogół są dość dobrą poetycką literaturą. O wiele bardziej zróżnicowane są księgi *stricte* historyczne, przy lekturze których trzeba brać poprawkę na ich tendencyjność.

Tendencyjność?

To w dużej mierze literatura propagandowa i, jak każda tego typu literatura, nie zawsze będzie sięgała literackich szczytów. Bardzo dobre są niektóre fragmenty

ksiąg prorockich, zwłaszcza te, które operują wyrafinowaną metaforyką.

A jak pod kątem literackim czytać Nowy Testament?

Zdania są podzielone. Wielu czytelników np. lubi zaczynać lekturę Nowego Testamentu od Ewangelii Jana. Mówią, że ta Ewangelia do nich przemawia. Rozumiem to, ale dla mnie ona jest wymagająca, wolę inne. Ewangelia Jana choć operuje niewielką liczbą słów, ma słowa klucze, na których się koncentruje. Przy odczytaniu ich znaczeń najlepiej widać, jak ważne są nie tylko pola semantyczne, ale również konteksty i technika literacka. Jan bowiem lubi stosować tzw. technikę nieporozumień, polegającą na nakładaniu na potoczne znaczenie jakiegoś pojęcia jego rozumienie metaforyczne – duchowe czy teologiczne. To sprawia, że nie da się czwartej Ewangelii odczytywać jednoznacznie.

Czyli to nie jest lektura na plażę, tylko teologiczna kontemplacja.

Ale na plażę nada się niedoceniana, moim zdaniem, Ewangelia Marka. Mówi się, że jest krótka, prosta i nie ma wielkich walorów literackich. Uważam jednak, że to dobra literatura, która pokazuje, jak zręcznym obserwatorem jest jej narrator. Przekazuje punkt widzenia Piotra, ale w taki sposób, żeby zyskał na autentyczności poprzez formę. Jednocześnie dyskretnie różnicuje pod względem stylistycznym partie wypowiadane przez Jezusa i przez narratora oraz przez Jezusa i jego interlokutorów. Wypowiedzi Jezusa utrzymane są w zdecydowanie wyższym rejestrze językowym niż narracja. A ponieważ dominuje tu narracja, czytelnikowi może się wydawać, że tekst jest prosty.

Co jeszcze?

Bardzo udany pod względem literackim jest niewątpliwie List do Hebrajczyków. To jeden z najlepszych tekstów nowotestamentowych, choć wymagający pod względem teologicznym. Poza tym sięgnęłabym po Trzeci List Jana. Nie jest powszechnie znany, a wydaje się idealny wakacyjnie.

Czemu?

Bo mówi o gościnności, o przyjmowaniu tych, którzy przychodzą, o wyposażaniu ich na drogę. Wpasowuje się więc w wakacyjne doświadczenia. Tekst jest ponadto nieoczywisty, nie pada w nim np. imię Jezus, ani tytuł Chrystus. Można by go dołączyć do innych starożytnych tekstów, niekoniecznie chrześcijańskich, a mimo to znalazł się w Nowym Testamencie.

FILIPLIP123 / CC BY-SA 4.0

KALINA WOJCIECHOWSKA jest luterańską biblistką. Profesorka Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, wykładowczyni Ewangelikalnej Wyższej Szkoły Teologicznej we Wrocławiu, Stołecznego Instytutu Biblijnego i Ekumenicznej Szkoły Biblijnej w Łodzi.

Czyli Nowego Testamentu też nie musimy czytać po kolei?

Proponowałabym chronologiczną lekturę, czyli rozpoczęcie od apostoła Pawła, od listów zwanych protopaulińskimi, czyli tych, co do których nie ma wątpliwości, że rzeczywiście wyszły spod Pawłowego pióra. Pierwszy w kolejności byłby w takim razie Pierwszy List do Tesaloniczan. Taka chronologiczna lektura pozwoli zaobserwować rozwój pewnej idei religijnej, chrystologicznej. W Nowym Testamencie to łatwiejsze do uchwycenia niż w Starym, który jest obszerniejszy i powstawał przez dużo dłuższy czas. W Nowym Testamencie, który powstaje przez około sto lat, widać wyraźniej dojrzewanie i rozwój idei.

Jak to prześledzić?

Można, jak wspomniałam, zacząć od Pawła oraz idei zbawienia i postrzegania roli Jezusa jako zbawiciela. Potem literatura postpawłowa, czyli listy deuteropaulińskie – Efezjan, Kolosan, listy pasterskie, które bezpośrednio nawiązują do szkoły i teologii Pawła, wykorzystują określenia i obrazy użyte przez apostoła, reinterpretują je, osadzają jednak w innym kontekście historycznym, na innym etapie rozwoju Kościoła i chrześcijaństwa. Równolegle z listami deuteropawłowymi można przystąpić do lektury ewangelii synoptycznych (czyli wspomnianego Marka, Mateusza i Łukasza), w których ideę zbawienia przedstawia się już nie w formie teologicznego traktatu, lecz w prostszej formie narracyjnej. To pozwala zauważyć, że Ewangelie przekazują nie tyle obraz Jezusa historycznego, choć oczywiście ten obraz można próbować rekonstruować, tylko chcą wyrazić ideę zbawiciela, obudowaną narracją i osadzoną w określonych warunkach historycznych i kulturowych.

To wyrywa z czytania tych ksiąg, jakby były historyczne, a nie teologiczne.

Tak należałoby czytać Nowy Testament. Biblistyka pokazuje, że szczegóły zawarte w tych tekstach pozwalają uchylić drzwi do świata starożytnego i są mocno związane z ówczesnymi realiami – w tym sensie są historyczne. Tylko że nie o to w tej literaturze chodzi, całych tekstów jako historycznych potraktować się nie da.

To informacja dla niektórych trudna do przyjęcia.

Ale wydaje mi się, że to trzeba przeżyć i przepracować, aby nie popaść w fundamentalizm lub banał. Czym grozi skrajny historyzm przy lekturze tak Starego, jak i Nowego Testamentu, widać, jeśli przypomni się rozwój teologii. Przełom XIX i XX w. to rozkwit teologii liberalnej, kiedy dochodziło do ośmieszania religii właśnie poprzez kwestionowanie historyczności i fizykalności cudów opisanych w Biblii. Argumentowano, że wszystko da się wytłumaczyć w sposób naturalny. To jednak spowodowało refleksję, żeby tych opisów nie traktować dosłownie. Ich cel od początku był inny, a starożytny czytelnik w ogóle nie oddawał się rozważaniom, czy to prawda, czy fałsz, bo znał konwencję literacką.

Podejście czytelnika było zupełnie inne?

↦

↦ Wciąż mamy zakodowany XIX-wieczny sposób myślenia, polegający na tym, że to, co jest napisane, albo weryfikujemy, albo falsyfikujemy. Starożytny czytelnik nie zatrzymywał się na warstwie, którą można nazwać powierzchniową, nie zastanawiał się, czy to rzeczywiście miało miejsce, tylko przechodził do sedna. Wiedział, że to konwencja literacka, w której umieszczano ideę. Stąd powtarzalność, schematyczność i brak inwencji twórczej w narracyjnym opracowaniu cudów, zwłaszcza w ewangeliach synoptycznych. Na początku XX w. porównywanie narracji ewangelicznych z istniejącymi narracjami pogańskimi doprowadziło do negacji Jezusa historycznego, skoro w Ewangeliach posłużono się tym samym literackim wzorcem cudotwórcy. Czy wykorzystanie tego wzorca oznacza, że należy całkowicie zakwestionować historyczność Jezusa, a przede wszystkim postrzeganie przez ewangelistów Jezusa jako Chrystusa – mesjasza i zbawiciela? Nie, to znaczy, że ewangeliści, którzy nie byli wybitnymi literatami, korzystali z zasobu kulturowego, żeby przedstawić swoje idee teologiczne.

Niektórym wierzącym trudno to słyszeć. Mój profesor na wprowadzeniu do Biblii mówił w tych momentach: „Przepraszam bardzo, muszę to powiedzieć i to będzie na egzaminie”.

To zdarza się nie tylko w środowiskach katolickich, mam to samo doświadczenie w środowiskach ewangelickich czy bardziej ewangelikalnych.

Czy są jakieś pomoce, które byś polecała?

Na pewno „Komentarz historyczno-kulturowy do Nowego Testamentu” Craiga Keenera. Jest też seria komentarzy do Starego i Nowego Testamentu wydawana przez Edycję Świętego Pawła, znana jako „Nowy Komentarz Biblijny”. Warto też sięgać po wprowadzenia do Nowego, Starego Testamentu czy do Pisma Świętego ogólnie. One obejmują newralgiczne zagadnienia typu gatunki literackie, kształtowanie się tekstu, kanoniczność poszczególnych ksiąg, bo zagadnienie kanoniczności też budzi dużo emocji.

To już są książki, których trzeba szukać w bibliotekach.

Warto nie omijać wstępów do poszczególnych ksiąg, które umieszczane są w samej Biblii. Takie wstępy zaczęły pojawiać się już w XVI w. W XIX w., niestety, w wydaniach protestanckich przestano je stosować ze względów ekumenicznych i misyjnych, żeby łatwiej było w różnych Kościołach używać tego samego wydania Biblii. Jednak jak popatrzymy na Biblię Lutra czy staropolskie wydania Biblii brzeskiej lub gdańskiej, to tam wstępy są obecne. Odzwierciedlają one pewien etap wiedzy o tekście, mówią, kiedy księga powstała, kto uważany jest za autora (choć księga to zwykle efekt wieloetapowej redakcji), zagadnienia gatunkowe i literackie, podział księgi, który ułatwia lekturę, czasem podstawowe zagadnienia teologiczne czy kierunki interpretacyjne.

O czym powinniśmy pamiętać?

Warto być świadomym, że nie dostaniemy w Biblii odpowiedzi na wszelkie nurtujące nas pytania, właśnie dlatego, że to tekst historyczny. Mamy również nowe pytania. Czasami trzeba przyjąć, że na jakiś temat Biblia milczy, i pozwolić jej milczeć.

Czy masz dla początkujących czytelników jakieś przestrogi?

Groźne są stereotypy i przystępowanie do lektury z tezą. Da się udowodnić wszystko. Ostrzegam też przed stwierdzaniem, że „zawsze tak interpretowano” dany tekst, więc i my musimy. Wtedy nie tylko zabijamy tekst, nie pozwalamy mu przemówić w nowych warunkach i kontekstach, ale też zaprzeczamy progresywności objawienia i negujemy rozwój chrześcijańskiej świadomości teologicznej, a przy okazji i rozwój biblistyki. Niedaleko już stąd do heretyckiego wręcz stanowiska, tzw. bibliolatrii. Czcimy sam tekst biblijny, a nie Boga, który zza tego tekstu i poprzez tekst przemawia. A Bóg zawsze wybiera – że nawiążę do Listu do Hebrajczyków – różne metody docierania do osób żyjących w różnym czasie. Za pomocą tego samego słowa może do każdego czytelnika trafiać w inny sposób.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

Dzieci Alego

MARCELINA SZUMER-BRYSZ
Z ELMALI (TURCJA)

Dla jednych muzułmanie, dla innych heretycy mieszający doktryny i wierzenia. Kim są alawici, stanowiący piątą część mieszkańców Turcji?

Drogowskazy prowadzące do Tekke widać z daleka. Jadąc krętą drogą łączącą nadmorskie Finike z położonym w górach miasteczkiem Elmalı, trzeba skręcić w wąską asfaltówkę, którą częściej niż samochody osobowe jeżdżą traktory z otwartymi naczepami, gęsto wypakowanymi ludźmi, jadącymi bądź wracającymi z pracy w polu.

Bez trudu docieram do miasteczka wypełnionego szarymi, skromnymi domami, przed którymi siedzą starsi mężczyźni w swetrach (25 st. C to dla miejscowych nie powód, żeby się wyletniać) i kobiety w chustach i szarawarach w bure kwiatki. Grupka dzieci ugania się za piłką, a GPS kompletnie głupieje, każąc skręcać tam, gdzie jest czyjś kurnik. Otwieram szybę, ale nie muszę nawet zadawać pytania. – *Türbe şu tarafta!* – pokazuje dłonią starsza pani, a ja już wiem, gdzie jechać.

Po chwili parkuję na obskurnym parkingu, przed mocno zaniedbanym budynkiem centrum kultury Abdala Musy Sultana. „Takie brzydkie?”, myślę rozczarowana, bo po mauzoleum wybitnego myśliciela, poety i cudotwórcy, XIV-wiecznego duchownego alawickiego spodziewałam się jednak czegoś więcej. Moje zaskoczenie nie uchodzi uwadze grupy mężczyzn, którzy pod daszkiem sąsiedniego budynku piją herbatę, grając w tavlę. – *Türbe şu tarafta* – słyszę już drugi raz w ciągu kwadransa.

Dziękując za wskazanie grobu, idę spacerem w jego kierunku. Mijam skromne stragany z wydzierganymi ręcznie ubrankami dla niemowląt, kozim serem własnego wyrobu i makatkami, na których powiewają Atatürk w czerwieni i prorok Ali na zielonym tle. W końcu przekra-

ADEM ALTAN / AFP

Członkowie społeczności alawitów w Turcji z Bağlamą – świętym instrumentem alawizmu. Ankara, 8 listopada 2022 r.

czam bramę mauzoleum i czuję, jakbym znalazła się w innej rzeczywistości.

W miasteczku beton, nieład i palące słońce, tu ogród, zieleń i przystrzyżona trawa. Białe nagrobki z napisami w alfabecie arabskim lśnią w słońcu, z okolicznych topoli sypie się biały puch, zielona kopuła mauzoleum połyskuje tak, że trudno na nią spojrzeć bez zmrużenia oczu. W kącie ogrodu stojak na świece, które pielgrzymujący do grobu alawickiego świętego stawiają z prośbą o wstawiennictwo, a na okolicznych skałach metalowe barierki, upstrzone powiewającymi na wietrze, kolorowymi tasiemkami – zawiązywanymi tu w przeróżnych intencjach. Tasiemki odcina się nożycami z dużego kawałka materiału leżącego w jasnym przedsionku grobowca, który ozdobiony jest charakterystycznymi portretami proroka Alego i innych duchowych przywódców alawitów.

Nim znajdę się w środku, z grobowca wychodzi tyłem mężczyzna w średnim wieku, tak by nie odwrócić się plecami do trumny, w której spoczął Abdal Musa. Pochyla nisko głowę, całuje ościeżnicę i dopiero po uczynieniu tego gestu prostuje się i wychodzi. Zajmuję jego miejsce w niewielkiej, wypełnionej ludźmi i trumnami salce. Kilku mężczyzn siedzi, szepcząc modlitwy, kobieta w dżinsowej kurtce rozkłada modlitewny dywanik i bije pokłony, jakie zwykle wykonuje się w meczecie.

Całkiem inni muzułmanie

– Bo my jesteśmy muzułmanami – powie mi potem Onur Öztürk, jeden z chłopaków, którzy siedzieli na podłodze grobowca. Pani z dywanikiem to jego mama, która przyjechała z Niemiec na wakacje do rodzinnej miejscowości. Wszyscy są alawitami. – Nie jesteśmy oddzielną religią, jesteśmy sektą powstałą w wyniku innej interpretacji Koranu – tłumaczy spokojnie, a ja dopiero po chwili przypominam sobie, że wyraz sekta nie ma w języku i kulturze tureckiej tak negatywnych konotacji jak w Polsce.

Onur przywołuje postać Alego, od którego alawizm wziął swój początek i nazwę. Stryjeczny brat, a następnie zięć proroka Mahometa, który miał objąć po nim schedę, ale w wyniku walk o władzę do tego nie doszło, miał być szczególnie umiłowany przez Allaha. Urodził się już obrzezany, a rajskie owoce dostarczał mu ponoć sam archanioł Gabriel. Gdy otoczyła go kiedyś chrześcijańska armia, wystarczyło, że dotknął mieczem skał, a te się rozstąpiły, torując mu drogę. Czytając legendy i podania o jego życiu trudno się dziwić, że został otoczony kultem i... obwołany Bogiem.

Choć od większości alawitów słyszę, że są muzułmanami, ich doktryna jest nieco bardziej skomplikowana. Synkretyczny kult łączy elementy islamu, chrześcijaństwa, zaratustrianizmu, gnostycyzmu. Znajdziemy tu np. inkarnację. Bóg pojawia się na świecie co jakiś czas pod różnymi postaciami, a towarzyszą mu prorocy. Ostatnim, najdoskonalszym wcieleniem Boga, czy raczej boskiego światła, miał być Ali, obok którego występował prorok Mahomet. Przedtem pojawił się jako Szymon Piotr, któremu towarzyszył prorok Jezus. Szahada – muzułmańskie wyznanie wiary, uzupełniona jest o odwołania do Alego, a pozostałe cztery filary islamu (post, jałmużna, modlitwa, pielgrzymka do Mekki) traktuje się z dużą swobodą.

– Modlimy się, czytamy Koran, chodzimy do meczetu i na religię w szkole – mówi Onur, nie bawiąc się w teologiczne zawiłości. Gdy pytam o camevi – domy modlitwy, w których odbywają się alawickie nabożeństwa – tylko wzrusza ramionami. – Tak, w camevi też się modlimy – mówi, jakby nie było kompletnie żadnej różnicy między camevi a meczetem.

Ale różnica jest, dostrzegalna i na poziomie religijnym, i politycznym. – Niestety rząd nie uważa camevi za miejsca kultu – przyznaje w końcu. A to znaczy, że nie daje pieniędzy na ich utrzymanie i remonty.

– Wiesz, dlaczego to robią? – pyta mnie Ali Balkız, pisarz, były przewodniczący Alevi Bektaşi Federasyonu – tureckiego związku alawitów. – Bo chcą nas zasymilować. Mówią: przyjdźcie do meczetu, skoro chcecie się modlić. Chcą nas pozbawić tożsamości.

Wierni czy heretycy?

Alawici trudności napotykają nie od dziś. Pierwszą fatwą obłożeni zostali już w XIV wieku, zaś obecnie kilku konserwatywnym tureckim politykom wyrwało się, że to nie muzułmanie, a heretycy. Jeden z prominentnych urzędników religijnych stwierdził, że skoro alawici sami nie potrafią określić, kim są, nie mogą oczekiwać pomocy państwa. Pogardliwie o alawitach wypowiadał się też deputowany AKP Muhammet Kaynar, dziennikarz Hayrettin Karaman i były członek AKP Hüseyn Besli, który nazwał ich urodzonymi kłamcami, twierdząc, że skoro musieli niejednokrotnie ukrywać prawdziwą wiarę, kłamstwo mają we krwi. ↦

Sytuacja nieco zmieniła się w zeszłym roku. W ramach kampanii wyborczej jeden z camevi w Ankarze zaszczycił wizytą prezydent Recep Tayyip Erdoğan. O tej wizycie nie bez przyczyny rozpisywały się tureckie gazety. W ciągu poprzednich 20 lat rządów (Erdoğan sprawuje władzę od 2002 r., najpierw jako premier, a od 2018 r. jako prezydent) jego noga nigdy nie postała w alawickim domu modlitwy, nie zabiegał też o relacje z tą grupą religijną.

Nie wszyscy uwierzyli w szczere intencje prezydenta, zwłaszcza że przed jego wizytą wnętrze domu modlitwy przearanżowano tak, by na oficjalnych zdjęciach z wydarzenia nie znalazły się „kontrowersyjne" postaci. Część oburzonych alawitów sprawę uznała za „ustawkę" i próbę zdobycia ich poparcia w wyborach. Wtedy nie było jeszcze wiadomo, że kontrkandydatem Erdoğana w prezydenckim wyścigu będzie lider opozycyjnej CHP, Kemal Kiliçdaroğlu – alawita.

Za wizytą poszły obietnice. Prezydent i towarzyszący mu współpracownicy przypomnieli, że już w 2021 r. do 1585 camevi w całym kraju ruszyli urzędnicy państwowi mający ocenić, czy można będzie je uznać za miejsca kultu. Orzekli, że tak, ale po wyborach sprawa utknęła w miejscu.

Trzydzieści lat bólu

– Naprawdę napiszesz o Sivas? – upewnia się Onur. Długo już rozmawiamy o alawitach w Turcji, przez cały ten czas przekonywał mnie, że nie jest może najłatwiej być alawitą w Turcji, ale też nie tak źle. Sunnicka większość lubi słuchać porywających pieśni alawitów, uczestniczyć we współfinansowanych z samorządowych i ministerialnych pieniędzy festiwalach kultury alawickiej, takich jak ten, który za kilka dni ma się rozpocząć w Tekke, na pamiątkę Abdala Musy, ale córek za alawitów woli nie wydawać, o czym świadczą choćby gazetowe artykuły, całkiem współczesne, których autorzy dowodzą, że poślubienie alawity jest... niezgodne z islamem. Onur – co prawda – nie spotkał się z żadnymi prześladowaniami, ale przyznaje, że gdy odbywał obowiązkową w Turcji służbę wojskową, nikomu się nie przyznawał, iż pochodzi z alawickiego domu (alawitą nie można się stać, trzeba się nim urodzić).

– Z religią w Turcji bywa jak z zamkniętym pudełkiem. Gdy nie ma woli, by wysłuchać krytyki czy podjąć dyskusję, łatwo manipulować ludźmi. Jedynym powodem masakry w Sivas była ignorancja – zaczyna Onur, nim jeszcze zdążę zapytać o wydarzenia, które rozegrały się 2 lipca 1993 r. W hotelu Madimak w Sivas odbywał się wówczas festiwal kultury alawitów, na którym gościło wielu artystów, muzyków, poetów i pisarzy. Jednym z nich był Aziz Nesin, który jakiś czas wcześniej przetłumaczył na turecki „Szatańskie wersety", za które autora, Salmana Rushdiego, irański ajatollah Chomeini obłożył fatwą skazującą na śmierć. Był to jeden z głównych powodów wydarzeń, które rozegrały się w mieście po tym, jak po piątkowej modlitwie wierni wyszli z meczetów.

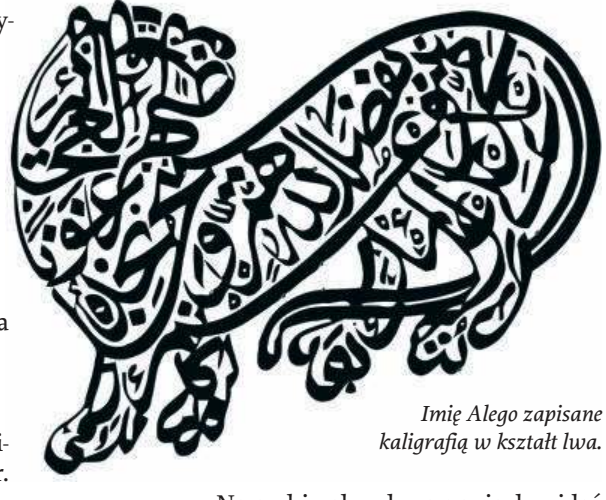

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Imię Alego zapisane kaligrafią w kształt lwa.

Na archiwalnych nagraniach widać grupę mężczyzn krzyczących, wygrażających pięściami i rzucających w budynek hotelu kamieniami lub kostką brukową. Część z nich ma charakterystyczne islamskie brody i szydełkowe nakrycia głowy, inni nie wyróżniają się z tłumu. Widać też bezradność policji i żandarmerii, które nie potrafią okiełznać rozwścieczonej tłuszczy, która w końcu wdziera się do środka i zaczyna demolować hotel.

A potem ktoś podłożył ogień. Miasto spowił czarny dym. Nawet przyjazd strażaków nie powstrzymał napastników, którzy – jak wynika ze wspomnień samego Aziza Nesina – wykrzykiwali: „Niech żyje szariat!".

Tamtego lipcowego dnia zginęło 37 osób. Zarzuty „próby utworzenia państwa religijnego poprzez zmianę konstytucyjnego porządku" oraz zabójstwa 35 ofiar (dwie z nich były jednocześnie sprawcami pożaru) postawiono 190 osobom, z których większość na 15 lat trafiła za kraty, a 33 skazane zostały na śmierć. Karę zamieniono im na więzienie po 2002 r., gdy Turcja przestała wieszać skazańców.

Boga szukaj w sobie

Rocznica *Sivas Katilami* (masakry w Sivas) zawsze jest w Turcji uroczyście wspominana. Politycy zamieszczają okolicznościowe wpisy w mediach społecznościowych, rządzący składają kondolencje, gazety od prawa do lewa rozpisują się na temat pożaru. Można odnieść wrażenie, że los alawitów w ciągu tych trzech dekad znacznie się poprawił. Ale głosy są tu podzielone. Jedni wyliczają zdarzające się ciągle incydenty, takie jak mazanie obraźliwych napisów na domach alawitów czy pobicia członków tej społeczności, inni, w tym Ali Balkiz dowodzą, że rzeczywiście jest lepiej.

– Kiedy alawici i sunnici lepiej się poznali, zaczęli mieszkać na tych samych osiedlach, pracować w tych samych firmach i chodzić do tych samych szkół – uprzedzenia udało się przełamać. Teraz bywają przyjaciółmi, partnerami biznesowymi, sąsiadami, a nawet krewnymi albo członkami tej samej partii politycznej – mówi Balkiz.

A jednak w rządowych statystykach alawitów wciąż jest mniej (około 20 proc.) niż w tych, którymi dysponują sami zainteresowani. Wielu – może z przyzwyczajenia, a może z czystego pragmatyzmu – nadal woli się nie wychylać. Bo jak wyjaśnić praktykującym sunnitom czy nawet chrześcijanom kolejne rewelacje wynikające z alawickiej doktryny, które wykłada mi Ali Balkiz?

– Dla nas nie istnieje piekło i niebo. One są tutaj, na ziemi. To z ziemi powinniśmy uczynić niebo. Dlatego podstawową zasadą alawizmu jest bycie dobrym człowiekiem: nie zabijaj, nie kradnij, nie kłam, nie bądź z nikim prócz współmałżonka, bądź zawsze po stronie ciemiężonych. Szukasz Boga? Nie ma go w Mekce ani Jerozolimie, nie znajdziesz go podczas pielgrzymki. Szukaj w sobie.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

VATICAN MEDIA

Spotkanie papieża Franciszka z księżmi i seminarzystami diecezji rzymskiej. Watykan, 17 grudnia 2022 r.

Ksiądz przyszłości

ARTUR SPORNIAK

Franciszek nie chce klerykałów i światowców – wynika z jego listu do rzymskich księży. Jest jednak ostrożny w kreśleniu wizji wzorowego księdza.

Przebywając w Portugalii, gdzie odbywały się Światowe Dni Młodzieży, papież znalazł czas, by napisać obszerny list do księży diecezji rzymskiej. W trakcie pontyfikatu Franciszek wielokrotnie przypominał, że jest przede wszystkim właśnie biskupem Rzymu. I choć ma swojego wikariusza, który w jego imieniu zarządza diecezją – obecnie jest nim kard. Angelo De Donatis (od XVI w. funkcję tę mogą pełnić tylko kardynałowie) – to czuje się odpowiedzialny za Rzym w o wiele większym stopniu niż za pozostałe diecezje na świecie.

Co roku na początku Wielkiego Postu spotyka się z księżmi tej diecezji, a w Wielki Czwartek z niewielką ich grupą je obiad. Spotkania te odbywają się za zamkniętymi drzwiami i informacje, jakie o nich przedostają się do mediów, pochodzą z relacji uczestników. Do tej pory nie zdarzyło się, by papież publicznie zwrócił się do rzymskich duchownych, śląc im specjalny list. Franciszek wyjaśnia, że pomyślał o nich teraz – latem – kiedy „można też trochę odpocząć po duszpasterskich wysiłkach ostatnich miesięcy". Duchowni mają więcej czasu dla siebie, papież chce zatem, by się zastanowili nad swym powołaniem.

A jest o czym myśleć. Kryzys Kościoła i niepewna jego przyszłość przede wszystkim dotykają księży. Jak zmieni się funkcjonowanie Kościoła? Czy formowani „wczoraj" duchowni odnajdą się w nim „jutro"? Czy w ogóle okażą się potrzebni? Papież ma świadomość kryzysowej sytuacji. Jakie zatem daje podpowiedzi „swoim" księżom?

Pokusy księdza

Najpierw Franciszek dziękuje za posługę księży, „która często odbywa się pośród wielkiego wysiłku, niezrozumienia i braku uznania". Wyraża swoją bliskość: „Czuję, że jestem z wami w drodze i chciałbym, abyście doświadczali, iż jestem blisko was w waszych radościach i cierpieniach, w waszych planach i wysiłkach, w waszych duszpasterskich goryczach i pocieszeniach". Ma też życzenie: „Niech Kościół Rzymu będzie dla wszystkich przykładem współczucia i nadziei, a jego pasterze zawsze gotowi i dyspozycyjni, by nieść Boże przebaczenie, jako kanały miłosierdzia, które gaszą pragnienie współczesnego człowieka". W tym ostatnim fragmencie widać, co w powołaniu księdza jest dla Franciszka najważniejsze – jest on przede wszystkim szafarzem współczucia i przebaczenia.

Papież zwierza się, że podczas modlitwy zastanawiał się, czego dziś żąda od duchownych Bóg, i odpowiada, że niezmiennie wydaje mu się, iż jest to potrzeba nieustannej walki z „duchem ↦

↦ światowości", który odpowiedzialny jest także za chorobę klerykalizmu trawiącą duchowieństwo. Myślenie i działanie „na sposób świata", czyli uleganie aktualnym modom, „sprowadza duchowość do pozorów", a z księży robi „handlarzy ducha" schowanych za „święte formy". Papież wskazuje kilka źródeł tej postawy: zgoda na przeciętność, popadanie w rutynę, uleganie pokusie władzy i społecznego znaczenia. A także narcyzm, doktrynalną zatwardziałość oraz estetyzm liturgiczny, „które ukrywają się za pozorami religijności, a nawet miłości do Kościoła". Franciszek dodaje, że światowość jest „łagodną pokusą" i łatwo ją przegapić.

Ostrożność papieża

Z kolei klerykalizm jest dla papieża specyficzną odmianą światowości, która pojawia się, gdy kapłan traci pamięć o swoim chrzcie. Franciszek tego nie dopowiada, ale wyraźnie chce księżom przypomnieć, że to chrzest stanowi fundament ich wiary i życia chrześcijańskiego, a nie sakrament święceń. Gdy ta hierarchia zostanie odwrócona, pojawia się właśnie klerykalizm, czyli odruchowe poczucie bycia lepszym, uprzywilejowanym, oddzielonym od „reszty świętego ludu Bożego".

Oczywiście Franciszek wielokrotnie już wspominał o pokusie światowości oraz chorobie klerykalizmu, i sam to w liście przyznaje. My powiedzielibyśmy: wezwania są nieskuteczne, bo same słowa nie wystarczą, potrzebna jest reforma struktur i nowa teologia posługi kapłańskiej. Papież postrzega jednak chroniczne słabości Kościoła głównie w kategoriach nieustannej walki duchowej – przywołuje bowiem ewangeliczną przypowieść o złym duchu wyrzuconym z człowieka, który do niego powraca wraz z siedmioma duchami jeszcze gorszymi. W walce tej nie ma odpoczynku, natomiast – zdaniem papieża – ratunkiem jest wpatrywanie się w ukrzyżowanego Jezusa i dostrzeganie jego współczucia i bezinteresowności wobec ludzi.

Papież pod koniec powtarza: „Potrzebujemy osobistego i duszpasterskiego nawrócenia" i apeluje do rzymskich księży: „Podwińmy rękawy i ugnijmy kolana!". Odwołując się też do książki dominikańskiego teologa Yves'a Congara „Prawdziwa i fałszywa reforma w Kościele", stwierdza, że chodzi o „wprowadzenie nowego ducha do starych instytucji kościelnych". Naprawdę tylko o to?

> Samo wzywanie do wyzbycia się postawy klerykalnej jest nieskuteczne. **Potrzebna jest reforma struktur i nowa teologia** kapłaństwa.

Gdyby Franciszek na tym skończył, jego list byłby tradycyjnym, niewiele wnoszącym zaleceniem duchowym. Ale czy to wystarczy w dzisiejszych czasach? Dlaczego papież nie wymienia wyzwań przyszłości? Nie szkicuje portretu księdza, który mógłby im sprostać?

Na końcu dokumentu jest jednak pewien zarys programu. „Pracujmy razem wśród kapłanów i świeckich braci i sióstr – wzywa papież – inicjując formy i drogi synodalne, które pomogą nam wyzbyć się naszych światowych i »klerykalnych« zabezpieczeń, aby z pokorą szukać działań duszpasterskich natchnionych przez Ducha po to, by pociecha Pana naprawdę dosięgła wszystkich".

Różne wizje kapłaństwa

Papieska nieśmiałość rozczarowuje. Duchowość jest fundamentem życia religijnego, ale owoce osobistego nawrócenia szybko się wypalają, gdy nie mają sprzyjających im ram instytucjonalnych i gdy brakuje konkretnej i trafnej (czyli odpowiedniej na te czasy) wizji powołania. Najwyraźniej wypracowanie owych ram i wizji Franciszek zostawia synodowi dotyczącemu właśnie synodalności, którego pierwsza (z dwóch) odsłona odbędzie się w październiku tego roku. To nas jednak nie zwalnia od myślenia na własny rachunek.

Warto w kontekście papieskiego listu do księży rzymskich przypomnieć dyskusję na temat przyszłości duchowieństwa, która odbyła się na tych łamach. W artykule „Kapłańska futurologia" („TP" nr 25/2020) ks. Andrzej Draguła przedstawił dwa różne rozumienia powołania kapłańskiego. W pierwszym ksiądz jest wyjęty spośród ludzi i od nich oddzielony. Jego zadaniem jest pośredniczenie między Bogiem a świeckimi. Kapłańska ofiarniczo-wstawiennicza rola jest więc niezastępowalna. Łatwo domyśleć się jednak, że takie rozumienie i funkcjonowanie kapłaństwa sprzyja klerykalizmowi.

W drugim rozumieniu ksiądz pełni funkcję służebną wobec wspólnoty. Polega ona na gromadzeniu ludzi, jednoczeniu, przewodniczeniu wspólnocie eucharystycznej, a nie na wstawiennictwie czy pośrednictwie. Obie wizje zakładają też inne teologie Kościoła i Eucharystii (w drugiej mszę sprawuje cała wspólnota). Ks. Draguła twierdził, że ideałem byłoby próbować połączyć obie.

Taką możliwość zakwestionował Piotr Sikora w polemice „Kościół bez duchowieństwa?" („TP" nr 27/2020). Pokazał, że drugą wizję można konsekwentnie rozwijać, aż do zanegowania potrzeby duchowieństwa (Eucharystii przewodniczyłby wyświęcony świecki, np. pracujący zawodowo ojciec rodziny). Zdaniem autora byłby to powrót do pierwotnego chrześcijaństwa.

Czy jednak taki rozwój (powrót) jest możliwy? Swoje wątpliwości ks. Draguła rozwinął w odpowiedzi „Dwa Kościoły" („TP" nr 28/2020). Zauważa, że ofiarniczo-wstawienniczy model kapłaństwa odpowiada na religijne (można by powiedzieć, naturalne) potrzeby człowieka wierzącego. Potwierdza to liczba powołań wśród hołdujących temu modelowi tradycjonalistów. Odpowiada też wyświęcanym księżom, bo ich powołanie jest wyraźnie sprecyzowane, czego nie można powiedzieć o kapłaństwie „świeckim".

W kolejnych tekstach (publikowanych na portalu wiez.pl) pastoralista z Uniwersytetu Szczecińskiego kontynuuje refleksję o kapłaństwie przyszłości. Jego zdaniem nie tylko zmieniać się będzie musiała rola samego księdza, ale także kształt wspólnoty, którą się zaopiekuje. Ksiądz przyszłości będzie postacią kontrkulturową, a wspólnota niewielką grupą, w której ważne będą relacje międzyosobowe – obecne masowe i anonimowe „wspólnoty" nie są rzeczywistymi wspólnotami. „Dla mojego pokolenia kapłanów jest to przejście trudne. Dotychczasowe metody działania okazują się coraz mniej skuteczne, a nowych jeszcze nie ma. Nowego kształtu Kościoła jeszcze nie widać na horyzoncie" – zauważa Draguła w artykule „Ksiądz przyszłości jako postać kontrkulturowa".

Jedno jest pewne: najbliższy synod nie będzie mógł zignorować takich poszukiwań.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Sąd Rejonowy w Gnieźnie Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 167/23 toczy się sprawa z wniosku Edmunda Reszelewskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Tadeuszu Stefaniaku, ur. 10 maja 1936 r. w Szydłowie, s. Czesława i Agnieszki z domu Błachowiak, zm. 25 stycznia 2023 r. w Gnieźnie, ostatnio stale zamieszkałym w Szydłowie 49, gmina Trzemeszno.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. I Ns 638/21 toczy się postępowanie z wniosku Genowefy Ziembli-Skrzyńskiej o stwierdzenie, że nabyła ona przez zasiedzenie własność nieruchomości położonych w Zelczynie (gm. Skawina), oznaczonych jako: działka 277 (dawniej p.gr. 233/2, 236/2, 234 objęte LWH 239), działka 278 (dawniej p.gr. 233/1 i 236/3 objęte AWZ 520/77) i działka 100 (dawniej p.gr. 622/40 objęta AWZ 520/77).

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności następców prawnych Władysława Soleckiego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, Wydział II Cywilny pod sygnaturą II Ns 131/23 toczy się sprawa z wniosku Ireny Rzeńca i Jana Rzeńca o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości położonej w Warszawie przy ulicy Jamińskiej 4 stanowiącej działkę ewidencyjną nr 128 o powierzchni 166 m^2, z obrębu 2-05-07, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili swój udział w postępowaniu w terminie 3 miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie sąd może stwierdzić zasiedzenie zgodnie z wnioskiem.

Przed Sądem Rejonowym w Zakopanem pod sygn. akt. I Ns 732/21 z wniosku Krzysztofa Kowala toczy się postępowanie o nabycie spadku po Janie Murzańskim, synu Bronisławy i Wojciecha, zmarłym 23 czerwca 1998 r., ostatnio stale zamieszkałym w Groniu.

Sąd wzywa wszystkich następców prawnych Jana Murzańskiego oraz osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą oni być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy dla Krakowa – Podgórza w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 588/22/P z wniosku Krakowskiego Banku Spółdzielczego o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Gizie z domu Siemek, córce Wojciecha i Anny, zmarłej w dniu 2 stycznia 2019 r. w Krakowie i tu ostatnio zamieszkałej przy ul. Kobierzyńskiej 95/63.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa – Podgórza w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu stwierdzającym nabycie spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 222/23 toczy się postępowanie z wniosku Adama Kurka o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności niezabudowanej nieruchomości położonej w Kolonii Szczerbackiej, gmina Przysucha – obszar wiejski, woj. mazowieckie, złożonej z działek o nr. ewidencyjnych: 1334/1 i 1496/1 o łącznej pow. 0,1000 ha oraz 201, 202, 203, 1193/1, 1335 i 1495 o łącznej pow. 1,6700 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego na nr kancelaryjnym GK.I.6621.728.2023.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarosławiu I Wydziałem Cywilnym toczy się sprawa pod sygnaturą I Ns 615/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Małka, s. Tadeusza i Józefy, urodzonym 7 października 1958 roku w Cząstkowicach, zmarłym 14 lutego 2022 roku w Jarosławiu, ostatnio zamieszkałymi w Jarosławiu.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 574/23 toczy się postępowanie z wniosku Wandy Pilarek o stwierdzenie nabycia spadku po Wacławie Kmieć, zmarłym 27.4.2015 r. i po Wandzie Kmieć z d. Gabrysiak, zmarłej 6.3.2023 r., ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie przy ulicy Spiskiej 14/17. W skład spadku wchodzi mieszkanie w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TYGODNIK POWSZECHNY

Nowość!

PEŁNE DOŚWIADCZENIE TYGODNIKA W DOBREJ CENIE

Papierowy premium + cyfrowy roczny

- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Gwarancja szybkiej dostawy
- Natychmiastowy dostęp
- Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

729,99 zł

Najlepsza opcja!

Papierowy + cyfrowy

- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Natychmiastowy dostęp
- Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

599,99 zł

Prenumerata roczna

- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Nie musisz szukać w kiosku

550,00 zł

Prenumeratę papierową + cyfrową kupisz na TygodnikPowszechny.pl/sklep

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00-15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WOJCIECH

Bonowicz: *Prognoza pogody*

Wedle najlepszej pogodowej aplikacji miało padać – ale nie pada. Odłożyliśmy wyjazd, a można było jechać. Krzaki borówek uginają się od owoców, między brzozami i świerkami znów pojawiły się grzyby, a stos gałęzi do mielenia urósł na wysokość człowieka. Dziś aplikacja zapowiada słoneczne popołudnie. Uwierzyć jej czy założyć, że pomyli się raz jeszcze?

Na razie nie pojechaliśmy, więc czytam:

Próbuję opiewać okaleczony świat: liście
nadgryzione przez ślimaki, siebie utyskującego
na zdziczały ogród i na dziury w dachu.

Kiedy pada, mamy w środku dwie niagary:
jedną blisko bezpieczników, drugą na ścianie
obok, spektakularny strumień za lustrem.

Woda zatrzymuje się na zagrzybionych
dyktach, nieudolnie przybitych do sufitu.
Zalega długo po ulewie. Próbuję opiewać

to wszystko językiem okaleczonym przez
szkoły i uniwersytety. Próbuję opiewać
lustro pokryte warstwą pajęczyn.

To wiersz z najnowszego tomu Marcina Orlińskiego, zatytułowanego „Późne słońce”. Wiele w tym zbiorze utworów poświęconych zmaganiom z zarastającym ogrodem i naturze, która nie zamierza naginać się do ludzkich oczekiwań. Ten konkretnie wychodzi od czytelnej aluzji: „Spróbuj opiewać okaleczony świat” to tytuł znanego wiersza Adama Zagajewskiego. Nawiasem mówiąc, pamięta się dobrze to inicjalne „Spróbuj...”, a trochę zapomina, że w dalszym ciągu tamtego wiersza owa fraza ulega kolejnym przekształceniom: „Musisz opiewać...”, „Powinieneś opiewać...”, „Opiewaj...” Czyli – to więcej niż perswazja, to przynaglenie, zresztą nie skierowane na zewnątrz, lecz przez samego poetę potraktowane jako nakaz.

Czy Orliński sięga po tę frazę, by ją skompromitować? Nie. Obserwujemy raczej, jak przenosi ją do własnego świata, usiłując opisać to, co „okaleczone” w jego własnym otoczeniu. W tym przypadku „okaleczone” znaczy: rozpadające się z przyczyn naturalnych, butwiejące, dziczejące. Ogród zarasta i nie sposób pozbyć się zeń ślimaków, które żywią się tym, co posadzone. Dach domu przecieka, w środku pojawiają się grzyb i pajęczyny, a wilgoć w pobliżu bezpieczników grozi pożarem. Czy jednak określenie „okaleczone” na pewno jest właściwe? Czy opisywany świat rzeczywiście został „zraniony”? A jeśli tak, to przez kogo? To właśnie nie daje poecie spokoju. Może to nie świat jest okaleczony, ale język, który podpowiada takie, a nie inne rozwiązania, a więc także – sposoby widzenia?

Powtórzę: Orlińskiemu nie chodzi o to, by wziąć znaną frazę i ironicznie ją przenicować. Nie widzę w jego wierszu ironii, a jeśli już, to zwróconą w stronę samego siebie. Poetę jakby niepokoił własny słownik: „opiewać”, „utyskującego”, „spektakularny”... Coś za doskonałe, za bardzo wydumane są te słowa – w zderzeniu z czymś pospolitym, powszechnym, stanowiącym najoczywistszą treść życia. Zarastający ogród i butwiejący dom przypominają o tym, że życie nie znosi pustki, zapełnia każdy centymetr kwadratowy, wchodzi w każdą szczelinę. Ale też – że jego częścią jest rozpad i rozkład, dzięki którym nieustannie się odradza. Taki świat z perspektywy człowieka może się wydawać „okaleczony”, ale tak naprawdę bywa co najwyżej niewygodny, a zmaganie z nim często przerasta ludzkie możliwości.

„Drogiemu Wojtkowi, kilka pocztówek z Saskiej Kępy i kosmosu”, napisał mi w dedykacji Marcin. Między kolejnymi wierszami zrobiłem i rozwiesiłem pranie, cały czas spoglądając na niebo – czy na pewno wyjdzie słońce? Na razie nie wiadomo, jak będzie, jedne ciemne chmury odchodzą, ale na ich miejsce zjawiają się inne. Marcin niby wysyła „pocztówki”, ale tak naprawdę pisze „z bliska”, śmiało, bez dystansu. W taki dzień takie wiersze są mi potrzebne jak dobra pogoda. Albo przyjaźń. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
TYGODNIK POWSZECHNY
Podkastu Tygodnika Powszechnego słucha już ponad **80 000** osób.
Dziękujemy!

dołącz!

PO DWÓCH STRONACH JEDNEGO MORZA

Drastycznie wzrósł ruch migrantów przez Morze Śródziemne: po trzech nieco spokojniejszych latach kapitanowie statków handlowych znów meldują o niesionych przez wodę ciałach.

MARCIN ŻYŁA

Liczba pierwsza: 92 tysiące ludzi, którzy od początku roku dotarli przez Morze Śródziemne do samych tylko Włoch (to dane dokładne, europejskie służby skrupulatnie liczą przybyszy).

Liczba druga: 1800 osób, które w tym samym czasie utonęły – to już dane niepełne, obejmujące wyłącznie ciała wyłowione, zauważone na wodzie bądź ludzi, o których wiadomo, że zginęli, ponieważ powiedzieli tak ich ocaleli towarzysze. Najbardziej prawdopodobne szacunki mówią, że w tym roku w morzu utonęło co najmniej 5 tys. osób.

Dzięki pustej łodzi

Po trzech latach na najpopularniejszym w świecie szlaku migrantów – przeprawie z Afryki do Europy – znów zwiększa się ruch. Podobnie jak w rekordowym pod tym względem roku 2015 kapitanowie statków handlowych płynących Cieśniną Sycylijską meldują przez radio o niesionych przez wodę ciałach.

Wypadki łodzi z migrantami tylko z pozoru wyglądają podobnie. Początek miesiąca pokazał, że ich scenariusze mogą być bardzo różne.

3 sierpnia z portu Safakis w Tunezji odbiła jednostka z 45 osobami na pokładzie. Szybko przewróciła ją wysoka fala. Zginęło co najmniej 41 osób. Przez kilkanaście kolejnych godzin ocalałe cztery – 13-latek, kobieta i dwóch mężczyzn – unosiły się na wodzie tylko dzięki wątłym dętkom samochodowym, jedynym „zabezpieczeniu", w jakie przemytnicy wyposażają migrantów. Cała czwórka miała nieprawdopodobne szczęście – po pewnym czasie trafiła na pustą łódź, na której przeżyli kolejny dzień, aż wypatrzono ich z pokładu maltańskiego masowca, podjęto z wody i przekazano włoskiej straży przybrzeżnej.

W tych samych dniach: marokańskie służby zawróciły ćwierć tysiąca ludzi płynących w stronę należących do Hiszpanii Wysp Kanaryjskich; Grecy przechwycili niewielką żaglówkę, którą podróżowało kilkadziesiąt osób; Włosi podjęli z morza matkę z małym dzieckiem, jedynych ocalałych z innego wypadku u wybrzeży Tunezji – a także uratowali kilkanaście ↦

Tunezyjskie służby przechwytują migrantów na morzu niedaleko miasta Safakis, październik 2022 r.

YASSINE GAIDI / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

↦ osób, które woda wyrzuciła na klif na wybrzeżu wyspy Lampedusa.

Piraci z Safakisu

Coraz większy ruch na śródziemnomorskim szlaku migracyjnym zmusił również do zmiany strategii ludzi, którzy na nim zarabiają – przemytników i mieszkańców afrykańskiego wybrzeża.

W ostatnich dnia lipca sąd w Agrygencie na Sycylii aresztował czterech Tunezyjczyków, których zatrzymano na morzu pod zarzutem piractwa. Mieli oni dopływać własnymi motorówkami do łodzi migrantów na pełnym morzu, a następnie, po abordażu – grożąc im nożami, pałkami bądź wyrzuceniem za burtę – wymontowywać z tych jednostek silniki.

Silnik jest najcenniejszą częścią łodzi – to zwykle ponad 90 proc. jej wartości. Lichą łódź dla migrantów – drewnianą, z tworzyw sztucznych albo metalową – można zbudować łatwo w przydomowym warsztacie. Takich warsztatów, przynoszących dochód całym wsiom, działają na wybrzeżu Libii i Tunezji tysiące.

Jednak silników zwykle nie da się tam zamontować. Od pierwszych lat kryzysu migracyjnego popyt na nie zawsze przekracza podaż.

Nie wiadomo jeszcze, czy „odzyskujący" silniki do ponownej sprzedaży piraci z Tunezji działali samodzielnie, czy na zlecenie przemytników ludzi. Ale statki handlowe już kilkakrotnie meldowały w ostatnich tygodniach o łodziach z migrantami – bądź już bez nich – pozbawionych napędu.

Właśnie jedna z takich pustych łodzi uratowała rozbitków z ostatniego wypadku.

Dwa oblicza służb

Odkąd jesienią 2022 r. premierką została Giorgia Meloni, rząd Włoch – państwa, do którego trafia ponad 80 proc. ludzi płynących przez morze – zaostrzył politykę migracyjną.

W styczniu wszedł w życie przepis nakazujący statkom ratowniczym należącym do organizacji pozarządowych natychmiastowy powrót do portu już po pierwszej akcji. W dodatku – do portu wyznaczonego przez władze. Organizacje skarżą się, że odtąd muszą dopływać do miejsc tak odległych jak Ankona w środkowej części adriatyckiego wybrzeża Włoch.

Na efekt nowych przepisów nie trzeba było długo czekać. O ile ubiegłego lata po środkowej części Morza Śródziemnego pływało 17 prywatnych statków ratowniczych, obecnie jest ich już mniej niż 10. Kilka niewielkich, utrzymywanych dzięki zbiórkom publicznym organizacji nie stać było na paliwo potrzebne, by dotrzeć do odległych portów. Dla pozostałych organizacji dłuższy rejs oznacza za każdym razem pozostawanie w strefie poszukiwań o 4–5 dni krócej. Przez większość minionego tygodnia „Geo Barents", statek Lekarzy bez Granic, który 8 sierpnia podjął z metalowej łodzi 47 osób, był w drodze do portu La Spezia niedaleko Genui, daleko na północy Włoch.

Władze w Rzymie od lat twierdzą, że obecność statków ratowniczych zachęca migrantów do podejmowania podróży. Przeciwnikom tej tezy nowych argumentów dostarczyły – opublikowane w minionym tygodniu w „Nature" – wyniki prac międzynarodowego zespołu badawczego pod kierownictwem Alejandry Rodríguez Sánchez z Uniwersytetu Poczdamskiego.

Naukowcy przeanalizowali statystyki z Morza Śródziemnego z lat 2011-20 i „przefiltrowali" je przez takie zmienne jak pogoda, uwarunkowania polityczne, ruch na morzu, a nawet kursy wymiany walut, stopy bezrobocia czy ceny biletów lotniczych do Europy. Okazało się, że to właśnie warunki polityczne mają największy wpływ na liczbę podróży przez morze. Wyniki udowodniły też intuicyjnie oczywistą korelację między liczbą i skalą akcji poszukiwawczo-ratowniczych a mniejszą śmiertelnością. Organizacje humanitarne i ONZ od dawna apelują do Unii Europejskiej o powrót do skoordynowanych działań ratowniczych na wzór zakończonej przed dekadą włoskiej operacji Mare Nostrum.

Aktorzy dramatu

Po zmianach we włoskim prawie na morzu liczą się już w praktyce tylko cztery organizacje: Lekarze bez Granic, SOS Mediterranée ze statkiem „Ocean Viking", Pilotes Volontaires utrzymująca na Lampedusie samolot zwiadowczy, a także Alarm Phone, rozsiana po Europie sieć wolontariuszy odbierających telefony od rodzin migrantów zaniepokojonych losem bliskich – wciąż główne źródło informacji o łodziach wymagających ratunku.

Mniej więcej pośrodku sporu o migrantów jest włoska straż przybrzeżna, która – choć przez organizacje pozarządowe bywa portretowana w ciemnych barwach – generalnie podejmuje ludzi z wody i w sytuacjach kryzysowych reaguje zgodnie z prawem i obyczajem morza. Już w styczniu tego roku jej okręty dowoziły do portów Sycylii nawet po kilkaset ludzi.

Gdzie w tym sporze jest Frontex – czyli unijna agencja ochrony granic – to już pytanie trudniejsze.

Unia Europejska utrzymuje nad Morzem Śródziemnym flotę dronów. Te nie operują jednak nad obszarami, gdzie jest największe prawdopodobieństwo wykrycia migrantów. Paradoks środkowej części Morza Śródziemnego polega bowiem na tym, że choć dla kapitanów jednostek handlowych jest to ruchliwa trasa wschód–zachód, dla migrantów na łodziach – tylko dwa razy przecinających korytarze ruchu morskiego – prawdopodobieństwo napotkania statku jest niewielkie. Ruchliwe dla jednych morze jest dla innych pustą przestrzenią.

Frontex pod lupą

Co więcej, działaniom unijnej agencji ochrony granic zaczęła się ostatnio przyglądać europejska rzeczniczka praw obywatelskich.

Emily O'Reilly ogłosiła w minionym tygodniu, że wszczyna postępowanie wyjaśniające w sprawie działań Fronteksu podczas wydarzeń, które poprzedziły najtragiczniejszy od lat wypadek na Morzu Śródziemnym. Nad ranem 14 czerwca co najmniej 400 osób zginęło, gdy na wysokości greckiego Peloponezu zatonął przeciążony kuter z ludźmi. Przed wypadkiem przez kilkanaście godzin asystowały mu dwa statki handlowe; przez kilka ostatnich – okręt greckiej straży przybrzeżnej, który nie podjął żadnej akcji ratowniczej.

Grecka prokuratura prowadzi w tej sprawie własne śledztwo. Jeśli jego wynik będzie zbieżny z rezultatami dziennikarskich dochodzeń i zeznaniami ocalałych z wypadku, byłby to pierwszy tak dobrze udokumentowany przypadek, w którym służby państwa UE były biernymi sprawcami tragedii. Frontex wykrył łódź z migrantami poprzedniego dnia o 10 rano. Według greckiej straży przybrzeżnej pasażerowie jednostki, długiej na ok. 25 metrów, kilkakrotnie odmawiali pomocy twierdząc, że zamierzają płynąć dalej, do

MARCO CANTILE / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

Migranci schodzą na ląd z pokładu statku ratunkowego „Sea-Eye 4", Neapol, luty 2023 r.

Włoch. Jednak według organizacji Alarm Phone ludzie na łodzi wielokrotnie prosili o pomoc, jeszcze na wiele godzin przed wypadkiem.

„Frontex zaalarmował greckie władze o obecności jednostki i zaoferował pomoc, ale nie jest jasne, co jeszcze mógł lub powinien był zrobić – mówiła O'Reilly ogłaszając wszczęcie postępowania. – Migracja do Europy będzie trwać nadal, ale do wszystkich instytucji Unii należy zagwarantowanie, że będą one działać w sposób zapewniający przestrzeganie praw podstawowych".

Rzeczniczka wystosowała listę dziesięciu pytań do szefa Fronteksu Hansa Leijtensa. Zażądała od agencji ujawnienia wewnętrznych raportów na temat innych wypadków, w których ginęli ludzie; zapytała o umiejscowienie działań poszukiwawczo-ratowniczych w procedurach agencji; oraz o przyczyny odmawiania lub opóźniania wypuszczania ludzi z pokładu, gdy statek dotarł już do unijnego portu; wreszcie – o procedury komunikacji z prywatnymi statkami ratowniczymi.

Choć to wszystko brzmi dość szczegółowo, jest to interwencja na najwyższym szczeblu w sprawie działań agencji, która od 2019 r. m.in. wspiera często kontrowersyjne polityki państw na zewnętrznych granicach Unii (także Polski na granicy białoruskiej).

Kiedy w marcu Leijtens objął stanowisko szefa Fronteksu, obiecywał „przywrócenie zaufania" do agencji, której działania już wcześniej analizowały unijne służby antykorupcyjne. Fabrice Leggeri, ostatni pełnoetatowy dyrektor Fronteksu, został w 2022 r. zmuszony do dymisji, gdy okazało się, że Frontex wiedział o tzw. push-backach (przymusowym cofaniu) migrantów przez grecką straż przybrzeżną – i nie podjął w związku z tym żadnych działań.

Pieniądze i prawa

Tymczasem Emily O'Reilly nie spuszcza z tonu i zapowiada kolejne dochodzenia. Jesienią chce sprawdzić, czy Komisja Europejska, wspierając finansowo Włochy, Grecję czy Polskę na granicy białoruskiej, odpowiednio monitoruje przestrzeganie przez te państwa praw człowieka.

Ma również zamiar przyjrzeć się podpisanej w połowie lipca umowie z Tunezją. Unia zobowiązała się wtedy do przekazania władzom w Tunisie nawet miliarda euro, z czego 137 mln ma być przeznaczone na wzmocnienie granic i zwalczanie nielegalnej migracji.

O'Reilly ma powody, by podejrzewać, że za umową stoi coś więcej niż sama współpraca w dziedzinie bezpieczeństwa. Odkąd trzy lata temu dziennik „The Guardian" ujawnił poufny dokument, w którym brukselscy urzędnicy przyznawali, iż nie mają możliwości kontrolowania sytuacji migrantów w państwach północnej Afryki, coraz wyraźniej widać, w jakim rozkroku między swoimi wartościami a praktyką stoi Unia Europejska. Na Saharze, z dala od kamer i poza jakąkolwiek kontrolą z zewnątrz, w powstrzymywaniu migrantów biorą wciąż udział nie tylko armie państw Sahelu, ale też prywatne milicje o wątpliwej reputacji. Np. w Sudanie, pilnujące granicy z Libią tzw. Siły Szybkiego Wsparcia (RSF) to w istocie oddziały Dżandżawidzów, bojówek odpowiedzialnych kiedyś za zbrodnie na chrześcijanach w Darfurze.

W praktyce Tunezja, Libia i Sudan są dla Unii jedynymi wyjątkami od świętej zasady, że w ślad za europejską pomocą finansową z Europy musi pójść przestrzeganie praw człowieka. To zresztą już praktyka nie tylko Unii – w Wielkiej Brytanii trwa właśnie dyskusja o ewentualnym wypowiedzeniu Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, co miałoby „ułatwić radzenie sobie" z kryzysem migracyjnym na La Manche.

Więcej niż turyści

Tunezja właśnie wyprzedziła Libię jako państwo, skąd w stronę Europy wypływa najwięcej migrantów. Safakis – położony w środkowej części tunezyjskiego wybrzeża, niecałe 200 km od Lampedusy – stał się dla nich głównym punktem tranzytowym.

Na początku lipca ich obecność wywołała zamieszki na tle rasowym. Władze zareagowały na kryzys ostro: prezydent Kais Sajed oskarżył „obce siły" o próbę destabilizacji kraju poprzez zmianę proporcji demograficznych społeczeństwa. Zaprzeczył, by kierował nim rasizm, jednak nie sprzeciwił się, gdy tunezyjskie służy wywiozły z miasta ok. 80 osób i pozostawiły je na pustyni na granicy z Libią.

Czy umowa z Tunezją faktycznie zmniejszy liczbę migrantów płynących w stronę Europy? Podpisując ją, w obecności przewodniczącej Komisji Ursuli von der Leyen oraz premierów Włoch i Niderlandów, prezydent Kais Sajed oskarżył zachodnie organizacje humanitarne o kampanię dezinformacyjną wymierzoną przeciwko jego krajowi. Ale unijne pieniądze mogą nieco ograniczyć zasięg działania przemytników ludzi. Nie poprawi to w niczym sytuacji migrantów, może jednak ograniczyć presję, jakiej poddawana jest w ostatnich miesiącach Tunezja.

O jej sile świadczą pieniądze. Szacuje się, że rynek przemytu ludzi w Tunezji i Libii może obracać ponad 2 mld euro rocznie. Według urzędników z Tunisu tylko w pierwszej połowie tego roku wartość przekazów, które trafiły do tego kraju z państw Afryki Subsaharyjskiej – niemal zawsze były to pieniądze przeznaczane przez bliskich migrantów na kontynuowanie ich podróży – wynosi 880 mln euro.

To więcej niż w tym samym czasie Tunezja zarobiła na turystyce.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Pokój, wolność, Rosja

ULA IDZIKOWSKA Z BERLINA

Kreml próbuje stworzyć w Europie antywojenną koalicję, by osłabiać poparcie dla Ukrainy. Głównym celem tej operacji są Niemcy. A w nich, między innymi, uczestnicy „pokojowych protestów”.

Robi się parno. Nad Bramą Brandenburską wiszą ołowiane chmury. Od strony Pariser Platz nie widać nic szczególnego. Sobota jak sobota – turyści przechodzą lub przejeżdżają przez plac rowerami, popijają kawę w ogródkach kawiarni.

Dopiero po przejściu na drugą stronę Bramy wyłania się obóz protestujących „na rzecz pokoju, wolności, prawdy i radości”. Ze sceny wybrzmiewają komunikaty organizatorów przerywane szlagierami. Na stoiskach można kupić płyty piosenkarzy-antyszczepionkowców oraz wlepki i przypinki z wizerunkiem przekreślonej strzykawki czy hasłem „Gdy obywatel jest uciążliwy, to od razu jest ultraprawicowcem”.

Przyszli tu normalni ludzie

Alex, na oko przed czterdziestką, przyszedł na demonstrację w żółtej koszulce z hasłem „pokój” w różnych językach. I za ultraprawicowca wcale się nie uważa.

– Popatrz tylko wokół. Czy widzisz jakiegoś prawicowego ekstremistę? Przyszli tu różni, normalni ludzie, którzy wspierają pokój i negocjacje między Ukrainą, Rosją a Stanami Zjednoczonymi. To mainstreamowe media przedstawiają nas jako ultraprawicowców.

W dziennikach „Süddeutsche Zeitung” i „Tagesspiegel”, które wymienia Alex, pojawiają się krótkie wiadomości. Mowa w nich o kolejnym proteście przeciwników rządowych rozwiązań – niektórzy uczestnicy berlińskiej demonstracji „pokojowej” już podczas pandemii protestowali na ulicach przeciwko covidowym obostrzeniom i szczepionkom. Tak jak Jens z Osnabrück, przemysłowego miasta w zachodnich Niemczech, leżącego ponad 400 kilometrów od Berlina.

– Protestowaliśmy, bo baliśmy się o swoje życie. Szczepionka pojawiła się za szybko. Poza tym nie chcieliśmy, żeby ktoś nas zmuszał. Każdy powinien sam o sobie decydować – mówi Jens. „*Selbstbestimmung*”, czyli „samostanowienie” to jedno z głównych haseł protestu. „Pokój, wolność, samostanowienie! ”– skanduje kobieta z podium.

Niemcy zgromadzeni pod Bramą Brandenburską mówią, że chcą wziąć sprawy w swoje ręce, bo wątpią w kompetencje polityków. We wrześniu 2022 r. zaufanie Niemców do państwa było na rekordowo niskim poziomie. Tylko 29 proc. respondentów uważało, że funkcjonuje ono sprawnie. To znaczący spadek w porównaniu z rokiem 2020, kiedy w sprawczość państwa wierzyła prawie połowa zapytanych osób.

– Ta nieufność, która stopniowo przekształciła się w paranoję, była już widoczna wcześniej. Populistyczny, rasistowski ruch PEGIDA, powstały w 2014 r., zmobilizował część społeczeństwa, która była w jakiś sposób sceptyczna wobec działań państwa – wyjaśnia Piotr Kocyba z Instytutu im. Else-Frenkel-Brunswik w Lipsku, który bada i dokumentuje antydemokratyczne postawy, struktury i aspiracje w Saksonii.

PEGIDA wykorzystała kryzys związany ze wzmożoną migracją Syryjczyków i Afgańczyków do Niemiec. – Ludzie, którzy teraz występują „w imię pokoju i przeciwko dostawom broni do Ukrainy”, to w większości ci sami, którzy wcześniej protestowali przeciwko przyjęciu uchodźców czy pandemicznym restrykcjom.

Od chwili pojawienia się PEGID-y na niezadowoleniu Niemców swój kapitał polityczny buduje prawicowo-populistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD). Zdaniem Kocyby kreuje się ona na reprezentantkę niepokojów ulicy. – Początkowo AfD żądała silnego państwa. Ale na początku pandemii partia całkowicie zmieniła narrację, żeby zbliżyć się do powstającego ruchu niezadowolonych, którzy sprzeciwiali się obostrzeniom – tłumaczy badacz.

W ostatnim czasie popularność AfD znacznie rośnie – obecnie wynosi 21 proc.

W kontrze do Ameryki

– Teraz mamy bananową republikę, a nie dobrze funkcjonujące państwo – mówi sprzedawca nalepek, w tym znaku drogowego z przekreśloną nazwą Niemiec, poprawioną na „*Bananenrepublik*”. – Gospodarka kuleje, do tego wysyłają broń do Ukrainy. To szaleństwo musi się skończyć.

Niektórzy protestujący twierdzą, że „rząd musi ustąpić”. – Władza jest za bardzo powiązana z Waszyngtonem. Liczy się tylko to, co powiedzą Stany – mówi Alex.

Od ponownej inwazji Rosji na Ukrainę w Niemczech przybrał na sile antyamerykanizm. Coraz częściej słychać krytykę amerykańskiego „imperializmu” i „materializmu”. Stany są nawet oskarżane o współudział w rosyjskiej agresji i czerpanie zysków ze sprzedaży broni. Część uczestników demonstracji

ADAM BERRY / GETTY IMAGES

Demonstracja grupy Querdenken pod hasłem „Jest nas wielu", Berlin, 5 sierpnia 2023 r.

wierzy, że to NATO jest agresorem, a nie Rosja – to rozszerzenie Sojuszu miałoby sprowokować Rosję do „obrony". W tłumie od czasu do czasu mignie też hasło „*Ami, go home*", czy transparenty z alternatywnym rozwinięciem akronimu NATO – „*Neoliberale, Aggressive, Terror Organisation*".

Ze stwierdzeniem: „NATO tak długo prowokowało Rosję, że ta nie miała wyboru i musiała stanąć do walki" – zgodziła się jedna trzecia uczestników badania o wpływie rosyjskiej propagandy w Niemczech z listopada 2022 r. przeprowadzonego przez Centrum Monitorowania, Analiz i Strategii CEMES. W zachodniej części Niemiec w jego prawdziwość wierzy znacznie mniej osób – 16 proc. ankietowanych.

Pod prąd

Z badania wynika również, że w narracje spiskowe dotyczące wojny w Ukrainie wierzą najczęściej wyborcy AfD. Ze stwierdzeniem o prowokacji NATO zgodziła się prawie połowa pytanych o to zwolenników tej partii.

– Nie jesteśmy w stanie wywrzeć wystarczającej presji na rząd. I tak Waszyngton o wszystkim decyduje. Przyszłe wybory zbyt wiele nie zmienią – mówi Alex. – Te protesty są jednak ważne. Bo tworzymy, umacniamy społeczność.

Częścią tej społeczności są tzw. lateralni myśliciele, czyli członkowie grupy Querdenken, która już w połowie 2020 r. zaczęła organizować protesty przeciwko obostrzeniom pandemicznym. Jej nazwa nawiązuje do pojęcia myślenia lateralnego, czyli kreatywnego. Wprowadził je w 1967 r. Edward de Bono, lekarz z Malty, propagator myślenia „pod prąd" stereotypom i dominującym ideom. Podczas pandemii pojęcie zmieniło znaczenie – przejęła je antysystemowa grupa „wolno myślących", która, jak utrzymuje, „widzi rzeczywistość inaczej" i „nie boi się wypowiedzieć swojego zdania".

Członkowie Querdenken piszą na swoim kanale na Telegramie, że „jest ich wielu". W szczytowym momencie ruch był w stanie co tydzień zmobilizować dziesiątki tysięcy osób przeciwnych pandemicznym obostrzeniom. Trzy lata później na berlińską demonstrację 5 sierpnia przychodzi 4600 osób. Niektórzy noszą koszulki z datą 1 sierpnia 2020 r. – tamtego dnia „lateralni myśliciele" zorganizowali demonstrację w Berlinie z udziałem ok. 17 tys. osób.

W protestach organizowanych przez „lateralnych myślicieli" od początku uczestniczą ludzie z bardzo odmiennych środowisk – 5 sierpnia byli tu zwolennicy uwolnienia twórcy WikiLeaks Juliana Assange'a maszerowali ramię w ramię z klimatycznymi negacjonistami, osobami z rosyjskimi flagami i zwolennikami pokoju z symbolami tęczy. Co właściwie ich łączy?

Alex ma prostą odpowiedź: – Wszyscy chcemy pokoju.

Odpowiedź na kryzysy

– Zmiana charakteru protestów z antycovidowego i antyszczepionkowego na tzw. propokojowy na pierwszy rzut oka może wydawać się duża, ale w myśleniu protestujących może być z kolei logiczną ewolucją wynikającą z tego, co odczuwają oni jako kryzys obywatelskości i ograniczenie wolności – tłumaczy Agnieszka Pasieka, badaczka skrajnie prawicowych ruchów we Włoszech, Polsce i Słowacji. – A także z myślenia: „najpierw nie mieliśmy nic do powiedzenia w kwestii lockdownu, teraz z naszych podatków jest wysyłana broń do Ukrainy". Możliwe, że różne kryzysy – ekonomiczny, klimatyczny oraz egzystencjalny, związany z odejściem od doktryny pacyfizmu, która dominowała w niemieckiej edukacji od dekad – nałożyły się po prostu na siebie.

Obecnie prawie połowa Niemców popiera wysyłanie broni do Ukrainy, natomiast 35 proc. twierdzi, że wsparcie militarne dla tego kraju idzie za daleko. Odsetek ten wzrósł o prawie 10 punktów procentowych po decyzji o wysłaniu w lutym na front czołgów Leopard.

– Wojna w Ukrainie nie mobilizuje aż tylu osób, ile wcześniej pandemia. To zrozumiałe, bo w końcu obostrzenia covidowe dotykały wszystkich bezpośrednio – mówi Piotr Kocyba. – Ale to nie oznacza, że np. ruch Querdenken stracił na znaczeniu. Wciąż ma wpływ ↦

↦ na publiczną debatę i scenę polityczną. Popularność AfD rośnie w zaskakującym tempie również ze względu na systematyczne działania tego typu antysystemowych grup, które zrzeszają ludzi na różnych poziomach: lokalnym i narodowym.

Zdaniem Kocyby, grupy występujące przeciwko rządowi i osoby niezrzeszone to polityczne „przedpole" skrajnej prawicy.

– Przedstawiciele takich grup, np. Freie Sachsen, która dąży do odłączenia Saksonii od Niemiec, używają tych samych metod co AfD, by zarządzać strachem. Wykorzystują wiarę ludzi w to, że rząd chce ich zabić szczepionkami. Wiele osób, które biorą udział w antysystemowych demonstracjach, żyje w wiecznym poczuciu zagrożenia. W ubiegłym roku doszła jeszcze wiara w to, że politycy prowadzą nas do III wojny światowej, bo wysyłają broń do Ukrainy. Te wszystkie lęki mogą uaktywnić reakcje obronne. Skrajna prawica zdaje sobie z tego sprawę – mobilizuje ludzi do obrony siebie i swojego kraju.

Nie tylko Niemcy

Politycy AfD powołują się przy tym na zwolenników spiskowej narracji o tym, że narody i kultura białych miałyby zostać zastąpione przez „obcych" – czarnych, imigrantów czy muzułmanów. Odpowiedzialni za tę „wielką wymianę" mieliby być promigracyjni politycy, którzy faworyzują „obcych" i nie robią nic dla „zwykłych Niemców".

Thomas Haldenwang, szef Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji, czyli cywilnego kontrwywiadu, ostrzega wręcz, że politycy AfD promują postawy niezgodne z demokratycznym porządkiem, a w partii przybierają na sile tendencje antykonstytucyjne.

Agnieszka Pasieka: – To swoiste *nomen omen*. Oto ludzie, którzy wątpią we władze, nie zgadzają się z narzuconym z góry porządkiem i szukają „alternatywy", znajdują ją w partii, która tę alternatywę ma w nazwie. Możliwe, że popularność radykalnej prawicy jest związana ze zmęczeniem obywateli różnymi kryzysami. Widzimy to w całej Europie.

W Austrii rośnie popularność eurosceptycznej Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ), Włochami rządzi Giorgia Meloni z nacjonalistyczno-konserwatywnej partii Bracia Włosi, w Szwecji zaś rząd współtworzą posłowie ze Szwedzkich Demokratów, skrajnie prawicowego ugrupowania sprzeciwiającego się imigracji i idei wielokulturowości. – Nawet w Hiszpanii, która była dla wielu „europejską dumą" z lewicowym rządem, majowe wybory w 12 wspólnotach autonomicznych pokazały, że rząd nie cieszy się zbytnim zaufaniem, a popularność lewicowych idei spadła – zauważa Pasieka.

Opór czy naiwność

Tymczasem pod Bramą Brandenburską demonstranci twierdzą, że stawiają „demokratyczny opór". Oskarżają rząd i media o niedemokratyczne działania.

– Telewizja i gazety pokazują tylko ułamek rzeczywistości. Nie wspominają o prawdziwym obliczu NATO, rząd milczy na temat Nord Streamu. Ukrywają prawdę. To nie jest zbyt demokratyczne – twierdzi Alex.

Sam nie czyta gazet, bo „nie ma to najmniejszego sensu". Informacje czerpie z „alternatywnych" mediów i kanałów na Telegramie. Ten komunikator, stworzony przez dwójkę Rosjan i krytykowany z powodu niedostatecznych zabezpieczeń, „miał ogromne znaczenie dla środowiska narracji spiskowych i prawicowych ekstremistów" – pisze Josef Holnburger, badacz ideologii spiskowych, prawicowego ekstremizmu i antysemityzmu, w raporcie „Chronologia radykalizacji". „Na Telegramie planowane są protesty, organizowane są wyjazdy na demonstracje i publikowane są przemówienia. To platforma numer jeden służąca mobilizacji i logistyce. Prorosyjska dezinformacja udostępniana na platformie wywiera głęboki wpływ na dyskursy i postawy polityczne" – czytamy w raporcie.

– Mamy do czynienia z wieloma ugrupowaniami, które powtarzają rosyjską propagandę, bo skierowana ona jest przeciw wszystkiemu, czemu ci ludzie się sprzeciwiają – wyjaśnia Piotr Kocyba.

Rosja dąży do konsolidacji tych grup w jeden antywojenny chór. Wynika to ze sprawozdań ze spotkań kremlowskich urzędników z rosyjskimi strategami politycznymi, które zdobyły europejskie służby wywiadowcze. Strategowie dostali jasne zadanie: budować nastroje antywojenne w Europie i osłabiać poparcie dla Ukrainy. Głównym celem tej operacji są Niemcy. „Dokumenty te po raz pierwszy pokazują bezpośrednie próby ingerowania Kremla w niemiecką politykę poprzez dążenie do stworzenia nowej koalicji między skrajną lewicą i AfD, a także popieranie protestów skrajnej lewicy i prawicy przeciwko niemieckiemu rządowi", donosił dziennik „The Washington Post".

Celem Rosji miałoby być zdobycie większości w wyborach na każdym szczeblu w Niemczech, a zwłaszcza – wzmocnienie AfD. © ULA IDZIKOWSKA

Artykuł powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

POŻEGNANIE

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o odejściu

Profesor Katarzyny Barańskiej

W osobie Zmarłej społeczność akademicka Uniwersytetu Jagiellońskiego utraciła znamienitą znawczynię humanistycznego wymiaru zarządzania, a szczególnie zarządzania muzeami, wspaniałego nauczyciela, Osobę pełną ciepła i życzliwości.

Rodzinie i bliskim Zmarłej wyrazy głębokiego współczucia składają

koleżanki i koledzy z Instytutu Kultury
oraz władze i społeczność
Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej
Uniwersytetu Jagiellońskiego

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Katedra w Wilnie, lipiec 2021 r.

Czas rozliczeń

TOMASZ OTOCKI Z WILNA

Litewscy katolicy również zaczynają żądać od Kościoła skutecznego karania przestępców seksualnych.

Ta sprawa zelektryzowała cały kraj – a na pewno ludzi wierzących: w maju ujawniono fakt skazania ks. Kęstutisa Palikšy, kanclerza archidiecezji wileńskiej, za posiadanie pornografii z udziałem dzieci. Oskarżono go także o molestowanie seksualne 15-latka. Niedługo po tym katolicy opublikowali list otwarty, w którym domagają się powołania niezależnej komisji ds. zbadania przypadków pedofilii w Kościele.

Sprawa ma jednak szerszy kontekst – historyczny, ale również taki, który wykracza poza sam Kościół katolicki.

Są pytania, nie ma odpowiedzi

„Dla wspólnoty katolików na Litwie wstrząsem były ostatnie doniesienia medialne o nadużyciach seksualnych, których dopuścili się księża – czytamy we wspomnianym liście. – Wierni Kościoła stanęli w obliczu wielu pytań bez odpowiedzi, gdy tymczasem Kościół jako instytucja traci zaufanie w naszym społeczeństwie. Historia, której zakończenia jeszcze nie znamy, jest bolesna dla katolików archidiecezji wileńskiej. Mamy też w pamięci przypadki wykorzystywania seksualnego osób niepełnoletnich lub zależnych w innych diecezjach. Ich prawdziwość została zweryfikowana w procesach sądowych, niejednokrotnie były one przedstawiane i dyskutowane tak w mediach, jak i w przestrzeni publicznej”.

Sprawa Palikšy stała się głośna, gdy portal informacyjny Delfi.lt poinformował o umorzeniu śledztwa w sprawie kanclerza kurii wileńskiej, którego oskarżano o gwałt na nieletnim. Obecnie 19-letni chłopak, którego dane są chronione, przyznał, że cztery lata wcześniej pozostawał z księdzem w intymnych relacjach i dostawał za nie pieniądze. Rzecz wyszła na jaw, gdy sam duchowny zgłosił policji przywłaszczenie kilku tysięcy euro przez chłopaka.

Nie tylko księża

O podejrzeniach wobec komunistycznych bonzów, którzy mieli molestować dzieci jeszcze w czasach, gdy Litwa była częścią Związku Sowieckiego, opowiadała mi kiedyś ówczesna posłanka ↦

↦ na Sejm, feministka Marija Aušrinė Pavilionienė. Oficjalnie temat nie był nigdy badany, choć ostatnio Litwini zaczynają się interesować seksualnością w okresie sowieckim, czego przejawem jest wydana właśnie książka Valdemarasa Klumbysa i Tomasa Vaisety na ten temat. Uwagi nie doczekała się jednak do tej pory kwestia domniemanego molestowania nieletnich przez księży w okresie 1945-1991. Ze względu na specyfikę Związku Sowieckiego, państwa niedopuszczającego kapłanów do pracy z młodzieżą, prawdopodobnie było to zjawisko o skali mniejszej niż w Polsce.

Temat pedofilii wrócił ponad dekadę temu, gdy do polityki, uzyskując blisko 8 proc. głosów, weszła przebojem antykorupcyjna partia Droga Odwagi (DK). Tym utworzonym w 2012 r. ugrupowaniem kierowała sędzia Neringa Venckienė, siostra niejakiego Drąsiusa Kedysa.

Tzw. sprawa Kedysa zaczęła się od oskarżeń wysuniętych przez niego o skrzywdzenie jego czteroletniej córki. Kedys rozesłał kilkaset listów wraz z wypowiedziami dziewczynki, które wskazywały na fakt jej molestowania. Kilka miesięcy wcześniej zamordowano sędziego i siostrę matki, których mężczyzna publicznie oskarżał o udział w haniebnym procederze. Zwłoki samego Kedysa odnaleziono w 2010 r.

Tamte wydarzenia podzieliły Litwinów. Niektórzy uznali mężczyznę za mściciela dokonującego samodzielnej zemsty wobec bezczynności policji i prokuratury. Inni – za psychopatę i zbrodniarza. Mówiono też o rzekomej „mafii pedofilskiej" z układami w sądownictwie i polityce, która miałaby stać za tajemniczymi śmierciami. Sprawa Kedysa nie pozwoliła przetrwać Drodze Odwagi kadencji litewskiego Sejmu w latach 2012-16. Temat został przykryty przez inne wydarzenia.

Z kolei w lutym 2023 r. opinię publiczną zelektryzował przypadek posła konserwatystów (od 2020 r. współrządzących Litwą) Kristijonasa Bartoševičiusa. Prokuratura generalna zwróciła się wtedy do przewodniczącej Sejmu Viktoriji Čmilytė-Nielsen, liderki koalicyjnego ugrupowania Ruch Liberałów, o uchylenie politykowi immunitetu. Wcześniej zarzuciła mu przestępstwa przeciwko czterem osobom niepełnoletnim. Opozycja zażądała zwołania nadzwyczajnego posiedzenia Sejmu, które miało wyjaśnić, czy do byłego posła mogły przedostać się informacje o toczącym się przeciwko niemu śledztwie.

W międzyczasie na Litwie odbyły się wybory samorządowe – i kwestia Bartoševičiusa przycichła.

Czy powstanie komisja

W odróżnieniu od tamtych skandali sprawa ks. Palikšy wciąż jest jednym z najważniejszych tematów na Litwie, gdy mowa o zjawisku pedofilii.

Sąd nałożył na duchownego grzywnę w wysokości czterech tysięcy euro – wcześniej, podczas przesłuchania, kanclerz kurii przyznał się do stawianych mu zarzutów o posiadanie pornografii dziecięcej, wskazując jednocześnie, że zeznania chłopca w sprawie molestowania uważa za zemstę za zgłoszenie kradzieży. Wileńska kuria poinformowała, że wszczęła dochodzenie „w sprawie". „Każda krzywda wyrządzona najmłodszym jest bólem dla całej wspólnoty Kościoła", napisano w oświadczeniu kurii.

Wspomniany wcześniej list do biskupów litewskich, który od czerwca podpisało już prawie sto rozpoznawalnych osób związanych z lokalnym Kościołem – księży, zakonników i zakonnic oraz świeckich – opublikowano akurat wtedy, gdy arcybiskup archidiecezji wileńskiej Gintaras Grušas stwierdził, że nie wiedział o fakcie molestowania. – Ostatecznie przeprosił publicznie za przestępstwo podwładnego i go zwolnił – informuje „Tygodnik" dr Katarzyna Korzeniewska-Wołek, tłumaczka języka litewskiego.

W liście skierowanym do hierarchów Kościoła litewskiego, przekazanym do wiadomości także nuncjuszowi papieskiemu w krajach bałtyckich, czytamy: „doświadczenia Kościołów lokalnych w Europie i na całym świecie pokazują, że najlepsze owoce w postaci pojednania we wspólnocie katolickiej i odzyskania zaufania w społeczeństwie, a przede wszystkim – uleczenia ran powstałych w wyniku pedofilii, wykorzystywania seksualnego i nadużywania władzy duchownej i świeckiej, przynosi praca niezależnych komisji eksperckich, powołanych do badania przypadków takich przestępstw. Koniecznym krokiem ku przyszłości jest prześwietlenie przeszłości, uznanie swoich win, zadośćuczynienie ofiarom i gruntowny rachunek sumienia".

Sygnatariusze odezwy przypominają słowa papieża Franciszka, który pięć lat temu odwiedził Litwę: „Kryzys nadużyć seksualnych dotyka poważnie Kościół, bo podważa jego zdolność do ogarnięcia osób wyzwalającą miłością Boga i bycia jej wiarygodnym świadkiem".

„Przeszkody dla misji"

„Napisaliśmy list, ponieważ zauważyliśmy niewystarczającą efektywność w tym zakresie. Znamy kontekst na świecie, w Europie, gdzie prowadzone są komisje, oczywiste jest, że na Litwie

też trzeba to zrobić” – powiedział dziennikarzom jeden z sygnatariuszy listu, pracownik naukowy Uniwersytetu Wileńskiego Giedrius Tamaševičius. „Nasza propozycja to zewnętrzna, bardzo szeroka komisja ekspertów, której przewodniczy osoba niezwiązana z Kościołem instytucjonalnym. Komisje podobne do tego modelu działają w Niemczech. Najważniejsze jest wysłuchanie, dotarcie do ofiar, aby zobaczyły, że mogą mówić” – dodał.

Na razie na stronach internetowych prawie wszystkich diecezji litewskich znajdziemy dział „ochrona nieletnich” i kontakty do wyznaczonych latem 2022 r. delegatów.

Nie jest jednak łatwo skontaktować się z poszczególnymi diecezjami – trwa okres wakacyjny. Bardzo szybko reaguje diecezja w Telszach, stolicy Żmudzi, wysyłając do mnie informację prasową po litewsku i po polsku. Odpisuje sam biskup Algirdas Jurevičius, dostaję od niego krótką analizę pt. „Przeszkody dla misji Kościoła”. Poza ogólnikami diecezja przyznaje: „z głębokim smutkiem i żalem musimy przyznać, że członkowie Kościoła nie zawsze byli wierni wezwaniu Pana do świętości i poważnie obrazili nie tylko te osoby, które zostały nieodwracalnie skrzywdzone, ale także całą wspólnotę wierzących”.

Bez kontaktu z księdzem

Bp Jurevičius potwierdza, że również duchowni z jego diecezji zostali oskarżeni o przestępstwa seksualne.

„W 2019 r. diecezja przeprowadziła wstępne dochodzenie w sprawie niewłaściwego zachowania ks. Jonasa Kusasa wobec nieletnich w latach 90. – informuje w mailu „Tygodnik”. – Na podstawie mandatu Kongregacji Nauki Wiary wydaliłem ks. Kusasa ze stanu duchownego. Ofiarom zaoferowaliśmy pomoc duchową i psychologiczną”. Biskup dodaje, że „księża z diecezji w Telszach również cierpieli z powodu fałszywych oskarżeń. 11 lat temu ks. Saulius Styra został oskarżony o wykorzystywanie seksualne. Oskarżyciel księdza był mocno zadłużony i wymyślił sposób na zarobienie pieniędzy. Policja odkryła prawdziwe motywy oskarżyciela, a on sam przyznał się do fałszywego oskarżenia”.

Passus o fałszywych oskarżeniach wobec kapłanów jest dłuższy niż ten dotyczący ks. Kusasa. Jurevičius dodaje w swym oświadczeniu uwagę: „Szkoda, że zbyt mało mówi się o duchownych, którzy zostali fałszywie oskarżeni, ponieważ cierpią oni z powodu ogromnej pogardy i upokorzenia. Takim księżom nie jest łatwo wrócić do pracy duszpasterskiej po uniewinnieniu”.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

ABP GINTARAS GRUŠAS:

To moja wina, że nie przyjrzałem się tej sprawie. (...) Przepraszam młodego człowieka, który doznał tego, czego nie powinien doznać od księdza.

Czy diecezja monitoruje przypadek księdza, który skrzywdził nieletnich? – Ks. Kusas jest na emeryturze i nie ma kontaktu z diecezją, więc nie mamy wiarygodnych informacji na temat jego życia osobistego – mówi „Tygodnikowi” referentka kurii w Telszach Sonata Jakumienė. Zaznacza też, że na Litwie organizowane są nabożeństwa z prośbą o uzdrowienie i uwolnienie wewnętrzne, które pomagają zidentyfikować wewnętrzne rany i uleczyć je „z Bożą pomocą”. Zdaniem Jakumienė ośrodki rodzinne utworzone przez Kościół mają też wyszkolonych psychologów: – O ile nam wiadomo, tylko jedna ofiara skorzystała z pomocy psychologicznej – mówi.

Pozostali pokrzywdzeni odmówili skorzystania z pomocy. Jaka mogła być tego przyczyna? Tym Kościół w Telszach się nie interesuje. – Kobieta psycholog była obecna podczas rozmów z ofiarami – przyznaje tylko Jakumienė.

Poza polityką

Na początku czerwca abp Gintaras Grušas posypał głowę popiołem. „To moja wina, że nie przyjrzałem się tej sprawie, że nie zadałem ważnych, choć trudnych pytań księdzu Kęstutisowi. (...) Przepraszam młodego człowieka, który doznał tego, czego nie powinien doznać od księdza” – powiedział dziennikarzom. Nie ujawniono, czy próbował spotkać się z osobą pokrzywdzoną. Zaapelował jednak, by osoby posiadające informacje o przestępstwach księży kontaktowały się z diecezjami. Poinformował, że w sprawie nadużyć seksualnych wysłał pismo do władz państwowych z prośbą „o wdrożenie współpracy przewidzianej w międzynarodowym traktacie ze Stolicą Apostolską, aby państwo informowało o wszystkich przypadkach, w których księża są ścigani”.

– Na szczęście, inaczej niż u was, temat ten nie jest upolityczniony. Żaden z polityków nie chce atakować księży, ale żaden nie jest też zainteresowany „przykrywaniem” tych spraw – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Rūta Tumėnaitė, współinicjatorka listu katolików litewskich. – Litwa to kraj zsekularyzowany. Rzadko pojawiają się tylko tłumaczenia, że „to przecież gender”, że środowiska LGBT „także molestują”. Również teraz abp Grušas wskazał na „problem pornografii, której ofiarami są też ci, którzy są filmowani”.

W sprawie listu katolików milczy partia konserwatywna, choć przez lata uchodziła za związaną z Kościołem. Rūta Tumėnaitė wierzy jednak w papieża Franciszka: – Wszystkie jego tyrady przeciwko klerykalizmowi jako korzeniu wielu bolączek Kościoła, w tym nadużyć seksualnych i ich powszechnego tuszowania, wywodzą się ze świadomości nadużyć władzy – mówi. – To z tego wyrasta kultura milczenia, bezkarności, zamiatania spraw pod dywan i „załatwiania ich między sobą”.

© TOMASZ OTOCKI

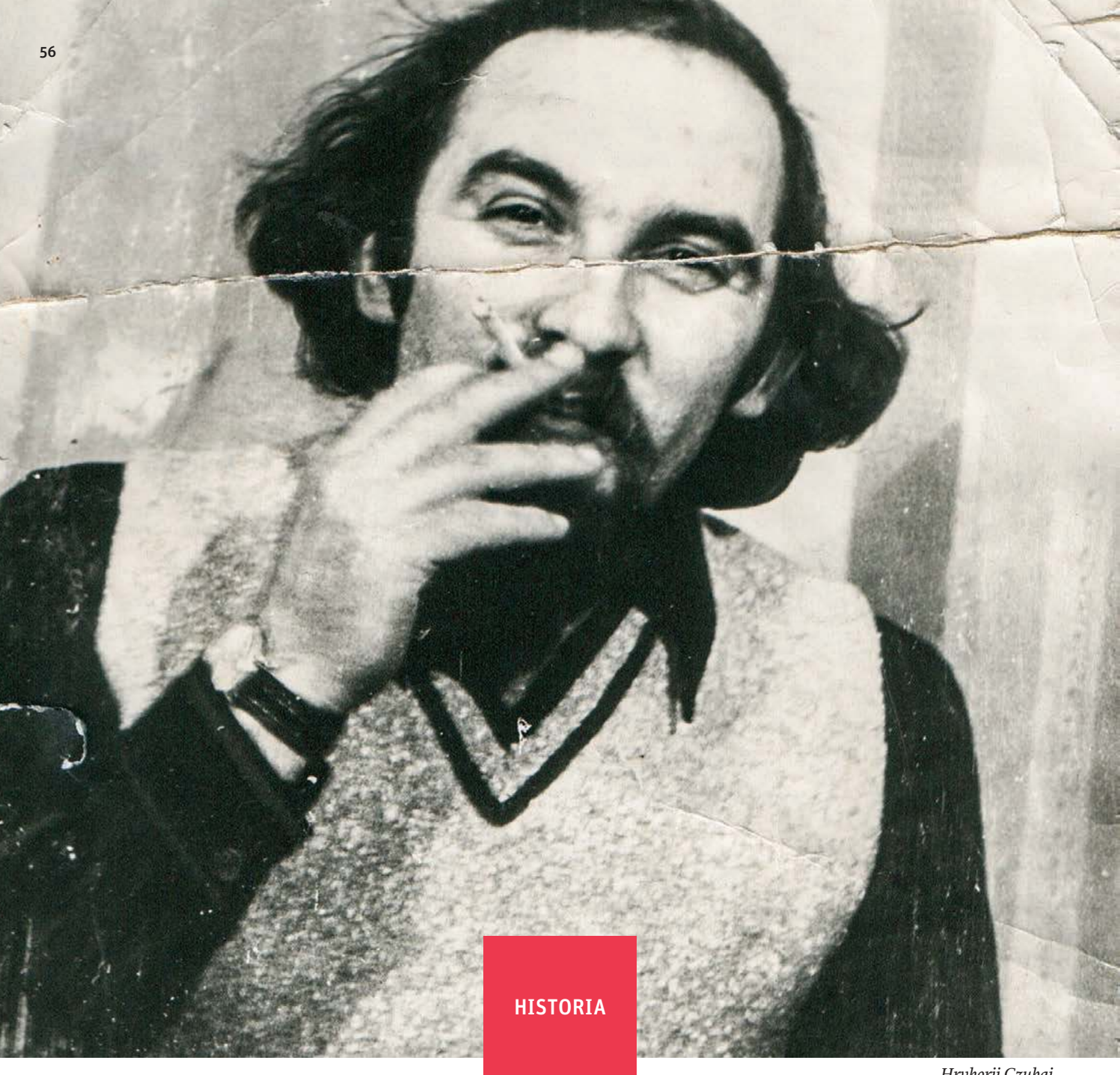

HISTORIA

Hryhorij Czubaj

ZASZCZULI HRYCIA

W czasach komunizmu ukraińscy artyści byli nie tylko pod obserwacją tajnej policji. KGB prowadziła też operacje mające niszczyć ludzi i więzi między nimi. Był wśród nich pewien młody poeta.

MYKOŁA RIABCZUK

To było chyba 13 stycznia 1972 r. Ktoś zapukał do drzwi mieszkania przy ul. Kawaleryjskiej we Lwowie, gdzie mieszkałem z rodzicami. W drzwiach ujrzałem Hałynę Czubaj, a za nią jej szwagra. Rzuciła krótkie i rozpaczliwie: „Zabrali Hrycia!".

Później okazało się, że fala rewizji i aresztowań przeszła nie tylko przez nasze miasto, ale ogarnęła całą Ukrainę. Hałyna wiedziała już, że zatrzymano jej sąsiadki, dysydentki Stefanię Szabaturę i Irynę Kałynec. Mąż tej ostatniej, poeta i jeden z liderów lwowskiej opozycji Ihor Kałynec, był wtedy poza domem, jego los był nieznany. W domu Czubajów, po całodziennym kipiszu, skonfiskowano rękopisy i książki, w tym egzemplarz wydanego przez nas podziemnego almanachu „Skrynia", którego nie zdążyliśmy nawet skopiować w większych ilościach.

Nie mieliśmy czasu, by rozmawiać dłużej – Hałyna musiała biec, by uprzedzić innych, a ja musiałem pozbyć się mojej „bibuły". Zamiast zniszczyć, postanowiłem przerzucić ją do przyjaciela niezwiązanego ze sprawami „tego typu". Był to odważny i uczciwy człowiek, i nie odmówił mi takiej, zdawałoby się, drobnej przysługi. Skrytka okazała się niezawodna, ale nie miało to znaczenia. KGB chciało złowić grubą rybę. Na drobnicę szykowało inne narzędzia.

W TAMTEJ CHWILI nie byłem świadomy, że początek roku 1972 był kresem pewnej epoki w historii Ukrainy i ukraińskiej literatury. Oraz w życiu Hryhorija Czubaja.

Poznałem go wiosną 1970 r. w mieszkaniu Iryny Kałynec, bibliotekarki wyrzuconej rok wcześniej z pracy w mojej szkole. Przyjaźniłem się z nią, choć właściwie była to relacja mentorska. Będąc uczniem, z szacunkiem zwracałem się do niej „Iryno Onufriwno". Ona weszła w rolę nauczycielki, postrzegając to raczej w sensie biblijnym, a nie w pedagogicznym rozumieniu czasów Związku Sowieckiego. Odkryła przede mną świat wydawanych oficjalnie, ale raczej nierekomendowanych poetów lat 60. – szistdesiatnyków. Potem pokazała mi sprowadzane półlegalnie czechosłowackie wydania ukraińskich klasyków, zakazanych w Związku Sowieckim, Bohdana Ihora Antonycza i Wołodymyra Wynnyczenki z fantastycznymi przedmowami ukrainoznawców Oresta Ziłynskiego i Mychajła Molnara.

Wreszcie, w 1970 r., gdy skończyłem dziesiątą klasę, otworzyła przede mną drzwi do najpoważniejszych pozycji podziemnej literatury: od prac Iwana Dziuby przez artykuły Wiaczesława Czornowoła i Jewhena Swerstiuka po pamflety Walentyna Moroza, w tym antyleninowski felieton „Widziałem Mahometa".

DO IRYNY KAŁYNEC zwykle przychodziłem sam (tak było bezpieczniej przekazać „bibułę"), choć czasem towarzyszyło mi dwóch kolegów z klasy, których nazwisk nie będę tu wymieniał ze względu na ich późniejszą szczerą „spowiedź" w KGB. Tamtego wieczora odwiedziliśmy ją we trzech i zastaliśmy młodego mężczyznę ubranego w stylu bohemy, z chustką na szyi, gęstymi rudawymi wąsami i spojrzeniem wesołego Mefistofelesa. Jego imię i nazwisko – Hryhorij Czubaj – nic nam nie mówiło. Iryna poprosiła, aby przeczytał nam swój wiersz (chyba spytał: „Który?" – „Oczywiście »Szopkę«!"). Po pierwszych strofach nie mieliśmy wątpliwości – przed nami stał poeta pierwszej klasy, może jeden z najlepszych w Ukrainie.

Czubaj miał genialną aktorską dykcję, roztaczał wokół hipnotyzującą energię. Wierszom w jego wykonaniu nie można było się oprzeć. Nic mocniejszego od „Szopki" w ówczesnej ukraińskiej poezji nie znałem. Publicystyczna retoryka, która pociągała mnie wtedy najmocniej, łączyła się w tym poemacie z filozoficznymi i egzystencjalnymi motywami, które odbierałem raczej intuicyjnie niż świadomie.

Dla nas, nastolatków, ważna była nie tyle treść utworu, co spotkanie z poezją tego poziomu i z takim poetą. Była to realna alternatywa dla nudnej i fałszywej literatury oficjalnej. To było upojne odczucie: nie jesteśmy sami, nie tylko my tak myślimy, istnieje równoległy świat utalentowanych i uczciwych ludzi, cała ich wspólnota! Świadomość ta inspirowała, uskrzydlała. O tym rozmawialiśmy, wracając od Iryny Kałynec, choć brakowało nam słów. Wrażenie było zbyt silne.

SKORZYSTAŁEM Z ZAPROSZENIA rzuconego mimochodem przez Hryhorija (nazywano go zdrobniale: Hryć) i odwiedziłem jego pokoik w domu teściów na lwowskiej Pohulance, gdzie mieszkał z młodą żoną Hałyną i nowo narodzonym synem. Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Był starszy tylko o cztery lata, ale jego status i zachowanie dodawały mu kolejne pięć, a może i dziesięć lat. Cechowało go poczucie literackiego powołania, był świadomy swego talentu. Świadomie grał rolę, a wzorem dla niego byli Lorca i Apollinaire.

Jego opinie o literaturze były kategoryczne, a zarazem kompetentne. Orientował się w nowych książkach, miał wspaniałą bibliotekę, gdzie – prócz dzieł ukraińskich i rosyjskich – można było znaleźć wydania w innych słowiańskich językach, głównie po polsku. Chętnie pożyczał nam różne publikacje i z radością doradzał teksty, z którymi warto się zapoznać.

Dzięki niemu odkrywałem prawdziwą literaturę ukraińską i zagraniczną. To on pokazał mi wiersze współczesnych ukraińskich poetów Mykoły Worobiowa, Wasyla Hołoborodki, Wiktora Korduna, tomiki „Wesoły cmentarz" Wasyla Stusa (którego, jak uważał, kijowianie przeceniają) i „Wędrówka ciał" Bohdana Bojczuka (jego werdykt był sceptyczny), utwory swojego przyjaciela Mychajła Saczenki ekscentrycznego poety Mykoły Chołodnego.

POŻYCZAŁ MI KAFKĘ I CAMUSA, Eliota i Faulknera, doradzał zakup rosyjskich wydań Kawabaty i Cortázara, które zalegały wtedy na półkach księgarń (moda na nich zapanowała u nas później). Zarekomendował mi prenumerowanie czasopisma „Wseswit", gdy w 1971 r. jego redaktorem naczelnym został Dmytro Pawłyczko (tłumacz i poeta, w latach 1999-2001 ambasador Ukrainy w Polsce). Orientował się w nowościach teatralnych i muzycznych. Często chodziliśmy na koncerty i wernisaże we dwóch, w trójkę albo czwórkę – z Hałyną i poetą Olehem Łyszehą, który mieszkał niedaleko w akademiku.

To z Łyszehą najczęściej zaglądaliśmy do Czubaja – na herbatę, butelkę wina lub po prostu, by wymienić się opiniami, książkami lub własnymi tekstami. Odwiedzało go też wielu innych naszych rówieśników oczarowanych Hryciem i atmosferą nieformalnych zebrań. Nawiązałem tam znajomość z poetą i filozofem Romanem Kisiem, muzykiem Wiktorem Morozowem, rzeźbiarzem Orestem ↦

ARCHIWUM PRYWATNE SOŁOMIJI CZUBAJ

↦ Jaworskim, ceramikiem Wołodymyrem Onyszczenką.

Ożywcze poczucie wspólnoty intelektualnej zachęcało nas do aktywności, której wcieleniem był almanach „Skrynia" – przykład raczej awangardowej niż politycznej publikacji podziemnej.

Święto, którym było każde nasze spotkanie, nie mogło trwać wiecznie. Mimo pozornej apolityczności Czubajowskiego środowiska było ono stuprocentowo antysowieckie, a to ze względu na samą swoją istotę: duch wewnętrznej wolności i intelektualnej niezależności oraz głębokie, choć raczej estetyczne ignorowanie socjalizmu. Przejawiało się to nie tyle w manifestach czy rozmowach, co po prostu w pogardliwym niedostrzeganiu systemu.

ZA KRATY Czubaj trafił nie tyle za „Skrynię", co za dawniejsze sprawy, o których nam wspominał, choć nigdy szczegółowo. W ogóle mało wiedzieliśmy o jego życiu przed przybyciem do Lwowa w 1969 r. Z jego słów można było wnosić, że uczył się w Kijowie, skąd wyjechał z wilczym biletem – choć wprost nigdy nam tego nie powiedział.

Fala aresztów w styczniu 1972 r. przeszła po całej Ukrainie. Hryhorija szybko wypuszczono i to okazało się dla niego tragedią. Po Lwowie poszły plotki o jego współpracy z KGB, które dla wielu były usprawiedliwieniem dla własnego sumienia, by zerwać z nim kontakt. Hryhorij przeżył to boleśnie. Pamiętam, jak przed sztuką w zatłoczonym foyer teatru Zańkoweckiej (pracował tam jako montażysta sceny) spotkaliśmy malarza Jewhena Bezniska. Ten – w odróżnieniu od wielu innych – przywitał się i spytał, jak leci. „Ot, puścili mnie...". „I chwała Bogu" – powiedział Beznisko. „A kto go wie" – ponuro odrzekł Czubaj.

Pół roku między styczniem a lipcem 1972 r. było chyba najtrudniejszym okresem w życiu Hryhorija. Utrzymywaliśmy kontakt jak dawniej, ale atmosfera uległa zmianie, zarówno w społeczeństwie, jak i w naszym towarzystwie. Wzywano nas na przesłuchania, szantażowano „Skrynią", jedynym właściwie dowodem rzeczowym przeciw nam.

Kagiebistom chodziło nie tyle o tę publikację – dosyć niewinną, nawet z perspektywy sowieckiego kodeksu kryminalnego – co o nasze kontakty z lwowskimi dysydentami, a zwłaszcza z rodziną Kałynców. Stałem przy swoim: „Nic nie widziałem, nic nie słyszałem, nic nie wiem". Latem wyjechałem ze studencką brygadą budowlaną na Syberię i dzięki temu szczęśliwie uniknąłem nieprzyjemnej roli świadka na procesie przeciw Irynie Kałynec. Korzyści z moich zeznań dla KGB byłoby niewiele. Nie opłacało się ciągnąć mnie z Surgutu, by kolejny raz usłyszeć, że nic nielegalnego w działaniach mojej mentorki nie widziałem i żadnej nielegalnej literatury – mimo oszczerczych słów kolegów z klasy – od niej nie dostawałem, nie prowadziłem z nią też antysowieckich rozmów.

CHRISTOPHE DELORY / ARCHIWUM PRYWATNE

MYKOŁA RIABCZUK (ur. 1953) to ukraiński intelektualista, eseista i krytyk literacki. Doświadczeniem formacyjnym były dla niego tragiczne wydarzenia z 1972 r., gdy sowiecka KGB rozbiła środowisko ukraińskich dysydentów. Riabczuk wraca pamięcią do tamtego czasu, przypomina tragiczne losy swojego mentora Hryhorija Czubaja, którego wiersze w tomie „Niech odejdą z niczym", pół wieku po tamtych wydarzeniach, opublikowało po polsku Kolegium Europy Wschodniej.

W PRZEDDZIEŃ PROCESU obojga Kałynców Hryhorij wyjechał do rodzinnej wsi na Wołyniu, skąd kagiebiści przywieźli go samochodem do Lwowa, by zeznawał przeciw nim jako świadek. Wydaje się, że podczas styczniowych przesłuchań powiedział za dużo i musiał potwierdzić to podczas procesu. Mógł też zaprzeczyć złożonym zeznaniom i trafić do łagru razem z Kałyncami (bezpieka miała dość materiału przeciw niemu). Wybór ten musiał być dla niego okrutnym dylematem i choć nigdy mi o tym nie mówił bezpośrednio, dostrzegałem tę rozpacz i miotanie się w poszukiwaniu sposobu ucieczki, a wreszcie tragiczną kapitulację.

Oboje Kałyncowie dostali drastyczne wyroki po 6 lat łagru, a po odsiadce dodatkowe 3 lata zesłania. Ich 9-letnia córka została rozdzielona od rodziców do 18. roku życia.

Wydarzenia te złamały Hryhorija. Przywykł do roli lidera i autorytetu, a teraz znalazł się w wątpliwej i nie do końca zrozumiałej dla wielu roli – czy to zdrajcy i donosiciela, czy ofiary diabelskiej kagiebistowskiej intrygi. Wydaje się jednak, że żadne z tych określeń nie jest prawdziwe – był po prostu genialnym poetą o słabym charakterze, niezdatnym do heroicznej postawy, 23-latkiem niegotowym na egzystencjonalną decyzję.

Nigdy nie podejrzewaliśmy, że Hryć poszedł na współpracę, choć wiedzieliśmy, że od czasu do czasu wzywano go do KGB na „rozmowy". Nie ukrywał tego, przeciwnie, opowiadał nam o nich w humorystycznej formie. Dostrzegaliśmy jednak jakieś napięcie i zapaść w naszych relacjach, wcześniej tak bezpośrednich i beztroskich. Formalnie przyjaźniliśmy się dalej, ale ulotniła się atmosfera święta, lekkiej i radosnej improwizacji.

Tak, zmieniły się czasy – i my, wtedy studenci, nie byliśmy już tacy sami. Jesienią ze studiów na uniwersytecie wyrzucono Ołeha Łyszehę i Wiktora Morozowa, z instytutu sztuki Oresta Jaworskiego, a wiosną 1973 r. także mnie z Politechniki. Z całego składu „Skryni" ocaleli tylko Kateryna Morozowa, która wcześniej poszła na urlop dziekański, a także Roman Kis i Wołodymyr Onyszczenko, którzy zdążyli już zakończyć studia.

NAJBARDZIEJ JEDNAK zmienił się Hryć – jego stosunek do świata, do otoczenia, do samego siebie. Był w stanie głębokiego kryzysu, który określiłbym jako ciągłą skrywaną histerię, wywołaną niemożliwością ani powrotu do przeszłości (do czasu przed „upadkiem"), ani wyrwania się ku przyszłości – znalezienia jakiegokolwiek wybawienia, realnego czy urojonego. Stał się nerwowy, niezrównoważony i co najgorsze monologiczny. Realizował jedyną życiową strategię retoryczną: próbował przekonać wszystkich, w tym siebie, że nic się nie zmieniło, że jest nadal tym, kim był,

HRYHORIJ CZUBAJ

Szopka (fragment)

I co dnia w pogoni, w karuzeli godzin,
biegną, czmychają przed sobą, do siebie,
do kobiet, robót, w ból i pod ziemię,
do książek, gazet, pod wodę i w niebo,

w miłość, nienawiść, i na film do kina,
w karty, bilardy, na partię domina,
w sałatki, barszcze, kotlety i torty
w kaszkiety, mankiety, komody i w szorty.

Od diabła do Boga,
od Boga do diabła,
z nocy w noc,
przed cieniem do cienia.

W krzyk, w milczenie,
w sen, wzdychanie, czekanie,
w śmiech, bezsenność i łkanie – uciekają.

(...)

I co dnia w pogoni, w karuzeli godzin,
biegną, czmychają przed sobą, do siebie,
by zostać człowiekiem czy przestać być nim,
do kobiet i mężczyzn, na Marsa, pod ziemię,

ku słońcu, na Księżyc, w lód i ognia trzask,
w fobię, panikę, we wściekłość i wrzask.
Do książek i gazet, pod wodę i w dym.
Do domu. Do grobu.
Na kawę.
Na Krym.

Rejterady, pogonie. Pogonie, ucieczki.
A potem – z powrotem, z nałogów, wyrzeczeń,
od piwa, futbolu, kina, czterech desek –
ludzie wracają zupełnie niewinnie,
wracają po cichu, wracają bez słowa.
Tylu ich, że świat nie wie, gdzie się podziać.
Świat – nagi.
Świat – bosy.

Przełożyli MIŁOSZ WALIGÓRSKI i MACIEJ PIOTROWSKI

i że wszystko przed nim. Był przy tym świadomy, że tak nie jest i wszyscy o tym wiedzą. A także, że wszyscy wiedzą, iż on o tym wie.

Jak piekielny był to stan, pozwala zrozumieć jego ostatni – i jedyny po roku 1972 – poemat jego autorstwa „Mówić, zamilknąć, przemówić". Zawsze, gdy go słucham, przechodzą mnie ciarki. Myślę, że wiele osób czuło podobnie. Bez wątpienia to jeden z najwybitniejszych utworów ukraińskiej literatury, a także dokument człowieczeństwa – estetyczne zwycięstwo poety nad losem mimo fatalnej etycznej (i tak ludzkiej!) porażki.

PO ROKU 1973 drogi naszej grupy zaczęły się rozchodzić. Ołeh Łyszeha i Orest Jaworski zostali powołani do wojska, ja wyjechałem na dwa lata na budowę kolei w Karpatach, Roman Kis uciekł przed aresztem na Czukotkę (spędził tam kilka lat na ekspedycjach etnograficznych), rzeźbiarz Stach Smyrnow i Wołodia Onyszczenko przenieśli się do Kijowa. Hryć związał się ze środowiskiem rosyjskich i żydowskich intelektualistów (politycznie neutralnym), a w końcu dostał się na zaoczny kurs moskiewskiego Instytutu Literackiego, gdzie nawiązał nowe przyjaźnie. Jednak w tych kontaktach chodziło przede wszystkim o ucieczkę od świata – i alkoholizm.

Widywaliśmy się, jednak nigdy nie iskrzyło między nami jak dawniej. Nasze rozmowy przypominały pełne udawanego wzruszenia spotkania starzejących się przyjaciół z dzieciństwa, którzy na siłę próbują przypomnieć sobie imię towarzysza.

Gdy wiosną 1982 r. Hryhorij powiedział, że jest z nim źle, ja – przyznaję się – uznałem, że przesadza tym razem w drugą stronę, bo wcześniej cały czas twierdził, że wszystko gra. Po jakimś czasie, po drodze do pracy w Muzeum Ateizmu, na ulicy Ruskiej spotkałem Hałynę, która powiedziała z rozpaczą w głosie: „Hryć umiera". Był w szpitalu, przestały mu działać nerki. Myślałem, że będzie go można jeszcze uratować, zrobić jakąś operację. Kilka dni później umarł, o czym dowiedziałem się – o ironio! – przez telefon w mieszkaniu przy ul. Kawaleryjskiej, tam gdzie 10 lat wcześniej powiadomiono mnie o jego aresztowaniu. Koło się zamknęło.

W DNIU POGRZEBU spotkałem Łyszehę. Powiedział wtedy: „Wiesz, on wygląda, jakby się uśmiechał, jakby kpił z nas: patrzcie, a jednak się wymknąłem!".

Hryć naprawdę miał lekko zadartą górną wargę, zajęczą, przez co zdawało się, jakby w głębi duszy ze wszystkiego ironizował.

© MYKOŁA RIABCZUK

Przełożył MACIEJ PIOTROWSKI

AWANTURA O NADPRZEWODNIK

Niepozorna szara płytka, częściowo lewitująca nad magnesem, podzieliła świat nauki. Optymiści wyczekują technologicznej rewolucji na skalę okiełznania elektryczności. Sceptycy spodziewają się kolejnego rozczarowania.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

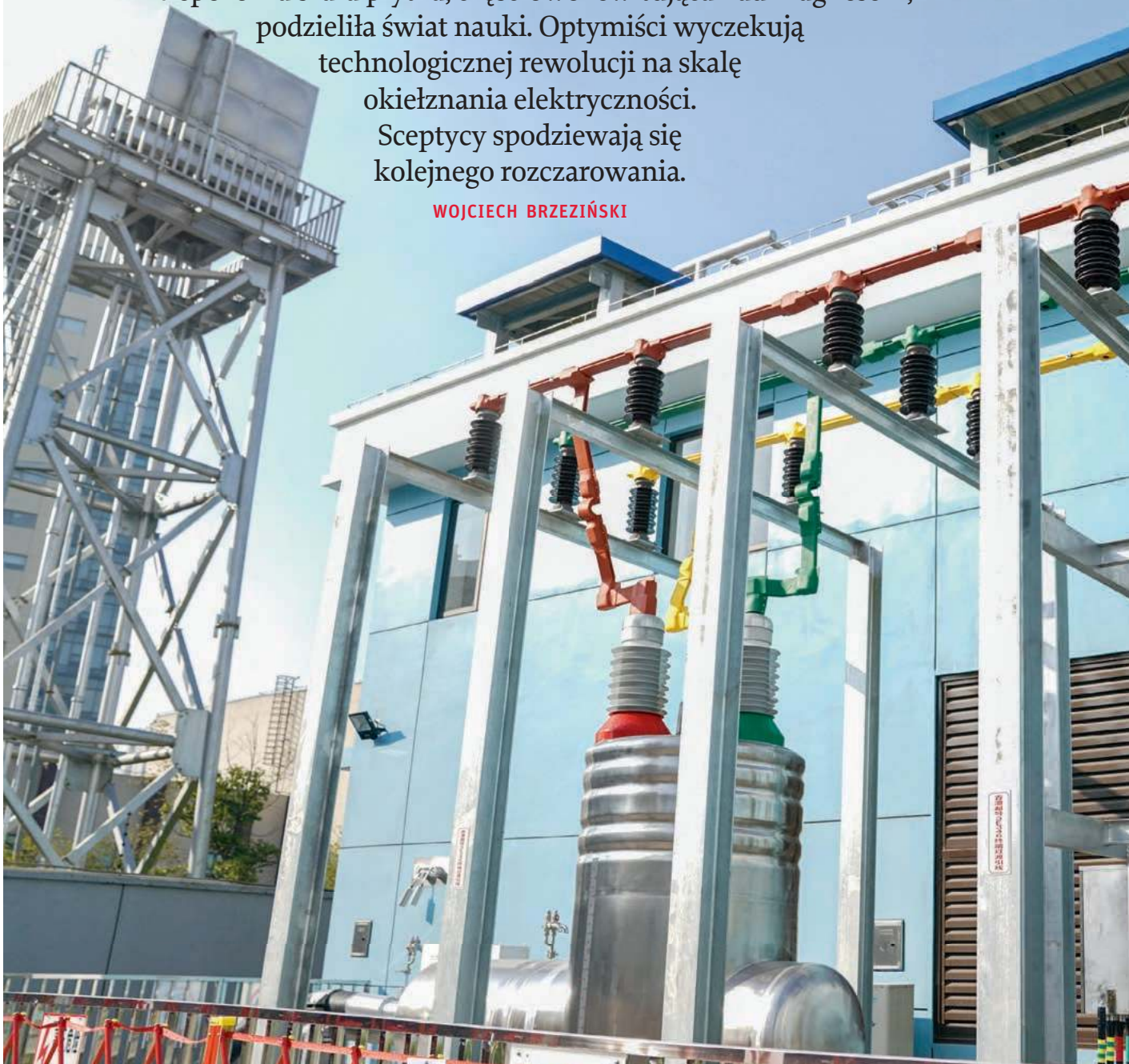

Gdyby doniesienia dość tajemniczego koreańskiego zespołu kierowanego przez Sukbae Lee, naukowca niegdyś związanego z dwiema uczelniami – Korea University i Dongguk University – a obecnie szefa małej firmy technologicznej, okazały się prawdą, Nagroda Nobla w dziedzinie fizyki dla autorów byłaby właściwie formalnością. Jednak stwierdzenie, że dwa artykuły udostępnione w serwisie arXiv.org zostały w środowisku przyjęte ze sceptycyzmem, byłoby dużym niedopowiedzeniem. Inni naukowcy byliby zapewne nieco mniej ostrożni, gdyby Koreańczycy ogłosili odkrycie Świętego Graala! Bo dokonanie, które przypisują sobie Sukbae Lee i współpracownicy, to nie tylko bomba rzucona w świat nauki. Ma też potencjał, by wywrócić pół naszej cywilizacji do góry nogami.

Receptura jak od babci

Przepis jest pozornie prostszy niż większość receptur z babcinej książki kucharskiej. Bierzemy tlenek ołowiu oraz siarczan ołowiu i mieszamy je tak, by powstał jasnozielony lanarkit. W drugim naczyniu mieszamy miedź i fosfor, tworząc fosforek miedzi. Oba półprodukty wkładamy do moździerza, solidnie mieszamy w stosunku 1:1, a następnie wkładamy do piekarnika w rurce kwarcowej. Po podgrzaniu do temperatury 925 stopni Celsjusza powstanie ciemny materiał znany pod chemicznym wzorem $Pb_{10-x}Cu_x(PO_4)_6O$ lub pod nieco łatwiejszą do zapamiętania nazwą LK-99.

To ta nierzucająca się w oczy bryłka postawiła świat fizyki w gotowości. Laboratoria na całym świecie od tygodni starają się wytwarzać LK-99 i badać jego właściwości. Opracowany w Korei materiał ma bowiem być czymś, czego fizyka szuka od przeszło stulecia: działającym w pokojowej temperaturze i przy „zwyczajnym" ciśnieniu nadprzewodnikiem.

W temperaturach, które większość z nas uważałaby za „normalne", niemal wszystkie materiały wykazują opór elektryczny. Istotna część energii przechodząca przez nie jest tracona, np. w postaci ciepła, o czym przekonać się może każdy, kto przez kilka godzin pracuje z laptopem na kolanach. Już sto lat temu ustalono jednak, że pewne materiały w ekstremalnych warunkach zachowują się ekstremalnie dziwnie.

8 kwietnia 1911 r. holenderski fizyk (i późniejszy noblista) Heike Kamerlingh Onnes zaobserwował, że gdy przewód wykonany z zestalonej rtęci zostanie schłodzony niemal do zera absolutnego (konkretnie do 4,16 kelwinów), opór elektryczny w materiale niemal całkowicie znika. Natura tego zjawiska pozostawała tajemnicą aż do 1957 r., kiedy trzech fizyków z Uniwersytetu Illinois: John Bardeen, Leon N. Cooper i J. Robert Schrieffer, zaproponowało tłumaczącą nadprzewodnictwo teorię. Ujemnie naładowane elektrony, które normalnie się odpychają, poniżej pewnego progu temperatury pod wpływem wibracji tworzą pary, które mogą poruszać się przez materiał bez oporu. Za swoje odkrycie w 1972 r. dostali Nobla. W 1987 r. kolejnego otrzymali J. Georg Bednorz i K. Alexander Müller za odkrycie nadprzewodzących właściwości ceramicznych materiałów z tlenków miedzi, które działały „już" w minus 238 stopniach Celsjusza (35 kelwinów).

Fakt, że badania nad nadprzewodnictwem są jak lep na Noble, nie powinien dziwić. Nadprzewodniki mają potencjał, by zrewolucjonizować niemal każdą technologię opartą na elektryczności i polach magnetycznych.

Wizja przyszłości

Nadprzewodzące kable pozwoliłyby przesyłać elektryczność na wielkie odległości bez strat. Dziś w drodze z elektrowni do gniazdka tracimy do 20 proc. energii. Bezstratne linie energetyczne mogłyby umożliwić np. zasilenie Europy energią produkowaną przez elektrownie słoneczne zlokalizowane na Saharze.

Materiały przesyłające energię bezstratnie pozwoliłyby stworzyć nową generację ultrawydajnych tradycyjnych mikroprocesorów – do dziś jednym z największych wyzwań w ich projektowaniu jest rozwiązanie problemu wytwarzanego przez nie ciepła. Mogłyby też stać się idealnymi bateriami – wystarczy ↦

DING TING / XINHUA / AFP / EAST NEWS

Terminal eksperymentalnej linii energetycznej zbudowanej z nadprzewodnika, Szanghaj, grudzień 2021 r.

↦ „wstrzyknąć” prąd do nadprzewodzącej cewki i utrzymywać go tam, aż będzie potrzebny. Fakt, że takie materiały nie generują ciepła, sprawia także, iż są idealną podstawą do budowy komputerów kwantowych, których procesy obliczeniowe rozsypują się, gdy urządzenie się grzeje.

Nadprzewodniki pozwalają wreszcie tanio i łatwo generować potężne pola magnetyczne. A to może pozwolić na budowę lewitujących pociągów, nowego typu reaktorów fuzyjnych czy małych i tanich skanerów MRI stosowanych w medycynie.

Znane i stosowane dziś nadprzewodniki do większości z tych zastosowań się nie nadają. Powód jest prosty. Przejawiają „cudowne” właściwości dopiero w ekstremalnych temperaturach i ciśnieniach. Stworzenie im takich warunków jest drogie i często bardzo trudne.

Przykładowo w 2014 r. niemieckie Essen zainstalowało w centrum miasta nadprzewodzącą linię energetyczną, która łączyła dwie stacje transformatorowe. Wykorzystany do stworzenia linii nadprzewodnik był stosunkowo odporny na wysokie temperatury – działał „już” w temperaturze minus 206 stopni Celsjusza. Oczywiście cała linia musiała być stale schładzana i izolowana. W tym przypadku było to wykonalne – kabel miał kilometr długości – ale stworzenie na podstawie podobnego materiału sieci energetycznej oplatającej cały kraj czy kontynent byłoby niemal niemożliwe.

Dlatego twierdzenia o nadprzewodzących właściwościach LK-99 są tak elektryzujące. Do tej pory za „wysokotemperaturowe” uchodziły wszystkie materiały, które własności nadprzewodnictwa wykazywały w temperaturach przekraczających minus 196 stopni Celsjusza. Nadprzewodnik o najwyższej znanej dotąd tolerancji na temperatury, dekawodorek lantanu, przewodzi prąd bez strat w temperaturze minus 23 stopni Celsjusza, wymaga jednak ciśnienia półtora miliona razy większego niż ciśnienie atmosferyczne.

Warto być podejrzliwym

Tymczasem LK-99 według jego odkrywców nie tylko działa przy normalnych ciśnieniach, ale jego właściwości nie zanikają nawet w temperaturze 127 stopni Celsjusza. Równie dobrze przewodziłby więc prąd w garnku z gotującą się wodą.

HYUN-TAK KIM / MATERIAŁY PRASOWE

Płytka LK-99 unosząca się nad magnesem. Efekt Meissnera świadczący o nadprzewodnictwie czy diamagnetyzm?

Nadzwyczajne odkrycia wymagają jednak silnych dowodów. A poszukiwania nadprzewodników już wielokrotnie kończyły się głębokimi rozczarowaniami – a czasem skandalami.

Tylko w XXI w. odkrycie materiałów wykazujących właściwości nadprzewodzące w temperaturze pokojowej (lub do niej zbliżonej) ogłaszano kilkanaście razy. Żadnego z tych „odkryć” nie udało się jednak potwierdzić niezależnym zespołom naukowym.

Echa ostatniego „odkrycia” i towarzyszącego mu skandalu jeszcze nie ucichły. 8 marca tego roku Ranga Dias, profesor fizyki z amerykańskiego Uniwersytetu Rochester, ogłosił na łamach „Nature” odkrycie materiału, który nadprzewodnictwo wykazuje w temperaturze 20 stopni Celsjusza (choć przy ciśnieniu sięgającym miliona atmosfer).

Tyle że Dias wśród kolegów zapracował sobie już wcześniej na reputację ocierającą się o szarlatanerię. Z jednej strony, badacz w 2021 r. trafił na tworzoną przez magazyn „Time” listę „100 Next”, typującą przyszłych liderów świata. Z drugiej – ma na koncie wyjątkowo imponującą listę „osiągnięć”, których nikomu nie udało się potwierdzić. I ewidentnie ma smykałkę do odkrywania nadprzewodników.

„Tysiące badaczy szukało od 112 lat nadprzewodników działających w temperaturze pokojowej i nie znalazło żadnych” – mówił magazynowi „Undark” Jorge Hirsch z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego. „Ranga Dias w ostatnich latach ogłosił odkrycie czterech różnych takich materiałów w ciągu zaledwie ostatnich kilku lat”.

Jedna z prac Diasa dotyczących potencjalnego nadprzewodnika, opublikowana w 2020 r. w „Nature”, została w ubiegłym roku oficjalnie wycofana przez magazyn ze względu na „wątpliwości związane z opracowaniem danych” – to największy dyshonor, jaki może spotkać autora artykułu naukowego. A reputacja naukowca ucierpiała dodatkowo po tym, jak został oskarżony o splagiatowanie znacznej części rozprawy doktorskiej.

„Nie trzeba nawet mocno wczytywać się w najnowszy artykuł. Po pięciu minutach lektury i zastanowienia miałem poważne wątpliwości. Nie rozumiem, jak możemy ufać czemukolwiek autorstwa Diasa” – pisał Peter Armitage, fizyk z Johns Hopkins University, po przejrzeniu tekstu Diasa.

Co lewituje

Nikt nie stawia takich zarzutów pod adresem Koreańczyków. Ale inni badacze zachowują daleko idącą ostrożność. Nie tylko dlatego, że wcześniej sparzyli się wielokrotnie.

Prace koreańskich zespołów to tzw. preprinty, czyli wstępne wersje artykułów udostępnione przed oficjalną publikacją w czasopiśmie naukowym. Nie przeszły jeszcze procesu recenzji – oceny ze strony niezależnych ekspertów, wymaganej przez wszystkie czasopisma naukowe. To samo w sobie normalne: wiele artykułów naukowych, zwłaszcza w dziedzinie fizyki czy matematyki, ale coraz częściej także w biologii czy psychologii, jest upublicznianych na wiele tygodni czy miesięcy przed formalną publikacją. W tym przypadku wydaje się, że upublicznieniu wyników badań mógł towarzyszyć konflikt w zespole. Według doniesień „New Scientist” współautor jednego z udostępnionych preprintów – Hyun-Tak Kim – utrzymuje, że na arXiv.org trafiła wersja tekstu, której z nim nie konsultowano.

Kontrowersje budzą stwierdzenia autorów, że udało im się potwierdzić nadprzewodnictwo materiału. Co prawda w swoich badaniach pokazują, że LK-99 przejawia niektóre zachowania, jakie cechują nadprzewodniki – tzw. efekt Meissnera (polegający na „wypchnięciu” pola magnetycznego z nadprzewodnika) czy nagłe zmiany oporu w krytycznej temperaturze, ale sami naukowcy przyznają, że testowane próbki nie były czyste, a nie-

które z testów nie wyszły idealnie. Materiał wykazujący efekt Meissnera powinien lewitować i swobodnie obracać się ponad magnesem. Na filmie przedstawionym przez autorów jedna połowa dysku wykonanego z LK-99 unosi się, ale druga pozostaje na miejscu.

Pierwsze próby powtórzenia wyników opisanych przez zespół Sukbae Lee były dość zachęcające. Grupy badawcze z Uniwersytetu Nauki i Technologii w Huazhong w Chinach, Laboratorium Materiałoznawstwa Shenyang i Laboratorium Narodowego Lawrence Berkeley w USA przedstawiły wstępne wnioski z własnych prac z LK-99. Nie potwierdzają one twierdzeń Koreańczyków, ale wskazują, że materiał wykazuje pewne własności pojawiające się w nadprzewodnikach. Skonstruowano także modele teoretyczne, które mogą tłumaczyć, dlaczego akurat w takim materiale jak LK-99 może dochodzić do zjawiska nadprzewodnictwa w temperaturze pokojowej. A do sieci trafiają nagrania, na których cały płatek LK-99 swobodnie unosi się nad magnesem. Niestety, nie jest jasne, czy to prawdziwy efekt Meissnera, czy tzw. zjawisko diamagnetyczne, które jedynie na oko wygląda podobnie, ale różni się diametralnie z perspektywy fizyki i nie jest charakterystyczną cechą nadprzewodników. Jedna z nowszych analiz LK-99 wskazuje właśnie na diamagnetyzm.

Na potwierdzenie nadprzewodnictwa w LK-99 musimy więc jeszcze poczekać. Ten materiał może okazać się kolejnym wielkim zawodem. Może być też zwyczajnie ciekawym odkryciem – nawet jeśli nie wszystkie jego rewolucyjne właściwości utrzymają się po niezależnej weryfikacji, być może otworzy jakiś nowy obszar badań w fizyce czy materiałoznawstwie. A jeśli okaże się upragnionym nadprzewodnikiem działającym w temperaturze pokojowej, to i tak nie znaczy jeszcze, że jutro czy za rok obudzimy się w świecie magnetycznych kolei i elektrowni fuzyjnych.

> Nadprzewodniki mogą zrewolucjonizować **niemal każdą technologię** opartą na elektryczności i polach magnetycznych.

Pęcherze na dłoniach

– Rozwój technologii nadprzewodników bardzo pomógłby w pracach nad energetyką fuzyjną i będziemy śledzić rozwój sytuacji – mówi „Tygodnikowi" dr Martin Greenwald, były zastępca dyrektora Centrum Badań nad Plazmą i Fuzją Massachusetts Institute of Technology.

To właśnie tam powstaje reaktor nowej generacji, SPARC, dzięki któremu elektrownia fuzyjna, wytwarzająca energię podobnie jak robią to gwiazdy – czyli dzięki syntezie cięższych pierwiastków z lżejszych (a nie w procesie rozpadu ciężkich pierwiastków na lżejsze, jak działające od dawna elektrownie atomowe) – ma stać się rzeczywistością jeszcze w tej dekadzie.

– Aby nadprzewodnik był użyteczny w reaktorze fuzyjnym, musi być w stanie przewodzić silny prąd elektryczny. Sam fakt, że jakiś materiał wykazuje nadprzewodnictwo przy niskich gęstościach prądu, nie wystarcza – dodaje dr Greenwald.

Tymczasem właśnie to może być piętą achillesową nowego materiału. Dane przedstawione przez koreański zespół sugerują, że ich materiał nie jest w stanie przewodzić dużych ilości elektronów w wysokich temperaturach. To może jednak wynikać z niedoskonałości próbek testowanych w Seulu – można sobie wyobrazić, że nowe technologie produkcji materiału doprowadzą do stworzenia czystszych i bardziej użytecznych generacji nadprzewodnika. To może jednak zająć wiele lat.

– Dla potrzeb energii fuzyjnej nadprzewodnik musi być produkowany w dużych ilościach i przystępnej cenie. W przypadku nadprzewodnika YBCO wykorzystywanego przez nas w reaktorze SPARC [wymaga bardzo niskich temperatur – red.], potrzeba było 30 lat prac badawczych, aby materiał laboratoryjny osiągnął przemysłową dojrzałość – podkreśla dr Greenwald.

A do przemysłowej produkcji LK-99 bardzo daleko. Na razie materiał powstaje dzięki ręcznej pracy badaczy, mielących składniki po nocach.

„Ludzie wydają się dziwnie podekscytowani tym, jak »łatwy« jest czterodniowy, wieloetapowy proces syntezy małych próbek. Widać, że nie mieliście nigdy pęcherzy od pracy z moździerzem" – pisała w mediach społecznościowych Jennifer Fowlie, fizyczka z SLAC National Accelerator Laboratory.

Czasami nawet najbardziej futurystyczne odkrycia i wynalazki wymagają bowiem instrumentów rodem z babcinej kuchni. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU DODATEK

NAGRODA LITERACKA GDYNIA 2023

To już osiemnasta odsłona Nagrody Literackiej Gdynia. Powołana do życia w 2006 roku, osiągnęła pełnoletność, ma już za sobą burzę hormonów, trądzik młodzieńczy i maturę, a jesienią będzie głosować. Gdy powstawała, była jedyną ogólnopolską literacką nagrodą samorządową.

Od tego czasu zagęściła się od nagród literacka mapa Polski, a mimo to Gdynia jest nadal jedyną nagrodą przyznawaną w czterech kategoriach; jedyną też, która honoruje pracę tłumaczy na równi z twórcami literatury rodzimej.

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

PARTNERZY

GDYNIA | MECENAS NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

miasto słowa.

BIBLIOTEKA GDYNIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JACEK

Podsiadło:
Jesień Czejenów

Ponieważ przemoc w tamtym świecie była wszechobecna, jakby jej nie było. Nie mówiło się o niej. Podobno wśród pewnych plemion indiańskich odwaga była czymś tak naturalnym, że słowo „odwaga" nie występowało w ich słownikach, też zresztą nieistniejących, a kto się chował wśród wiecznych śniegów, nie miał nazwy dla śniegu. Z przemocą w świecie chłopca było podobnie. Samo to słowo istniało, ale oznaczało zjawiska jakby wydumane, dalekie. Świetnie się prezentowała przemoc pruska w podręcznikach, jeszcze lepiej „obca przemoc" w hymnie, ale o przemocy domowej czy szkolnej nikt nie słyszał.

W tamtym świecie chłopiec był jednoosobowym ruchem rozpaczliwego oporu. I też o tym nie wiedział. Żeby wiedzieć, że jest się w ruchu oporu, trzeba po pierwsze uświadomić sobie, że opór jest możliwy, a po drugie mieć chociaż jednego towarzysza broni, który by nas w tym utwierdził. Tymczasem opór chłopca rodził się w samotności. To, co w nim narastało, kiedy czuł się przerażająco bezradny, kiedy niesprawiedliwość stawała się niesprawiedliwością krzyczącą tak, że wydawało się niemożliwe, żeby naprawdę nic nie móc zrobić – to był właśnie opór. Przybierał postać kuli w gardle, czegoś, co jednocześnie czuło się i wiedziało, że tego nie ma.

To mu zostanie na całe życie: nigdy nie będzie nigdzie należał. Jedynym ruchem, do którego przystąpienie będzie rozważał, będzie Front Wyzwolenia Zwierząt, partyzancka wspólnota ludzi, z których nikt nikogo nie zna i każdy działa na własną rękę. A ta historyjka zaczyna się właśnie od przemocy wobec zwierząt.

Jesienią do Cukrowni ciągnęły ze wszystkich stron tabory traktorów i wozów konnych wyładowanych burakami. Traktory, niezwykle interesujące dla starszego brata, chłopca w ogóle nie pociągały. Co innego konie. Piękno koni było inne niż piękno psów i kotów. Wyróżniało je to, że było niedostępne. Do koni się nie podchodziło, to mogli tylko dorośli i tylko kiedy była taka potrzeba. Ale można było na nie patrzeć.

„Szczyt kampanii cukrowniczej" oznaczał długie kolejki do Cukrowni. Na drodze, przy której mieszkał chłopiec, nie było ich. Za wąska dla traktorów, stanowiła trasę wyjazdową furmanek, które wracały tędy puste lub załadowane cuchnącymi wysłodkami. Albo wytłokami, bo różnie na ten syf mówiono. Kolejki pojazdów z burakami ciągnęły się natomiast na Zakanalu i na niezbyt stromym, ale długim podjeździe wzdłuż ogrodów działkowych. Jeśli zima zaatakowała przedwcześnie, podjazd ten pokrywał ubity śnieg lub lód. Ponieważ wolno było patrzeć, chłopiec napatrzył się tam wtedy na gehennę koni. Lepiej by było, gdyby nie patrzył, ale patrzył.

Żadne wywijasy pióra nie ulżą zwierzęciu sprzed lat pięćdziesięciu, które smagane batem przez czerwonego z wściekłości chłopa chciało ciągnąć, a nie mogło nawet wstać, zostańmy zatem przy chłopcu. Nie mógł niczego zdziałać dla koni. Indianie podczołgaliby się do nich w nocy i uwolniliby je, a one wróciłyby do wolnego życia na preriach jako mustangi. Ale tutaj konie wracały na noc do swoich więzień w okolicznych wsiach, nie było też żadnych prerii. Z bezsilności znienawidził wszystko, co związane z cukrownictwem. Przestał słodzić herbatę.

Pierwsze doświadczenia w napadach na buraczane transporty zdobył jako kilkuletni brzdąc. Wtedy jeszcze działał w grupie, połowa tutejszych malców brała udział w rabunku buraków z użyciem – chyba tylko dla utrudnienia sobie zadania – indiańskich lanc, czyli kijków zaostrzonych lub zakończonych gwoździem. Każdy miał swój, tak właśnie nazywany, „skarb" gdzieś w krzakach. Przechwalał się nim, codziennie go doglądał i liczył swoje buraki, a kiedy zaczynały gnić, wyrzucał je i przygotowywał się do kolejnego napadu.

Samotnym wilczkiem chłopiec został z poczucia niesprawiedliwości i nudy. Kiedy podrósł, nie miał towarzyszy broni, ale miał broń: lance, łuk i skoblówkę. Broń nie powinna rdzewieć. Żal mu było pozbywać się strzał, zatem strzelał z ukrycia do furmanów skoblami. Kryjówki miał doskonałe, oko dobre. Ale też żaden furman, który dostał gwoździem w grubą jak pancerz kapotę, nie domyślił się, jaki w istocie był cel tego ostrzału.

Wydaje mi się, że było to już po tym, jak w Teleranku szły „Przygody Czarnego Królewicza", a jeszcze zanim pokazywali w Kinie Teleferii „Karino". Z obserwacji wroga chłopiec wiedział, że wieśniacy w kolejce lubią schodzić się na papierosa i pogaduchy o traktorach i o tym, jak bić konia, żeby lepiej ciągnął. Co jakiś czas wracali do swoich pojazdów, żeby posunąć się o paręnaście metrów. Ojcu można zaś było podbierać z warsztatu nie tylko skoble, ale i potężne, kilkucalowe bretnale.

Skradał się do pozostawionego bez opieki ciągnika i podkładał pod koło przyczepy gwoździe, na wszelki wypadek zapierał po jednym o gumę z przodu i z tyłu. Nie było sensu przebijać opon w furmankach, bo dla koni znaczyłoby to tylko więcej męczarni. Był sprytny, nigdy nie dał się przyłapać. Zaprzestał swoich akcji dopiero, kiedy przebił komuś wszystkie cztery koła w pełnej buraków przyczepie i napatrzył się na wściekłą bezsilność, która tym razem nie była jego bezsilnością. Nie przyznawał się do tego przed sobą, ale trochę się też wtedy przestraszył.

Czarny Królewicz nazywał się w oryginale Black Beauty, Czarne Piękno. Czasami dawało się to usłyszeć spod głosu lektora. Nie pamiętam, co chłopiec wtedy myślał i czy w ogóle myślał. Na pewno widział swoje działanie jako odważne, bardzo indiańskie. Dziś widzę je jako pozbawione sensu, niemądre i niesprawiedliwe, ale cóż jest dziś w tamtych czasach i miejscach? ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 34/2023

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

chopin i jego europa 2023

19. międzynarodowy festiwal muzyczny
the 19th international music festival
'chopin and his europe'
warszawa 18.08—1.09
www.nifc.pl
bilety.nifc.pl

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Tomasz Ritter

Kate Liu

Przeciw akustycznemu barbarzyństwu

STANISŁAW LESZCZYŃSKI, DYREKTOR FESTIWALU CHOPIN I JEGO EUROPA:

Księga interpretacji muzyki Chopina nadal pozostaje otwarta.

KAROL FURTAK: Festiwal odbywa się już po raz 19. Pamięta Pan jeszcze tę iskrę, która sprowokowała w Panu potrzebę powołania go do życia?

STANISŁAW LESZCZYŃSKI: Nie mogę tego nie pamiętać, bo wszystkie założenia Festiwalu pozostają do dziś aktualne. W sposób ogólny tłumaczą się one w bardzo pojemnym tytule: Chopin i Jego Europa. Dwadzieścia lat temu, wbrew pozorom, wcale nie było tak wesoło z możliwością wsłuchiwania się w muzykę Chopina wykonywaną według możliwie najwyższych kryteriów artystycznych.

Jednak ten niedosyt nie był jedyną iskrą. W zasadzie już kilka lat wcześniej pragnąłem stworzyć festiwal, który bezkompromisowo wpisałby się w nurt wydarzeń ważnych nie tylko z warszawskiej lub ogólnopolskiej perspektywy, ale z perspektywy europejskiej. Towarzyszyło mi przy tym pytanie o to, czy stać nas na to, by organizować wydarzenia na miarę Salzburger Festspiele, Holland Festival itd. Zawsze wracał wątek bariery finansowej. Jednocześnie szczególną siłę przyciągania miało dla mnie od zawsze wykonawstwo na instrumentach historycznych: arcyciekawy nurt, który od połowy XX w. rozwijał się w Europie. Sposób funkcjonowania zespołów specjalizujących się w tej dziedzinie jest inny niż instytucji obrosłych w tradycje i wielki prestiż, za którym idą wysokie gaże. Orkiestry te prezentują inny etos – bliższy muzykom kameralnym. Ich niezwykłe kompetencje i możliwe do spełnienia wymagania finansowe pozwoliły na zaproszenie do wykonania kompletu symfonii Beethovena Orkiestry XVIII wieku pod dyrekcją jej założyciela Fransa Brüggena – genialnego flecisty, kameralisty, który stworzył zjawisko wyjątkowe, porównywalne do jakości New York Philharmonic czy London Symphony, choć w innej stylistyce, dzięki której poznajemy rzeczywisty sens utworów z przeszłości. Przez lata utrzymywałem kontakt z tymi muzykami, doświadczałem tej stylistyki, a stopniowo nurt wykonawstwa historycznego rozszerzał się na muzykę XIX wieku.

I w końcu, kiedy w Amsterdamie usłyszałem Brahmsowski koncert Orkiestry XVIII wieku, Fransa Brüggena i genial-

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI / NIFC X3 // ARCHIWUM NIFC

Yulianna Avdeeva

Bruce Liu

nego skrzypka, Thomasa Zehetmaira, zasugerowałem Brüggenowi muzykę Chopina. Po krótkiej dyskusji zgodził się i tak na pulpity Orkiestry XVIII wieku trafiły nuty obu koncertów fortepianowych, które zabrzmiały już podczas pierwszych dwóch festiwali – podobnie jak pozostałe utwory Chopina na fortepian i orkiestrę.

Wspomniał Pan o pojemności tytułu Festiwalu. W 2019 roku, we wstępie do programu zdefiniował Pan „Jego Europę" w czterech wymiarach: czasów Chopina, czasów przedchopinowskich, czasów po jego śmierci i w końcu kultury naszych czasów. W programie Festiwalu pojawiają się koncerty z muzyką choćby Gesualda da Venosy. Jak daleko w przeszłość sięga więc Jego Europa?

Jeśli ktoś uważa, że sięganie do renesansu i baroku po to, by usłyszeć związki z twórczością Chopina to przesada, polecam lekturę pracy „Klawesyniści francuscy" Bohdana Pocieja. Tam znajdzie się pozytywne odpowiedzi na pytanie o istnienie tych związków. Ponad wszelką wątpliwość pod kątem faktury pisania na instrumenty klawiszowe Pociej udowadnia nam, że Chopina nie byłoby takiego, jakim go znamy, gdyby nie twórczość Couperina. To fakty, ale istotną rolę w tym kontekście odgrywa także intuicja. Czasami zaskakująco w ciszy kameralnego słuchania wypada zestawienie renesansowej polifonii i ekspresji, która towarzyszy środkowej, chorałowej części preludium Chopina.

W 2010 roku pozwoliłem sobie wraz z Giovannim Antoninim na pewne nieco żartobliwe zestawienie. W środku jednego z barokowych koncertów wraz z zespołem Il Giardino Armonico wykonał on preludium Chopina i okazało się, że to nie jest materiał obcy! Typ kształtowania melodyki okazał się zaskakująco bliski temu idiomowi brzmieniowemu. Proponowanie publiczności w naszej części Europy tego typu zabawy intelektualnej stało się moim marzeniem. Jednak uświadomienie sobie tej bliskości muzyki Chopina i twórczości barokowej – podobnie jak szeregu innych kontekstów – wymaga ciągłości doświadczania. Doskonałą do tego okazją był Festiwal w 2010 roku, który trwał cały miesiąc i obejmował 45 koncertów. Teraz borykamy się wszyscy z problemami: w tym roku z powodów finansowych musiałem zrezygnować z dziesięciu planowanych pierwotnie wydarzeń.

Do planów repertuarowych należy jeszcze przyłożyć probierz uzgodnień z artystami. Konsekwentnie staram się, by byli to artyści z najwyższej półki – właśnie dlatego często goszczą u nas ci sami muzycy. Jest to po prostu wypadkowa mojej determinacji w osiąganiu jakości wykonawczej i konsekwentnych wyborów programowych, w tym również zamówień specjalnych dotyczących muzyki polskiej.

Chopin był kompozytorem darzącym tradycję wielkim szacunkiem. Jak definiuje Pan rolę Festiwalu w kontekście dbania o tradycję we współczesnej kulturze wykonawczej?

Niewątpliwie przeżywamy kryzys w sferze naszej kultury wysokiej, choć pragnę zaznaczyć, że nie lubię używać tego określenia. Otaczająca nas sonosfera jest najbardziej zanieczyszczonym elementem naszego środowiska; znacznie bardziej niż oceany, powietrze i wszystko to, czego doświadczamy za pomocą wzroku. Z dumą spoglądam co prawda na odruch uprzątania śmieci z ulicy, doceniam to, że możemy ↦

↦ oczekiwać na tramwaj lub autobus pod zadbaną wiatą przystankową, jednak w otaczającej nas sonosferze brakuje nam podobnej czystości. Na agresywne dźwięki skazani jesteśmy wszędzie, nawet w najbardziej prywatnej przestrzeni, pomimo gwarantowanego prawa człowieka do ciszy. To akustyczne barbarzyństwo sprawia, że jesteśmy w bardzo trudnej kulturowo sytuacji. Co prawda mamy w filharmoniach pełne sale, ale wrażliwość publiczności jest zatrważająco niska. Staram się wobec tego wydawać publiczne pieniądze tak, by konsekwentnie przeciwdziałać tej agresji.

W sztuce, jak mówił Fou Ts'ong, najważniejsza jest *message*. W szczególności dotyczy to muzyki, choć w jej przypadku jest ona czasem trudno dostępna. Oczywiście nie wiem jeszcze, czy to jest dobra droga, ale uważam, że warto walczyć o bezkompromisowość kryteriów wartościowania, bo w przypadku muzyki nie jest tak, że owe kryteria są całkowicie subiektywne – ulotne i rozmyte.

Załóżmy więc, że mówi Pan do kogoś, kto subiektywnie nie jest fanem wykonawstwa artystów, których Pan zaprasza na Festiwal. Czuje Pan misję, by mimo wszystko dotrzeć do takiej osoby?

Tak. Absolutnie! Jestem przekonany, że to jest kwestia doświadczenia. Ja sam podlegam tym samym prawom. Weźmy na przykład Koncert B-dur Brahmsa. Kiedyś patrzyłem na to dzieło tylko z jednego punktu widzenia – z perspektywy interpretacji Rubinsteina i to tylko jednego z jego licznych odczytań tego utworu. Nagle słyszę, jak Arrau z tej dynamicznej, nasyconej niespotykaną energią narracji tworzy statyczny, wykuty w marmurze monument. I nie znaczy to, że jego odczytanie jest złe, że się myli. Dzięki niemu mogłem spojrzeć na to dzieło z całkowicie innego punktu widzenia. I właśnie to jest kwintesencja wykonawstwa na instrumentach historycznych. Rozumienie i wartościowanie wykonań odbywa się na drodze porównań. I choć interpretacje, które słyszymy podczas Festiwalu, często

NIFC

STANISŁAW LESZCZYŃSKI jest dyrektorem festiwalu Chopin i Jego Europa i zastępcą dyrektora Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina

są inne niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni, zawsze są wynikiem świadomych artystycznych wyborów i dążenia do najwyższego poziomu artystycznego. Wszystko po to, by pozwolić słuchaczowi ich doświadczyć mimo tego zaśmieconego środowiska.

I tak dochodzimy do kontekstu umieszczania kompozycji Chopina w niecodziennym kontekście programowym. Daje to sposobność rozumienia go w sposób inny niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni.

To jest chyba najbardziej fascynujący aspekt mojej pracy. Chopin i Jego Europa jest festiwalem autorskim, choć oczywiście plany przedstawiane są Radzie Programowej Instytutu. Często też dyskutuję z różnymi osobami i przyjmuję ich punkt widzenia, zwłaszcza kiedy sam nie jestem o jakimś pomyśle przekonany. Zawsze jednak biorę pełną odpowiedzialność za kształt programu. Zawsze też poza wyobrażaniem sobie konkretnych zestawień repertuarowych poddaję je weryfikacji – słucham. I wtedy okazuje się, że coś, co w sferze wyobrażeń bardzo do siebie pasuje, ulega modyfikacji; a coś, co wydaje się bardzo odległe, brzmi obok siebie w sposób komplementarny. Dotyczy to także wykonawstwa. Są takie kompozycje, które wydają się zamknięte. Mam na myśli to, że w ich kontekście trudno wyobrazić sobie możliwość doświadczenia nowej interpretacji, która nie byłaby jedynie ekstrawagancją. A jednak ta wielka księga interpretacji muzyki Chopina nadal pozostaje otwarta. Dlatego – między innymi – sięgam też często po rozwiązania jeszcze nie rozpoznane – zapraszam artystów, którzy nie osiągnęli jeszcze szczytu popularności, ale są ciekawi i kompetentni.

Czy w tegorocznym programie Festiwalu jest wydarzenie szczególne z Pańskiej osobistej perspektywy?

Muszę przyznać, że szczególnie czekam na finał, czyli zestawienie Koncertu d-moll Johannesa Brahmsa i „Symfonii Pieśni Żałosnych" Henryka Mikołaja Góreckiego, które, jak myślę, okaże się fascynujące. Emocjonalność „Symfonii" drzemie bardzo głęboko i podobnie jest z I Koncertem Brahmsa. Żeby się o tym przekonać, wystarczy prześledzić niezwykłą historię jego powstania. Oba te utwory spina też wspólny mianownik szczególnego *continuum* formy. Szedłem do Andrzeja Boreyki z tą propozycją, spodziewając się absolutnie każdej reakcji. On jednak, gdy tylko ją usłyszał, stwierdził, że to świetny pomysł. Ja w ogóle uwielbiam kontakt z artystami i te esencjonalne dyskusje na temat muzyki. W tym kontekście wspominam też kontakt z Góreckim i rozmowy o Chopinie. Pamiętam, jak czule mówił o jego muzyce. I choć style obu kompozytorów są sobie dalekie, to twórca III Symfonii czerpał z Chopina. Oczywiście jest więcej rozgrzewających mnie wydarzeń – muszę wspomnieć choćby o dziełach Moniuszki na Festiwalu w interpretacjach Fabia Biondiego (w tym roku „Paria"!), twórczości Feliksa Janiewicza, ale także nieznanych szerokiej publiczności kompozytorów, takich jak Johan Helmich Roman, William Sterndale Bennett czy Thomas Adès.

A zdradzi Pan coś à propos przyszłej, jubileuszowej odsłony Festiwalu?

Wolałbym nie. Przyczyna jest prosta – niepewność. Ten rok sprawił, że nie jesteśmy już tak pewni środków budżetowych, jak to bywało w przeszłości. Zmusza to nas do planowania różnych wariantów programu i nieustającej ich weryfikacji.

© Rozmawiał KAROL FURTAK

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 34/2023
REDAKCJA: Jakub Puchalski | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
GRAFIKA NA OKŁADCE: Dariusz Komorek/NIFC | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
PARTNERZY
Narodowy Instytut Fryderyka Chopina
chopin i jego europa 2023
19. międzynarodowy festiwal muzyczny „chopin i jego europa" warszawa 18.08—1.09

XIX wariacja

JAKUB PUCHALSKI

„Nie po raz pierwszy" – brzmi tytuł tegorocznego festiwalu Chopin i Jego Europa. Faktycznie, odbywa się nie po raz pierwszy, lecz po raz 19. Kolejny też raz w programie znajdzie się kilka wyrazistych grup tematycznych.

Festiwal co roku gromadzi zestaw recitali fortepianowych, dzięki czemu jest, co cokolwiek paradoksalne, jednym z niewielu miejsc w Polsce, gdzie w ogóle gra się muzykę Chopina. Większość polskich instytucji muzycznych wciąż nie dowiedziała się, że „naczelny u nas artysta" tworzył przede wszystkim utwory na fortepian solo. Na warszawskim festiwalu muzyka ta jednak zestawiana jest z nieoczywistymi dla niej kontekstami, w tym – sama ze sobą, bo niejednokrotnie zdarza się, że na kolejnych koncertach wykonywane są te same utwory. Te same, ale przecież odmienne: często zmieniają się instrumenty. Fortepiany współczesne wchodzą w dialog z fortepianami historycznymi, z XIX wieku. Mniejszymi, w przypadku niektórych marek opartymi jeszcze na drewnianej ramie, o słabszym naciągu mniejszej liczby strun, o znacznie lżejszej w uderzeniu klawiaturze. A także o zdecydowanie cichszym i krótszym dźwięku, który ułatwia bardzo precyzyjną, wręcz oschłą artykulację, i wprowadza ogromną siłę kontrastu, gdy pozwala mu się brzmieć dłużej, dzięki wciśnięciu pedału. Dłużej – ale też nie tak długo, jak na współczesnym steinwayu. Na fortepianie historycznym znacznie trudniej jest uzyskać wrażenie brzmieniowego chaosu, gdy harmonie zlewają się ze sobą, co tak często słyszymy na instrumentach współczesnych.

Taki dialog dawnego z dzisiejszym jest cechą typową i wyjątkową dla tego festiwalu. Ponadto wielu muzyków nakłanianych jest do tego, by przesiąść się ze swojego współczesnego instrumentu – na instrument historyczny. By samemu spróbować zmierzyć się z tymi odmiennymi warunkami, w nich poszukać na nowo swojego rozumienia muzyki. Zaskakująca jest skuteczność tych działań: na ChiJE do fortepianu historycznego usiadły takie gwiazdy jak Martha Argerich i Maria João Pires. Usiadły i nieraz do niego wracały.

Co nie mniej ciekawe – dyrektorowi Leszczyńskiemu udało się przekonać niektórych mistrzów innego repertuaru, by sięgnęli po muzykę Chopina. Kiedyś był to np. Andreas Staier, ale od zawsze byli to też dyrygenci, zwłaszcza z kręgu muzyki dawnej. Ten kierunek stale ewoluuje: w tym roku Chopina poprowadzi skrzypaczka i kierowniczka zespołu {oh!} orkiestry, Martyna Pastuszka. Niemały to skok: z I połowy wieku XVIII do I połowy XIX. Jednocześnie kolejną belcantową operę Moniuszki, tym razem będzie to „Paria", poprowadzi Fabio Biondi – który na początek festiwalu zagra barokowy recital.

Skąd jednak opera? Naturalnie, z miłości Chopina do tego gatunku. Chopin był operomaniakiem i operosmakoszem: delektował się nie tylko muzyką, lecz i inscenizacją, a przede wszystkim – śpiewem. Ten ostatni był dla niego wzorem także w grze na fortepianie.

Na chopinowskim festiwalu nie może więc zabraknąć śpiewu. W operze, ale i w liryce wokalnej, w pieśni. Szykują się wyjątkowe wieczory Juliana Prégardiena i Olgi Pasiecznik – w każdym wypadku z wybitnymi pianistami. To jednak nie wszystko: kameralistyka wokalna prowadzi też głębiej w historię – tę przywoła Philippe Herreweghe, kierując wykonaniem włoskich madrygałów. To już przełom wieku XVI i XVII – ale też właśnie tutaj rodziła się muzyczna ekspresja, ekspresja wyprowadzona z retoryki. Ta sama idea, która przyświecała frazie Chopinowskiej, czy szerzej – romantycznej.

Od kameralistyki wokalnej prosta droga wiedzie do kameralistyki instrumentalnej. Zawsze na festiwalu obecnej, bo nie sposób o niej zapomnieć, gdy mówi się o Chopinie. Ponownie też odwiedzą Warszawę jedne z najwybitniejszych dzisiaj kwartetów smyczkowych, Belcea Quartet i Apollon Musagète (z Jonathanem Plowrightem przy fortepianie), a także Consone Quartet (z Alexandrem Gadjievem na fortepianie historycznym). Ponownie też wystąpi duo skrzypaczki Aleny Baevej z pianistą Vadymem Kholodenką. Tym razem wspólnie z kwartetem, w rzadko słyszanym, kameralnym koncercie Ernesta Chaussona.

Główny ciężar nieodmiennie spoczywa jednak na pianistach. Z recitalami wystąpią: Benjamin Grosvenor, Piotr Anderszewski, Ludmił Angelov, wspomniany Kholodenko, jak również Mateusz Krzyżowski, Lukáš Vondráček. Na instrumencie historycznym usłyszymy natomiast Alexeia Lubimova i Tomasza Rittera.

Na koniec wielka symfonika: sławna III Symfonia Henryka Mikołaja Góreckiego, „Symfonia Pieśni Żałosnych" – zestawiona z monumentalnym, majestatycznym I Koncertem fortepianowym d-moll Johannesa Brahmsa. Przy fortepianie Yulianna Avdeeva, na podium Andrzej Boreyko. A nie jest to przecież jedyne wykonanie koncertu na fortepian i orkiestrę, bo wcześniej usłyszymy Ivo Pogorelicia w II Koncercie f-moll Chopina (ze znakomitą Kammerorchester Basel), albo też, dwukrotnie, przepiękny Koncert na dwa fortepiany Es-dur Mozarta. Zagrają laureaci różnych edycji Konkursu Chopinowskiego – których na tym festiwalu nigdy nie może zabraknąć – w tym ostatni zwycięzca Bruce Liu, wraz ze swym nauczycielem, Dang Thai Sonem.

Zgodnie z tytułem festiwalu: faktycznie, z reguły mamy do czynienia ze stałymi gośćmi festiwalu. A jednak za każdym razem odmiennie. W innym zestawieniu, repertuarze, na innych instrumentach. XIX wariacja w 24 koncertowych odsłonach. ©

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

chopin i jego europa 2023

18.08 PIĄTEK FRIDAY

g. 20 / 8 p.m.
Bazylika Świętego Krzyża
Basilica of the Holy Cross
Koncert nadzwyczajny *Przed sercem Chopina*
Special concert 'In front of Chopin's heart'
FABIO BIONDI skrzypce Violin
ROMAN, TARTINI, BIBER, TELEMANN

19 .08 SOBOTA SATURDAY

g. 21 / 9 p.m.
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Koncert symfoniczny Symphonic concert
IVO POGORELIĆ fortepian Piano
KAMMERORCHESTER BASEL BASEL CHAMBER ORCHESTRA
HUGO TICCIATI koncertmistrz, kierownictwo artystyczne
Concertmaster, Artistic director
BENNETT CHOPIN ADÈS, MENDELSSOHN-BARTHOLDY

20.08 NIEDZIELA SUNDAY

g. 20 / 8 p.m.
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Recital fortepianowy Piano recital
BENJAMIN GROSVENOR
CHOPIN, LISZT, RAVEL

21.08 PONIEDZIAŁEK MONDAY

g. 17 / 5 p.m.
Studio Koncert. Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego
Witold Lutosławski Concert Studio of Polish Radio
Recital fortepianowy Piano recital
TOMASZ RITTER
fortepian historyczny Period piano
CHOPIN, BEETHOVEN, BACH/BRAHMS, MOZART, SCHUBERT

g. 20 / 8 p.m.
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Koncert kameralny Chamber concert
JONATHAN PLOWRIGHT fortepian Piano
APOLLON MUSAGÈTE QUARTETT
SCHUBERT, LUTOSŁAWSKI, ZARĘBSKI

22.08 WTOREK TUESDAY

g. 20 / 8 p.m.
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Koncert symfoniczny Symphonic concert
CHOUCHANE SIRANOSSIAN skrzypce Violin
MATEUSZ KOWALSKI gitara Guitar
MARTYNA PASTUSZKA skrzypce, dyrygent
Violin, Conductor
{OH!} ORKIESTRA
JANIEWICZ, CHOPIN, MOZART

23.08 ŚRODA WEDNESDAY

g. 17 / 5 p.m.
Studio Koncert. Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego
Witold Lutosławski Concert Studio of Polish Radio
Koncert wokalny Vocal concert
JULIAN PRÉGARDIEN tenor
SASKIA GIORGINI fortepian Piano
SCHUBERT, CHOPIN

g. 20 / 8 p.m.
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Koncert kameralny Chamber concert
ALENA BAEVA skrzypce Violin
VADYM KHOLODENKO fortepian Piano
BELCEA QUARTET
SCHUBERT, DEBUSSY, CHAUSSON

24.08 CZWARTEK THURSDAY

g. 17 / 5 p.m.
Studio Koncert. Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego
Witold Lutosławski Concert Studio of Polish Radio
Koncert symfoniczny Symphonic concert
ALEKSANDRA ŚWIGUT fortep. hist. Period piano
PEDRO LÓPEZ SALAS fortep. hist. Period piano
MARTYNA PASTUSZKA skrzypce, dyrygent
Violin, Conductor
{OH!} ORKIESTRA
GRIEG, MOZART, ELSNER

g. 20 / 8 p.m.
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Recital fortepianowy Piano recital
VADYM KHOLODENKO
HÄNDEL, HAYDN, BEETHOVEN, ADÈS, LISZT

25.08 PIĄTEK FRIDAY

g. 17 / 5 p.m.
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Koncert symfoniczny Symphonic concert
DANG THAI SON fortepian Piano
BRUCE LIU fortepian Piano
LUKAS GENIUŠAS fortepian Piano
LONDON MOZART PLAYERS
MAREK MOŚ dyrygent Conductor
BRITTEN, MOZART, HAYDN, KARŁOWICZ

g. 20 / 8 p.m.
Sala Moniuszki Teatru Wielkiego – Opery Narodowej
Moniuszko Hall of the 'Teatr Wielki' Polish National Opera
Opera w wersji koncertowej
Opera in concert version
MARTA TORBIDONI, DAVID ASTORGA, GERMÁN OLVERA, ALEKSEY BOGDANOV, MATHEUS POMPEU,
CHÓR OPERY I FILHARMONII PODLASKIEJ
PODLASIE OPERA AND PHILHARMONIC CHOIR
(VIOLETTA BIELECKA)
kierownik chóru Choir director
EUROPA GALANTE
FABIO BIONDI dyrygent Conductor
MONIUSZKO *Paria The Pariah* (po raz pierwszy na instrumentach historycznych / For the first time on historical instruments)

26.08 SOBOTA SATURDAY

g. 20 / **8 p.m.**
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Koncert symfoniczny Symphonic concert
KATE LIU fortepian Piano
ERIC LU fortepian Piano
DANG THAI SON fortepian Piano
LONDON MOZART PLAYERS
MAREK MOŚ dyrygent Conductor
ELGAR, MOZART, KILAR, PENDERECKI

27.08 NIEDZIELA SUNDAY

g. 20 / **8 p.m.**
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Recital fortepianowy Piano recital
PIOTR ANDERSZEWSKI
BACH, WEBERN, SZYMANOWSKI, BARTÓK

28.08 PONIEDZIAŁEK MONDAY

g. 17 / **5 p.m.**
Studio Koncert. Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego
Witold Lutosławski Concert Studio of Polish Radio
Najpiękniejsze tańce polskie
'The most beautiful Polish dances'
Recital fortepianowy Piano recital
LUDMIL ANGELOV
CHOPIN, FONTANA, MIKULI, ZARĘBSKI, MICHAŁOWSKI, FRIEDMAN

g. 20 / **8 p.m.**
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Brahms w 190. rocznicę urodzin
'Brahms on the 190th anniversary of his birth'
Recital fortepianowy Piano recital
ALEXEI LUBIMOV
fortepian historyczny Period piano
BRAHMS

29.08 WTOREK TUESDAY

g. 17 / **5 p.m.**
Studio Koncert. Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego
Witold Lutosławski Concert Studio of Polish Radio
Koncert kameralny Chamber concert
ALEXANDER GADJIEV fortep. hist. Period piano
CONSONE QUARTET
BEETHOVEN, CHOPIN

g. 21 / **9 p.m.**
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
'Solo e pensoso – Petrarca's Lost Paradise' 200 lat przed Chopinem
'Solo e pensoso – Petrarch's Paradise Lost' 200 years before Chopin
Koncert wokalny Vocal concert
COLLEGIUM VOCALE GENT
PHILIPPE HERREWEGHE
kierownictwo artystyczne Artistic director
MONTEVERDI, ROSSI, MARENZIO, RORE, BASSANO, LUZZASCHI, SCARANI, GAGLIANO, PALESTRINA, ROGNONI, TAEGGIO, LASSO

30.08 ŚRODA WEDNESDAY

g. 17 / **5 p.m.**
Sala Kameralna Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Chamber Hall
Koncert kameralny Chamber concert
ALEKSANDRA DĄBEK fortepian historyczny Period piano
JAKUB JAKOWICZ skrzypce Violin
MARCIN ZDUNIK wiolonczela Cello
MATEUSZ KOWALSKI gitara Guitar
MIRECKI

g. 20 / **8 p.m.**
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Tak blisko Chopina – Koncert muzyki ukraińskiej
'So close to Chopin' Concert of Ukrainian music
Koncert wokalny Vocal concert
OLGA PASIECZNIK sopran Soprano
NATALIA PASIECZNIK fortepian Piano
STETSENKO, STEPOVY, ŁYSENKO, KOŁESSA, KOSENKO, LATOSZYŃSKI, BARWINSKI, SILVESTROV

31.08 CZWARTEK THURSDAY

g. 17 / **5 p.m.**
Sala Kameralna Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Chamber Hall
Recital fortepianowy Piano recital
MATEUSZ KRZYŻOWSKI
Zwycięzca 12. Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. I.J. Paderewskiego The Winner of the 12th I. J. Paderewski International Piano Concours
CHOPIN, KOCZALSKI, MALISZEWSKI, SZYMANOWSKI

g. 20 / **8 p.m.**
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Recital fortepianowy Piano recital
LUKÁŠ VONDRÁČEK
SUK, SMETANA, SCHUMANN

1.09 PIĄTEK FRIDAY
Symfonia pieśni żałosnych 'Symphony of Sorrowful Songs'
g. 20 / **8 p.m.**
Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej
Warsaw Philharmonic Concert Hall
Koncert symfoniczny Symphonic concert
IZABELA MATUŁA sopran Soprano
YULIANNA AVDEEVA fortepian Piano
ORKIESTRA FILHARMONII NARODOWEJ
WARSAW PHILHARMONIC ORCHESTRA
ANDRZEJ BOREYKO dyrygent Conductor
BRAHMS, GÓRECKI

SPRZEDAŻ BILETÓW > **bilety.nifc.pl**
+ kasy Muzeum Fryderyka Chopina, Warszawa, ul. Okólnik 1
[czynne od wtorku do niedzieli w godz. 11–19]
+ kasy Filharmonii Narodowej, ul. Sienkiewicza 10,
[pon.–pt., w godz. 10–14 i 15–19]

Dyrektor artystyczny Festiwalu / Artistic Director:
STANISŁAW LESZCZYŃSKI

www.festiwal.nifc.pl
/Chopin Institute

ORGANIZATOR
Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS
ORLEN

DARCZYŃCA
ORLEN FUNDACJA

PARTNER GŁÓWNY
TOTALIZATOR SPORTOWY

WSPÓŁORGANIZATOR
dwójka POLSKIE RADIO

PARTNERZY
Bank Polski
PZU
LEXUS
LOT POLISH AIRLINES
WARSAW CHOPIN AIRPORT
LOTNISKO CHOPINA WARSZAWA
YAMAHA
REGENT
Filharmonia Narodowa
OPERA NARODOWA

PATRONI MEDIALNI
POLSKIE RADIO
Polskie Radio Chopin

MIĘDZY SŁOWAMI

Najnowsza płyta PJ Harvey, wydana po ośmiu latach milczenia, czerpie z folkloru Zachodniej Krainy – wierzeń, przesądów, pieśni, dziecięcych rymowanek. Ile w tym jest jej samej?

BEATA CHOMĄTOWSKA

Pierwsza scena: warszawski Torwar, październik 2016 r., koncert promujący płytę „The Hope Six Demolition Project". Dokładnie o wyznaczonej godzinie gasną światła, muzycy wchodzą na scenę przy dźwiękach bębnów – identyczny początek jak we wszystkich innych miastach na tej trasie. Potem utwór za utworem, sto procent skupienia, sto procent precyzji. Gdy przed „Is This Desire?" dojdzie do pomyłki i dialogu wokalistki z kolegami, można pomyśleć, że to też było zawczasu wyreżyserowane.

Potężny głos w drobnym ciele, starannie przemyślana choreografia, perfekcyjny spektakl, nic z atmosfery szamańskiego rytuału, jakim często stają się koncerty rockowe. Żadnego rzucania się w tłum, ściskania dłoni, żadnych pogaduszek z publicznością. Na pożegnanie bisy, ukłony, dobranoc.

Sto procent kontroli, zgodnie z zasadą PJ Harvey, że to muzyka wyraża wszystko, co jest do przekazania. Ona sama jest osobą prywatną, dlatego woli tworzyć, niż rozmawiać z dziennikarzami.

Jagnięce oko

„West Country Girl" to tytuł utworu Nicka Cave'a z płyty „The Boatman's Call". Dziewczyną z Zachodniego Kraju jest tu właśnie PJ Harvey. Ich krótki romans zaczął się podczas nagrywania teledysku do ballady „Henry Lee". Jak oceni Cave po latach: „byli zbyt pochłonięci każde samym sobą, żeby móc długo dzielić wspólną przestrzeń". Nagranie do dziś robi wrażenie intensywnością, czuje się w nim siłę rodzącej się bezpośrednio przed kamerami erotycznej fascynacji.

West Country, Zachodni Kraj, to rejon Wielkiej Brytanii, którego administracyjnie wyznaczonych granic próżno szukać. Z pewnością można powiedzieć tyle, że leży w zachodnio-południowej części wyspy, po sąsiedzku z Walią, a jego najbardziej rozpoznawalnym miejscem jest Stonehenge. Hasła dodatkowe: Bath, Somerset, Devon, Dorset. Farmy, rybołówstwo, rolnictwo.

Rejon Dorset to matecznik PJ Harvey. Dzieciństwo spędzone na wsi, w niewielkiej osadzie Corscombe, na farmie, wśród zwierząt – krów, owiec, kur i psów. Zwierzęta są ważne, najwcześniejsze wspomnienia artystki dotyczą nadawania imion owcom, rozmawiania z nimi, pierwszych przejażdżek na owczym grzbiecie. Rzeka, siano, ogród – w towarzystwie brata. Mają dużo swobody, żyją w świecie wyobraźni.

Pięcioletnia Polly, siedząc w głębi ogrodu nad rzeką, napisze pierwszy wiersz. „Pisany z perspektywy lisa. Byłam lisem" – wspomni w jednym z nielicznych wywiadów, dodając, że utwór ocalał, bo zachowała go babcia, Polly znalazła go po jej śmierci, wśród innych papierów. Ale życie na wsi nie przypomina idylli i jak przyznaje, miała tego świadomość od początku: rytm natury, jej cykliczność – życie i śmierć, a także okrucieństwo. „Dorset to ciemność i światło, ekstaza i melancholia" – mówi. Przemieszczając się między górami a dolinami można doświadczyć tych stanów na przemian.

Nie mniej ciekawy jest język Zachodniego Kraju, wywodzący się z dialektów zachodniosaskich, które w średniowieczu przekształciły się w staroangielski, ale można odnaleźć w nich też wcześniejsze, celtyckie naleciałości. Ze względu na oddalenie od centrum kraju zachował się do dziś – wciąż używają go starsi mieszkańcy w niektórych wioskach.

Wątek rodzimego języka jest istotny – w 2022 r. PJ Harvey wydała drugą w życiu książkę poetycką, „Orlam", napisaną w praktycznie już nieużywanym dialekcie z jej rodzinnego Dorset, od wieku niepojawiającym się w druku. „I Inside the Old Year Dying", najnowsza płyta PJ Harvey, wydana właśnie po ośmiu latach milczenia, to muzyczna kontynuacja wątków z tych wierszy.

Bohaterką poematu jest dziewięciolatka, Ira-Abel Rawles, mieszkająca na farmie w wiosce Underwhelem. Czuwa nad nią Orlam, wszechwidzące oko jagnięcia. PJ Harvey przyznaje, że tworząc tę wy-

IMAGE CAPITAL PICTURES / FILM STILLS / FORUM

PJ Harvey w filmie „A Dog Called Money", reż. Seamus Murphy, 2019 r.

imaginowaną krainę czerpała pełnymi garściami z folkloru Zachodniej Krainy – wierzeń, przesądów, pieśni, dziecięcych rymowanek. Od razu nasuwa się też oczywiste pytanie: ile w tym jej samej?

„Prawie każdy artysta tworzy na bazie tego, co zna; żeby wejść w siebie głęboko, niezbędne są elementy osobistego doświadczenia – odpowiada oględnie. – Ale jednocześnie mam wyobraźnię skłonną do zabawy. Utrzymanie jej w stanie dziecięcej żywotności jest niezbędne każdemu artyście. Dzieci tworzą coś z niczego każdego dnia; staram się sięgać do tego samego źródła".

Rozbić bryłę

Hasło „farma w Dorset", czyli otoczenie, w jakim dorastała nasza bohaterka, też może zwieść na manowce. Główne miasteczko rejonu, od którego wzięło nazwę całe hrabstwo, leży nad samym kanałem La Manche, wśród kamiennych klifów, rodzina PJ Harvey zaś nie zajmuje się rolnictwem, ale prowadzi od wielu dekad biznes kamieniarski.

Somerset, w sąsiedztwie Dorset, słynie z jedynej w swoim rodzaju odmiany kamienia budowlanego, nazywanej Ham Hill – o różowawym odcieniu, rzeczywiście przypominającym kolor szynki. Zbudowane są zeń niemal wszystkie domy w okolicy, także dom rodziców artystki, której ojciec zarządzał kamieniołomem. Żona pomagała mu – ale też rzeźbiła. Poza tym oboje byli hipisami, fanami bluesa, jazzu i rocka. Sami nie grali, ale zabierali ze sobą dzieci na jam sessions i puszczali im ulubione płyty: Neila Younga, Boba Dylana, Pink Floyd, Captaina Beefharta. Częstym gościem w domu Polly był jeden z założycieli Rolling Stones, Ian Stewart – przyjaciel rodziny.

W takim otoczeniu ścieżka artystyczna wydaje się dla małej Polly naturalnym wyborem. Córka rzeźbiarki sama uczy się rzeźbić. Pierwsze wprawki w szkole Yeovil College, próby rozbicia bryły, uformowania z niej pożądanego kształtu mogą służyć za metaforę dla jej późniejszej metody pracy na różnych twórczych polach. Z tamtego okresu zostanie jej coś jeszcze: dążenie do perfekcjonizmu i oryginalności. Większość jej szkolnych prac eksponowana jest w niespodziewanych miejscach: podwiesza je pod sufitem, ukrywa w szafkach.

Nastolatkę ciągnie z jednej strony do sztuk plastycznych, z drugiej – do muzyki. Zaczyna się jej uczyć w szkole, testując różne instrumenty. Najpierw będzie saksofon, przez osiem lat, nauka i teoria. Kiedy skończy osiemnaście lat, kupi od znajomego gitarę akustyczną. Grać nauczy się na podstawie książek z akordami, podśpiewując do rytmu. W szkole założy też pierwszy zespół. Jest ich trójka, nazywają się Stoned Weaklings.

W wieku 21 lat ma szansę zrobić dyplom ze sztuk pięknych w prestiżowym Saint Martins College of Art & Design. Jedzie więc do Londynu, ale akurat nadarza ↦

↦ się okazja, by nagrać pierwszą płytę dla wytwórni Too Pure, znika na rok, żeby dopracować materiał. Saint Martins już nie ukończy, ale na jej artystycznej drodze równie ważne jak muzyka pozostaną kwestie wizualne.

Sceniczny wizerunek, zmieniający się z każdą płytą, oprawa graficzna nagrań i koncertów, oświetlenie – to u PJ Harvey elementy dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. A że nadal lubi bawić się materią, formować z niej nowe kształty, od czasu do czasu tworzy na własny użytek różne instalacje, choć ich tak nie nazywa. Mówi o nich: bawidełka.

Wewnętrzny krytyk

Druga scena: kwiecień 1991 r., dom kultury w Charmouth, pierwszy występ z własną grupą PJ Harvey Trio. Kiedy zaczynają grać, na widowni jest około 50 osób. Po pierwszym utworze sala niemal całkiem pustoszeje. Do muzyków podchodzi jakaś kobieta i krzyczy: „Nie widzicie, że nikt was nie lubi? Zapłacimy wam, jeśli przestaniecie grać, ale przestańcie!".

Na Polly nie robi to wielkiego wrażenia: „Jestem najprawdopodobniej najsurowszym krytykiem własnych dokonań. Sukces jest wtedy, kiedy czuję, że osiągnęłam cel, który postawiłam sobie, siadając do pracy". Jako dziewczynka, słuchając „Money" Pink Floyd, zastanawiała się, dlaczego te kolorowe papierki są czymś tak ważnym dla dorosłych.

Introwertyczka, która przyznała kiedyś w rozmowie z „Los Angeles Times", że od zawsze czuła głód występów i już w dzieciństwie miała własny kukiełkowy teatrzyk, dla którego pisała sztuki, a rodzina była zmuszona oglądać jej popisy. Pozorna sprzeczność, wcale nie rzadka wśród artystów, na co dzień nieśmiałych, ale dopuszczających do głosu swoją ekspansywną część w światłach sceny.

Cena sławy

Nastolatka z Zachodniego Kraju ma już za sobą występy z początkującymi zespołami w lokalnych klubach i barach, gdy spotyka muzyka, którego przez kolejnych trzydzieści lat będzie określać jako „artystyczną bratnią duszę": Johna Parisha. Po przesłuchaniu pierwszych amatorskich nagrań Parish wie już, że dziewczyna ma świetny głos. Zaprasza ją do swojej grupy Automatic Dlamini, niech tylko skończy szkołę.

Zespół powiększony o Polly Jean w roli wokalistki i saksofonistki zdąży nagrać dwie płyty i objechać Europę Środkowo-Wschodnią tuż przed upadkiem żelaznej kurtyny. To pierwsza trasa koncertowa Polly, podczas której ma zagrać też w Polsce. Choć koncert zostaje odwołany, muzycy spędzają w Warszawie dziesięć dni, odkrywszy, że wynajem studia nagraniowego kosztuje grosze. Zapamięta stąd szarość, martwotę i puste ulice, a także ser, który jadła na okrągło, bo jako wegetarianka nie miała wówczas wielkiego wyboru.

To właśnie z dwójką muzyków z Automatic Dlamini – basistą Stephenem Vaughanem i bębniarzem Robem Ellisem – nagra pierwszą płytę, tę, dla której zrezygnowała ze studiów w Saint Martins. Album „Dry", pełen postpunkowej energii i śmiałych odniesień do kobiecej seksualności, wywoła istne trzęsienie ziemi na rynku zdominowanym przez grupy z nurtu indie rocka.

Krytycy piszą, że PJ Harvey jest objawieniem, niezależna wytwórnia Indigo należąca do Island Records podpisuje z grupą kontrakt i wydaje album w Stanach. Metoda, która artystce wówczas przyświeca: „samej się poniżyć i sprawić, że słuchacz poczuje się niekomfortowo", okaże się obosieczna: oryginalny wygląd i bezkompromisowy przekaz dziewczyny z Zachodniego Kraju budzą ciekawość fanów i mediów, które depczą jej po piętach, analizując każdy szczegół wyglądu i doszukując się osobistych odniesień w tekstach. Przejdzie załamanie nerwowe. Ucieknie z Londynu do Dorset, gdzie będzie dochodzić do siebie z dala od ciekawskich. Odtąd rodzinne strony staną się jej azylem po zamieszaniu związanym z każdą kolejną płytą.

Bo dziennikarze nie ustępują. Kiedy straciła dziewictwo? Czy to prawda, że utopiła własne dziecko? Czemu jest taka chuda?

Eksperymentuj albo zgiń

Wyciąga lekcję z tamtych doświadczeń: mówić o sobie niewiele, bardzo rzadko godzić się na wywiady, podczas których zgrabnie omija zbyt osobiste pytania. Chcecie prawdziwej PJ Harvey? Przyjdźcie na koncert.

Z płyty na płytę

- **TO BRING YOU MY LOVE** (1995)

Trzeci, przełomowy album, na którym PJ Harvey sięga do bluesa i religijnych motywów. Odrzuca też towarzyszącą jej dotąd sekcję rytmiczną, by wyeksponować głos zdolny obudzić umarłego.

- **STORIES FROM THE CITY, STORIES FROM THE SEA** (2000)

Najbardziej rytmiczne i „popowe" wcielenie wokalistki, któremu patronuje Nowy Jork – miasto, w którym żyła przez siedem miesięcy przed nagraniem płyty. Każdy utwór ma potencjał przeboju. Gościnnie towarzyszy jej Thom Yorke z Radiohead.

- **WHITE CHALK** (2007)

Wiktoriańska asceza, którą sugeruje już okładka ze zdjęciem PJ w białej sukni z epoki. Miejsce gitary, która towarzyszyła jej od debiutu, zajął fortepian. Jest mocno introwertycznie i eksperymentalnie, jakby artystka chciała wypłoszyć doraźnych słuchaczy. W mroku i ciszy każdy dźwięk nabiera podwójnej mocy.

- **LET ENGLAND SHAKE** (2011)

Muzyczna publicystyka, komentarz do brytyjskiej historii z czasów I wojny światowej, zwłaszcza kampanii pod Gallipoli. W tekstach żarliwość i pasja, w warstwie dźwiękowej – melodyjność. Triumfalny powrót gitary.

- **I INSIDE THE OLD YEAR DYING** (2023)

Muzyczna adaptacja poematu „Orlam", która początkowo miała być sztuką teatralną. Wyprawa w oniryczny świat wyobraźni artystki, skonstruowany przy pomocy ludowych instrumentów, elektroniki i przede wszystkim głosu, miejscami przeskalowanego tak, że drażni i niepokoi.

ERIC DREW FELDMAN / ARCHIWUM PRYWATNE

„Ta fotografia pochodzi z 1997 r., gdy pracowałam nad albumem »Is This Desire?« .Wykonał ją Eric Drew Feldman, mój przyjaciel i wieloletni współpracownik, gdy w czasie podróży po Kalifornii odwiedziliśmy Bodie – miasto duchów" (PJ Harvey, oficjalny profil FB).

Jej dewizą staje się eksperyment. „Chcę być jak David Bowie – może nie wszystkie próby będą udane, ale to podtrzymuje moje zainteresowanie muzyką, ratuje przed stagnacją" – powtarza.

Zmienia sceniczny wizerunek z każdą płytą. Na dwóch pierwszych, z zespołem, była to mieszanka gotyku i punka, czerń, antyestetyka. Na pierwszej solowej, „To Bring You My Love" z 1995 r., wciela się w ekstrawagancką divę z lokami i doklejonymi rzęsami. Na okładkowym zdjęciu leży niczym martwa w czerwonej sukience. Sukienka jest satynowa, obcisła. Dziennikarze określają to wcielenie „Joan Crawford na kwasie".

Inna okładka, na niej tym razem dziewczyna pośrodku nowojorskiej ulicy, nonszalancko ubrana, z torebką, jakby zdjęta przez fotografa mody ulicznej. „Stories From The City, Stories From The Sea", płyta nagrana w Nowym Jorku i opowiadająca o Nowym Jorku. Konsternacja: dziewczyna z Zachodniego Kraju i miejskie życie w wydaniu nowojorskim, zwielokrotnione do n-tej potęgi? Cóż, zamieszkała tam na kilka miesięcy i miasto bardzo przypadło jej do gustu. Wkrótce wyjdzie na jaw, że mieszka na przemian w Zachodnim Kraju i w Los Angeles, bo nie znosi angielskiej zimy.

Tematyka kolejnych muzycznych przedsięwzięć PJ Harvey waha się też w rytmie: publiczne-prywatne. Pierwsze płyty skupiały się na relacjach międzyludzkich, głównie miłosnych, później zaczęła sięgać po wątki rodem z literatury faktu. Na „Let England Shake" (za którą dostała po raz drugi nagrodę Mercury jako jedyna artystka w historii) opowiadała o brytyjskich doświadczeniach z I wojny światowej.

„The Hope Six Demolition Project" okazał się przedsięwzięciem zgoła reporterskim – wspólnie z fotografem i filmowcem Seamusem Murphym pojechała do Kosowa, Afganistanu i ubogich dzielnic Waszyngtonu, żeby zobaczyć na własne oczy miejsca, którym poświęciła płytę mówiącą o konsekwencjach wojen. Nie uniknęła wówczas krytyki, że uprawia turystykę biedy. Choć trudno wyobrazić sobie introwertyczkę PJ Harvey maszerującą w tłumie z transparentami, wspomina, że w szkole brała udział w protestach, choć nie pamięta już, przeciw czemu.

W środku historycznych wydarzeń kilkakrotnie stawiało ją zresztą samo życie. Jak w Berlinie, gdy pojechała odwiedzić przyjaciół i zobaczyła na własne oczy rozbijany mur, lub 11 września 2001 r., gdy z hotelowego okna, czekając na występ w Waszyngtonie, widziała atak na Pentagon. Ale po każdej takiej ekspozycji potrzebuje odpocząć, schować się, wrócić do świata wewnętrznego, czego przykładem były wyciszone albumy: „Is This Desire?" i „White Chalk", gdzie wizualnie zaprezentowała się niczym dama z epoki wiktoriańskiej.

Po czterdziestce, na długo przed „I Inside the Old Year Dying" dopada ją kryzys. Zastanawiała się, czy chce jeszcze wyrażać się za pośrednictwem muzyki. W 2014 r. zaczyna chodzić na lekcje poezji, bo nie czuje się pewnie w pisaniu – za wysokie progi dla rockowej pieśniarki: „Co mogłam innego zrobić, zapisać się na uniwersytet?".

Jednym z wykładowców jest szkocka sława, zdobywca nagrody T.S. Eliota, poeta Don Paterson. Kiedy prosi ją, by wysłała mu próbki swoich dokonań, jest przekonana, że to z grzeczności, bo nawet nie ma pojęcia, kim ona jest i że już coś wydała. Paterson zostaje jej mentorem. Odblokuje ją sugestią, żeby pisała poezję tak samo odważnie, jak pisze teksty na płytę.

W ten sposób powstaje poemat „Orlam", napisany dialektem z Dorset, którego Polly uczy się jak obcego języka. Idzie jej nieźle. Zauważa, że przyswajanie słów odbywa się też na poziomie czysto zmysłowym, część ich sensu zawarta jest w samym brzmieniu. To jak dopisek do jej wypowiedzi jeszcze z lat 90.: „Nie rozumiem, czemu ludzie mają potrzebę precyzowania wszystkiego. Czemu nie pozwolić, żeby twórczość mówiła sama za siebie, zamiast każdorazowo próbować jej interpretacji z pomocą słów?".

Viva España

Zagadka, enigma – pisze się o niej, choć przecież skrót „PJ" dołączony do nazwiska sugerował od początku, że więcej chce ukrywać, niż odsłaniać. Oprócz sensu własnych utworów nie komentuje również: stanu zdrowia, bieżącej polityki, tego, z kim się spotyka, czemu nie ma dzieci.

„Nie chcę mówić ludziom, co mają myśleć lub robić. Chcę pozostać narratorem" – odżegnuje się, pytana, co sądzi o polityce, do której przecież odwoływała się na płytach. Czy jest feministką? – to pytanie pojawia się, odkąd zaczęła śpiewać. Odpowiada, że w ogóle się nad tym nie zastanawia, bo gdy komponuje i pisze teksty, nie myśli zupełnie kategoriami płci.

Za to chętnie odnosi się do wątku sztucznej inteligencji: wierzy, jak Lem, ↦

↦ że nasza siła tkwi w naszej słabości, człowiek przez wadliwość swojej natury jest nieprzewidywalny i tym samym bardziej twórczy niż najlepsza maszyna. PJ Harvey zdradza, że w przeciwieństwie do wielu innych artystów konsekwentnie trzyma się z dala od internetu i mediów społecznościowych. Nie umie na przykład porzucić książki nie doczytawszy jej, utonęłaby więc w odmętach sieci. Narzuca sobie samodyscyplinę; współpracownicy twierdzą, że nie znają osoby bardziej skupionej na pracy.

Nie zaszłaby tak daleko, gdyby nie etos szkoły muzycznej: trzeba codziennie wstawać rano i ćwiczyć do upadłego. Opowiada, że uwielbia chodzić na występy komików i lubi Hiszpanię, do tego stopnia, że zastanawiała się nawet, czy przypadkiem nie ma jakichś hiszpańskich przodków, bo ilekroć tam jest, czuje się jak w drugim domu.

Akwarium

Scena trzecia: rok 2015, studio w londyńskim Somerset House. Za jedyne piętnaście funtów można popatrzeć sobie przez specjalnie zaprojektowane weneckie lustro, jak PJ Harvey wraz z zespołem przez miesiąc pracują nad kolejną płytą. Ten swoisty peep-show nazywa się „The Recording Project".

Chętnych nie brakuje, ale obserwatorzy są zawiedzeni. Za szybą: nieustanne przepinanie kabli, urywane dźwięki, którym jeszcze daleko do doskonałości, krótkie polecenia wydawane sobie nawzajem przez muzyków, długie minuty bezruchu. Niektórzy piszą, że czują się jak w zoo, gdy zajęte własnymi sprawami zwierzęta nie chcą się popisywać, snują się albo leżą, nie zważając na ludzi. Aż chciałoby się wrzucić do środka patyk, wywołać zamieszanie, niech wreszcie coś się wydarzy.

Widzicie? – mruga do nich PJ Harvey. – Nuda, to wszystko nuda. A tacy byliście ciekawscy.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

Przy pisaniu tekstu korzystałam z nielicznych wywiadów z PJ Harvey, publikowanych m.in. na łamach „The Rolling Stone", „The Guardian", „Crack Magazine", „Sunday Post" oraz wypowiedzi artystki dostępnych w serwisie YouTube.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE / MATERIAŁ PRASOWY

Czyje to Wilno

PIOTR KOSIEWSKI

Stało się miastem symbolem. Kluczowym dla litewskiej, polskiej, ale też żydowskiej tożsamości.

Minęły trzy dekady od odzyskania przez Litwę niepodległości. Był to czas układania na nowo stosunków polsko-litewskich. Wystawa „Wilno, Vilnius, Vilne 1918-1948" w krakowskim Muzeum Narodowym porusza temat od ponad wieku dzielący oba narody. Zorganizowano ją w 700. rocznicę założenia Wilna, ale opowiada o jednym okresie jego dziejów: od upadku caratu, przez bunt Żeligowskiego i przyłączenie Wilna do Polski, wybuch II wojny światowej, włączenie miasta do Litwy, a następnie w skład ZSRR, okupację niemiecką, po ponowne wejście Sowietów.

Powstała wystawa o mieście, które przechodziło z rąk do rąk, mieście polskim i litewskim. Przywołuje też Wilno żydowskie, a należałoby się jeszcze upomnieć o białoruskie. Poszczególne nacje nadały mu imiona i uznawały za swoje. W jidysz nazwa miasta jest rodzaju żeńskiego, w litewskim – męskiego, w polskim – nijakiego.

Wystawa otwarcie mówi o konflikcie pamięci polskiej i litewskiej. Znalazły się na niej m.in. plakaty obu stron nawołujące do walki o miasto. Są sugestywne, wręcz brutalne, jak w pracy Petrasa Rimšy „Wyzwólmy Wilno! Zniszczmy wyzyskiwacza – warszawskiego pasożyta", przedstawiającej wielkiego karakana z godłem Polski na odwłoku niszczonego przez dezynsektora.

W Litwie idea odzyskania Wilna była przez całe dwudziestolecie międzywojenne jedną z najważniejszych kwestii, ogniskowała emocje polityczne, ale także społeczne. 9 października obchodzono jako dzień żałoby narodu litewskiego. W 1925 r. powstał Związek Wyzwolenia Wilna, a od 1932 r. przyznawano mieszkańcom Litwy symboliczne paszporty wileńskie. Władze polskie robiły wiele, by miasto było postrzegane jako miejsce, które należy odwiedzać. Jako atrakcję turystyczną? Owszem, ale przede wszystkim jako ważny punkt, w którym została zdeponowana Polska przeszłość. Wilno stało się więc miastem symbolem. Kluczowym dla litewskiej, polskiej, ale też żydowskiej tożsamości.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE / MATERIAŁ PRASOWY

REPR. GREGORY MICHENAUD / MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE / MATERIAŁ PRASOWY

Od lewej:
Petras Rimša,
plakat Wyzwólmy Wilno! Zbiórka Związku Strzelców Litewskich,
1925 r.

Bencjon Michtom,
Los Żyda (Portret Mosze Kulbaka),
ok. 1930 r.

Ludomir Sleńdziński,
Piłsudski pod Wilnem,
1927 r.

poniżej:
autor nieznany,
plakat, 1921 r.

W dwudziestoleciu podjęto szereg inicjatyw, by symbolom przywrócić dawną świetność. Odrestaurowano katedrę, Ostrą Bramę, zachodnią wieżę Zamku Górnego i zabudowania uniwersytetu. Tworzono też nowe miejsca symboliczne, jak mauzoleum serca Józefa Piłsudskiego na cmentarzu na Rossie. W II RP Wilno było szóstym miastem pod względem liczby ludności. Określano je mianem polskich Aten. Ton życiu artystycznemu nadawał otwarty w 1919 r. Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego. Jego dziekanem został Ferdynand Ruszczyc, jeden z najważniejszych twórców Młodej Polski, a wykładowcami byli m.in. Zbigniew Pronaszko czy Henryk Kuna. To w Wilnie powstało przedstawienie Jezusa Miłosiernego wykonane przez Eugeniusza Kazimirowskiego według widzeń s. Faustyny – najczęściej powielany na świecie polski obraz.

Od września 1939 r. miasto przechodzi radykalne zmiany. Po przyłączeniu do Litwy przybyło tu grono litewskich twórców – nieprzypadkowo część prac pokazanych na wystawie powstała właśnie na początku lat 40. Potem zaczyna się najpierw sowiecki, później niemiecki terror. Po 22 października 1944 r., kiedy zawarty został układ o repatriacji byłych obywateli Polski, następuje *exodus*. Wyjeżdżali również artyści. Jerzy Hoppen, Bronisław Jamontt i Tymon Niesiołowski osiedli w Toruniu, Ludomir Sleńdziński w Krakowie. Wyjeżdża też młode pokolenie – w tym Oskar Hansen i Andrzej Wróblewski, postacie kluczowe dla polskiej sztuki drugiej połowy XX wieku.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE / MATERIAŁ PRASOWY

Jednak wcześniej był Holokaust – o którym na krakowskiej wystawie tylko się wspomina. A przecież pochłonął on niemalże całe żydowskie środowisko artystyczne miasta. W polsko-litewskiej opowieści o Wilnie zabrakło odrębnego miejsca dla jednej trzeciej mieszkańców.

Po II wojnie światowej dla Polaków Wilno stało się miastem utraconym, mitycznym, wyobrażonym bardziej niż realnym. Polskiej tęsknocie, obecności tego miasta w kulturze, poświęcona jest ostatnia część wystawy. Opowiadają o tym artystki i artyści, którzy z niego wyjechali – chociaż w sztukach plastycznych nie powstały dzieła porównywalne chociażby z prozą Tadeusza Konwickiego.

Twórcom wystawy nie do końca udało się wyjść poza narodowe partykularyzmy, jednak daje nam ona niezwykłą możliwość zobaczenia tego, czym dla innych było miasto nad Wilią i Wilejką. ©

WILNO, VILNIUS, VILNE 1918-1948. JEDNO MIASTO – WIELE OPOWIEŚCI,
Muzeum Narodowe w Krakowie, wystawa czynna do 3 września br., kuratorzy: Giedrė Jankevičiūtė, Andrzej Szczerski.

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Opera La Fenice dzień po ostatnim pożarze. Wenecja, 30 stycznia 1996 r.

Jest, gdzie było

DOROTA KOZIŃSKA Z WENECJI

W operach wciąż wybuchały pożary, na zgliszczach spalonych gmachów stawały nowe, eksploatowane do granic możliwości.

Trzeci dzwonek, zapowiadający rychłe rozpoczęcie ostatniego aktu spektaklu, rozbrzmiewał dyskretnie w foyer i barach teatru La Fenice. Publiczność w odpowiedzi gasiła papierosy, dopijała drinki, kończyła rozmowy, a następnie zaczęła wchodzić na widownię". Tak zaczyna się „Śmierć w La Fenice", pierwszy z cyklu „weneckich" kryminałów Donny Leon, wydany w Polsce (w przekładzie Marii Olejniczak-Skarsgård) sześć lat po brytyjskiej premierze w 1992 r.

Powieść powstała jeszcze w latach 80., trochę dla żartu, trochę z przekory – po rozmowie autorki przyszłych bestsellerów z zaprzyjaźnionym muzykologiem, klawesynistą i dyrygentem Alanem Curtisem, któremu zamarzył się kryminał osadzony w specyficznych realiach teatru operowego. Leon zawsze była wielbicielką opery, a za sprawą Curtisa poznała ją także od kuchni, wspierając organizacyjnie i finansowo założoną przez niego orkiestrę Complesso Barocco.

Na plotki

Donna Leon mieszka w Wenecji od przeszło czterdziestu lat i nie intrygi kryminalne, lecz właśnie opisy miasta na Lagunie są głównym atutem jej książek. Wierni czytelnicy powieści o komisarzu Brunettim wolą zwiedzać „Serenissimę" z Donną Leon niż z autorami drętwych przewodników turystycznych. Dotyczy to również wizyty w legendarnej La Fenice, której atmosferę Leon oddała z pietyzmem i czułością prawdziwej operomanki, w pełni świadomej, że Wenecja była nie tylko jednym z mateczników tej formy, ale też siedzibą pierwszego publicznego teatru operowego w Europie.

W 1637 r., kiedy w mieście ruszył Teatro San Cassiano, zmieniło się wszystko: układ widowni, sposób myślenia o inscenizacji, parametry techniczne maszynerii. Na otwarcie poszła „Andromeda" – zaginiona dziś *dramma per musica* Francesca Manellego z librettem Benedetta Ferrariego, dwóch rzymian, którzy przyczynili się do późniejszego rozkwitu wystawnej opery weneckiej. Sądząc z opinii pewnego ambasadora, który doradzał zaprzyjaźnionym dyplomatom jak najczęstsze wizyty w San Cassiano i podsłuchiwanie widzów w trakcie spektakli, muzyka odgrywała w nich najmniej doniosłą rolę. Zdecydowanie ważniejsze były plotki towarzyskie oraz to, co się działo na scenie. Cudowność przedstawień nie szła jednak w parze z ich bezpieczeństwem. W operach wciąż wybuchały pożary, na zgliszczach spalonych gmachów stawały nowe, eksploatowane często do granic możliwości. Teatry przechodziły z rąk do rąk i grały dopóty, dopóki niszczejące konstrukcje zaczynały grozić zawaleniem. Fatalny stan techniczny doprowadził też do zburzenia Teatro San Cassiano przez Austriaków, którzy po upadku Republiki Weneckiej w 1797 r. nie chcieli inwestować w renowację „staromodnego" budynku.

Feniks

Ćwierć wieku wcześniej łupem ognistego żywiołu padł Teatro San Benedetto, najelegantszy i najbardziej prestiżowy z ówczesnych weneckich teatrów operowych. Skrzętnie odbudowany, stał się przedmiotem sporu między zarządcami kompanii a właścicielami gruntu, możną rodziną Venierów. Zarządcy San Benedetto sprawę przegrali i musieli sprzedać operę. Nie złożyli jednak broni: na złość wielmożom postanowili wznieść teatr jeszcze piękniejszy i bardziej okazały. Tak właśnie, jak Feniks z popiołów, powstała La Fenice – według projektu Giannantonia Selvy, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli klasycyzmu weneckiego. Nowy teatr na Campo San Fantin ruszył w 1792 r. Po czym w 1836 r. spłonął. Lecz jak przystało na Feniksa, odrodził się po kilkunastu zaledwie miesiącach.

Od tamtej pory zamknął podwoje tylko na czas Wielkiej Wojny. Poza tym działał nieprzerwanie, stawiając kolejne kamienie milowe w dziejach opery: od pierwszych inscenizacji arcydzieł Verdiego, poprzez włoską premierę Wagnerowskiego „Pierścienia Nibelunga", aż po prawykonanie jednoaktówki Luigiego Nono „Intolleranza 1960", skomponowanej na zamówienie Biennale w Wenecji.

Nikt się nie spodziewał, że w 1996 r. znów pójdzie z dymem, i to nie wskutek niefortunnego zbiegu okoliczności, lecz umyślnego podpalenia przez dwóch elektryków, których firmie groziły wysokie grzywny za opóźnienia w pracach konserwacyjnych. Historia ich procesu, późniejszych apelacji oraz ucieczki jednego ze skazanych, zakończonej ekstradycją z Meksyku, mogłaby posłużyć za kanwę niejednej opery, a może nawet kolejnego kryminału Donny Leon.

Tym razem Feniks dźwigał się z popiołów znacznie dłużej. Odrestaurowany teatr otwarto dopiero w grudniu 2003 r., koncertem pod batutą Riccarda Mutiego, rozpoczętym – jakże stosownie – Beethovenowską uwerturą „Poświęcenie domu".

Nową La Fenice zwiedzają także turyści nieczuli na wdzięki opery: żeby podziwiać pięciokondygnacyjną, kapiącą czerwienią i złotem widownię; bladobłękitny plafon przyozdobiony angielskim żyrandolem ze złoconego brązu; imponującą lożę królewską z umieszczonymi po bokach lustrami,

SEBASTIAN CHRISTOPH GOLLNOW / AFP / EAST NEWS

Donna Leon

które zwielokrotniają odbicie w nieskończoność; klasycystyczne Sale Apollińskie, cudem ocalałe z pożogi w 1836 r. i w takim kształcie zrekonstruowane po ostatnim pożarze – z bogatą dekoracją stiukową, częściowo odtworzonymi freskami, setkami lamp obwieszonych paciorkami ze szkła Murano, posadzkami z weneckiego lastriko i drewnianymi podłogami, układanymi w misterne wzory z klonowych, czereśniowych i orzechowych deszczułek. Rekonstrukcja La Fenice pochłonęła przeszło 60 mln euro i choć realizowano ją pod hasłem *„com'era, dov'era"* (tak, jak było, tam, gdzie było), w pełni udało się dotrzymać tylko drugiej części obietnicy. Niektóre materiały nie są już dziś dostępne, wiele technologii odeszło bezpowrotnie w przeszłość.

Zwiedzającym to jednak nie przeszkadza, bo efekt jest spektakularny. Lśniąca nowością La Fenice plasuje się w rzędzie najpiękniejszych teatrów świata.

Za fasadą

Szkoda tylko, że La Fenice przyćmiła blaskiem Teatro Malibran, który przygarnął pod swój dach jej zespoły po katastrofalnym pożarze. Pod tą nazwą kryje się dawny Teatro San Giovanni Grisostomo, najstarszy zachowany dom operowy w Wenecji, otwarty w 1678 r. W dziejach muzyki zapisał się jednak inną datą – 26 grudnia 1709 r., kiedy na scenę „największego, najwspanialszego i najbogatszego teatru w mieście" zawitało pierwsze operowe arcydzieło Händla: „Agrypina" z librettem kardynała Vincenza Grimaniego i primadonną Margheritą Durastanti w roli tytułowej.

Imponujący niegdyś budynek, wzniesiony według projektu Tommasa Bezziego – architekta w służbie rodziny Grimani – często umyka uwadze turystów penetrujących okolice słynnego Ponte di Rialto. Złota epoka sceny trwała stosunkowo krótko: teatr zaczął podupadać już w latach 30. XVIII wieku, przechodził z rąk do rąk, ale mimo to wciąż działał. Obecną nazwę zawdzięcza hiszpańskiej śpiewaczce Marii Malibran, która wystąpiła tu w 1835 r. jako tytułowa „Lunatyczka" w operze Belliniego. Ponoć była tak poruszona opłakaną kondycją gmachu, że zrezygnowała z honorarium i przeznaczyła całą kwotę na jego renowację. Giovanni Gallo, ówczesny menedżer teatru, w dowód wdzięczności nazwał teatr jej imieniem.

Ostatnią renowację Malibran przeszedł zaledwie cztery lata przed pożarem La Fenice. Rada miasta przywróciła teatr do stanu po przebudowie rozpoczętej tuż przed Wielką Wojną przez inżyniera Maria Donghiego, który zastąpił przygasły blichtr barokowych wnętrz stonowaną kolorystyką włoskiej secesji. Odświeżony Malibran gościł m.in. pierwsze we Włoszech występy Tanztheater Wuppertal Pina Bausch. Niestety, po powrocie La Fenice do swojej siedziby znów usunął się w cień – jako ta druga, skromniejsza scena weneckiego „Feniksa".

A przecież turystom wystarczyłoby przypomnieć inną miejscową legendę: o chińskiej księżniczce, którą Marco Polo przywiózł z sobą do Wenecji po powrocie z Azji. Wkrótce potem ruszył w bój przeciwko Genueńczykom. Wenecjanie ponieśli sromotną klęskę, Marco trafił do niewoli. Siostry podróżnika, zazdrosne o egzotyczną piękność, wmówiły księżniczce, że jej mąż nie żyje. Zrozpaczona kobieta rzuciła się z okna wprost do Rio San Giovanni Crisostomo. Jej duch wciąż się pojawia nad wodami kanału i zawodzi swój tęskny lament.

Kto wie, może ta opowieść z dreszczykiem ściągnęłaby więcej ciekawskich pod niepozorny gmach Teatro Malibran? Bo tak się składa, że teatr stoi na gruzach dawnej rezydencji Marco Polo, a w trakcie prowadzonych niedawno prac wykopaliskowych archeolodzy odkryli w fundamentach szkielet Azjatki. Przy nim zaś – szczątki złotego diademu. ©

Zatruta studnia

ANITA PIOTROWSKA

Świetny film „Bestie", luźno oparty na faktach, to nie tylko konfrontacja „miejskich wieśniaków" z „rdzennymi". To także opowieść o ksenofobii, arogancji, przemocy i braku komunikacji.

Coraz częściej powraca w kinie ten schemat: a może by tak rzucić wszystko i wieść żywot człowieka poczciwego? Czyli być samowystarczalnym ekorolnikiem, który ponad nowoczesność w domu i zagrodzie przedkłada pracę na świeżym powietrzu, a nad łatwy pieniądz – organiczną sałatę z własnej grządki. Wiadomo, że dla miejscowych, żyjących w wyludniającej się wiosce, w codziennym znoju i apatii, ktoś taki musi być bez mała szaleńcem. Albo nieznającym życia „wykształciuchem", jak Antoine i jego żona Olga – francuskie małżeństwo w średnim wieku, które swoje miejsce na ziemi odnalazło wśród przymglonych wzgórz hiszpańskiej Galicji.

Właściwie można by zamienić tamtą Galicję na każdą inną, niekoniecznie mówiącą w góralskiej gwarze. Mimo że język ma znaczenie i główny bohater na zawsze pozostanie „Francuzikiem", obcość ma tu wymiar znacznie bardziej rozległy. Wynika z innego ukorzenienia, z historycznych zaszłości, rozbieżnych potrzeb i aspiracji, czego następstwem jest dramatyczny konflikt interesów. Bo jak tu postawić na zrównoważone uprawy czy remontować kamienne domy, żeby zwabiać turystów spragnionych surowej natury i wiejskości, skoro lokalsi wolą tanio sprzedać swoje działki pod turbiny wiatrowe? I dlaczego ktoś z zewnątrz miałby im mówić, co dla nich dobre? Sytuacja przypomina trochę tę z katalońskiego filmu „Alcarràs", gdzie oglądaliśmy niewesołe, acz nieuchronne skutki modernizacji z punktu widzenia pewnej rodziny zajmującej się od pokoleń rolnictwem. W „Bestiach" owo spojrzenie pochodzi z zewnątrz, co bynajmniej nie ustanawia jedynie słusznej perspektywy. Opowieść o parze zaszczutej przez miejscowych staje się nieomal polityczna i tak zaostrzony agon musi doprowadzić do jakiejś agonii. Lecz wtedy rozpoczyna się zupełnie inne kino, z finałem wbrew wojennym regułom, a zarazem bez łatwych pojednawczych gestów.

Z początku oglądamy historię o narastającym niezrozumieniu i wzajemnej wrogości. Odkąd Antoine (w tej roli drapieżny Denis Ménochet) torpeduje wiatrakową inwestycję, rozpoczyna w gruncie rzeczy własną walkę z wiatrakami i staje się we wsi *persona non grata*. Kiedy zasiada w karczmie do gry w domino, nie chodzi mu o dominację – raczej o przekonanie miejscowych do swoich racji, a w końcu też o własny byt i bezpieczeństwo. Jednak gdy mówi się językiem tak odmiennym, dialog okazuje się niemożliwy – zwłaszcza gdy jedna ze stron od słów woli argumenty siłowe. Patrząc na wykrzywione twarze, słuchając pijackiego rechotu i poniżających komentarzy, łatwo przyznać rację właśnie jemu. Ale twórcy filmu unikają prostego przeciwstawienia światłego mieszczucha wiejskim „prymitywom". Wszak również Antoine pokorą nie grzeszy, ma w sobie gwałtowność i chwilami wręcz prowokuje tarcia, usypiając w ten sposób naszą czujność. Pomiędzy kategoriami „wróg ludu" a „jedyny sprawiedliwy" rozciąga się przestrzeń złożona z nieufności i obustronnych uprzedzeń.

Sorogoyen opowiada szorstkim, bliskim dokumentalizmowi językiem, złożonym z przetrzymanych, podbitych suspensem ujęć, bo nieuchronne od początku wisi w powietrzu. Po tym, jak Antoine, znany w okolicy z najlepszych pomidorów, traci swoje plony i odkrywa zatrutą przez sąsiadów studnię, pozostaje kwestią czasu, aż otrują mu ukochanego psa. Ten akurat ujdzie cało, jednakże raz wyciągnięta strzelba musi w końcu wypalić. I tylko zgroza w oczach Olgi, zagranej świetnie przez Marinę Foïs, pozwala przyjrzeć się na trzeźwo tej spirali szaleństwa. To jej spojrzenie – cierpliwe, acz wcale nie bierne – ostatecznie zwycięża w filmie, w którym tak naprawdę nie ma zwycięzców.

Można zapytać, na ile tytuł zezwierzęca postacie Lorena, Xana i innych mieszkańców górskiej wioski, ukazanych dość naturalistycznie i gotowych na wszystko dla garstki „dutków". Za to przywołana w prologu metafora dzikich

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
www.radiokrakow.pl

AURORA FILMS

BESTIE
(As bestas) – reż. Rodrigo Sorogoyen. Prod. Hiszpania/ /Francja 2022. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 25 sierpnia.

Rodrigo Sorogoyen (ur. 1981), hiszpański reżyser, scenarzysta i producent, szlify zdobywał w telewizji, kinie komercyjnym i w krótkim metrażu. Za 19-minutowy film „Matka" (2017), zrealizowany w jednym ujęciu, był nominowany do Oscara. „Bestie" mają na koncie ponad 50 nagród, w tym Goyę dla najlepszego filmu hiszpańskiego czy Cezara dla najlepszego tytułu zagranicznego.

koni, które najpierw trzeba siłą zakolczykować, ażeby mogły pozostać dzikie, trochę za bardzo próbuje okiełznać i oznakować sam film. Tymczasem, jakkolwiek to Antoine i jego żona padają ofiarą terroru, chwała twórcom za to, że potrafią przedstawić ów antagonizm w złożonym świetle, biorąc pod uwagę uwarunkowania zarówno charakterologiczne, jak i społeczne. Zwłaszcza klasowy resentyment mocno daje o sobie znać, kiedy podczas ostatniej wspólnej popijawy wrodzy „Francuzikowi" bracia opowiadają o swoim zdeterminowaniu pochodzeniem – owym „zapachem łajna", który naznacza i którego nie da się ukryć.

Historia napisana przez Sorogoyena wraz z Isabel Peñą mimo wszystko stara się wysłuchać obu stron i jednocześnie wpleść w ten dwugłos zupełnie inny ton, przekraczający język konfliktu. Stąd w pewnym momencie rozpoczyna się opowieść o poszukiwaniu sprawiedliwości, która nie ma nic wspólnego z odwetem, a wreszcie – historia o dojrzałej miłości, silniejszej niż upór, trwalszej niż wszelkie życiowe projekty. I przyznać trzeba, że „Bestie" jak najdalsze są od romantyzowania pomysłu spod znaku „wyprowadzka na wieś". W końcu najtrwalsze okazuje się nie przywiązanie do ziemi, ale to, co zdążyło się wytworzyć między dwojgiem ludzi. Przyjazd ich dorosłej córki, sceptycznej wobec zamieszkiwania rodziców w tak niegościnnym sąsiedztwie, na chwilę stawia pod znakiem zapytania wybory ongiś przez nich dokonane, lecz nie jest w stanie zakwestionować najważniejszego, czyli bycia w tym razem.

I jeszcze nagrana na wideo zabawna sytuacja: przyjaciel rodziny otrzymuje w urodzinowym prezencie dwie niemal identyczne czerwone kamizelki. Jedną zakupiono w okolicznym sklepie, druga zaś została przez Olgę wydziergana na drutach. Rękodzieło ma dla obdarowanego dużo większą wartość materialną i sentymentalną, zostawia je więc sobie, a drugi prezent odstępuje Antoine'owi. Jego klęska polega na tym, że chciał przekonać pasterzy, iż czysta żywa wełna jest lepsza niż tani poliamid z Chin. To, co nie udało się (na szerszą skalę) francuskiemu nauczycielowi, udaje się hiszpańskiemu reżyserowi, który z bezlitosną precyzją i zarazem bez złudzeń pokazuje cenę, jaką płaci się za autentyczność, uprzywilejowanie i kulturową odmienność. ©

Lektor:
Davos na Sycylii

▪ *Gesualdo Bufalino,*
OPOWIEŚĆ SIEWCY ZARAZY
Przełożyła Elżbieta Jogałła. Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2023, ss. 216.

Sanatorium dla gruźlików, zamknięty, duszny i lepki świat nawiedzany regularnie przez śmierć, miejsce próby, dysput światopoglądowych, miłości i przemiany... Znamy? Niekoniecznie, bo to nie Szwajcaria, a Sycylia, pacjentami położonej niedaleko Palermo Skały nie są – jak u Tomasza Manna w Berghofie – obywatele sytej Europy zmierzającej ku I wojnie światowej, tylko Włosi, którzy przeżyli II wojnę. I najważniejsze – nie ma zewnętrznego obiektywnego obserwatora, narrator to jeden z chorych: „Dotarłem tam z bardzo daleka z jednym płatem płuca zniszczonym przez zimno i głód, wlokąc od stacji do stacji, z palcami skostniałymi na żelaznym uchwycie, kuferek wojskowy, maleńką sosnową trumienkę dla moich dwudziestu lat". Jego opowieść jest emocjonalna i zarazem niezwykle wyrafinowana stylistycznie.

Gesualdo Bufalino (1920-1996), nieznany u nas dotąd pisarz włoski, Sycylijczyk, wykorzystał w tej powieści swoje doświadczenia z lata 1946. „Wymyśliłem ją i naszkicowałem – mówi w przedrukowanej w wydaniu polskim rozmowie z innym znakomitym Sycylijczykiem, swoim przyjacielem Leonardem Sciascią – koło roku 1950, a napisałem w 1971. Od tamtej chwili nie ustaję w poprawkach: aż do odbitek szczotkowych". Rozmowa pochodzi z roku 1981, bo wtedy właśnie książka się ukazała, jako powieściowy debiut sześćdziesięciolatka, bardzo dobrze przyjęty. „Widmo śmierci, dewaluacja życia i historii, wyzdrowienie odczuwane jako wina i dezercja, sanatorium jako miejsce wybawienia i czarów (ale »Czarodziejska góra« nie miała na to wpływu)" – podsumowuje Bufalino, który zresztą dopiero po wielu naciskach powierzył rękopis wydawcy i – jakby niepewny bystrości czytelnika – opatrzył go „Instrukcją obsługi".

Dezercja? Istotnie, niemal wszyscy bohaterowie opowieści umierają, także mefistofeliczny stary lekarz zwany Wielkim Chudzielcem i ojciec Vittorio, kapelan wojskowy, przyjaciel i partner dyskusji religijnych. Niemal na rękach narratora umiera jego miłość, piękna tancerka Marta. Dopiero potem pozna jej prawdziwe nazwisko: Levi, i w opowieści pojawi się cień żółtej gwiazdy...

Mamy więc po polsku nowego pisarza – równocześnie w łódzkiej Officynie opublikowano w przekładzie Haliny Kralowej jego „Kłamstwa nocy", nagrodzone w 1988 r. Premio Strega. Pozostaje tylko czytać! ©℗

OLGA

Drenda:
Aplikacja Znana Niegdyś Jako Twitter

„Nazywam się X. Wiem, czego chcę. Kiedy jestem głodny, jem, kiedy chce mi się pić, piję Sprite", głosiła telewizyjna reklama napoju gazowanego z lat 90. Agencje reklamowe i marki starały się wyciągnąć jak najwięcej z chwytliwego hasła „generacja x", zapożyczonego z książki Douglasa Couplanda, podsuwając produkty wyluzowanej (i sceptycznej wobec konsumowania) młodzieży. Ówczesne marki jedną ręką czerpały z nadal modnego stylu grunge, a drugą z wizji zbliżającego się nowego milenium i wielkiej obietnicy – internetu. Litera X była tajemnicza, była nowoczesna, była na luzie. Była – uwaga, słowo z lat 90. – *cool*.

Mniej więcej w tym samym czasie pewien genialny artysta, a zarazem megaloman, ogłosił się symbolem nadchodzącego tysiąclecia. Z tej okazji zmienił swoje sceniczne imię – z Prince'a na... niemożliwy do przekazania w druku symbol, łączący w sobie znak pokoju, Marsa i Wenus. Rozmach przedsięwzięcia uwiądł, gdy prezenterzy radiowi i prasa muzyczna z braku lepszych sposobów zaczęli używać sformułowania „Artysta Znany Niegdyś Jako Prince".

Te dwa wątki przypomniały mi się w związku z Aplikacją Znaną Niegdyś Jako Twitter. Zabójca niebieskiego ptaszka, Elon Musk, jest miłośnikiem litery X – już w 1999 r. wykupił domenę x.com dla swojej firmy, która weszła w skład PayPal. Teraz reaktywował ten pomysł, przemianowując Twittera. Ma być to pierwszy krok do stworzenia aplikacji do wszystkiego – komunikacji, płatności, tworzenia treści i zarabiania na nich (powszech.net/x).

„Nie ma jutra bez komputra", ale lepsze jutro było wczoraj.

OLGA DRENDA

Elon Musk musi wierzyć, że siłą swojej charyzmy potrafi uczynić literę X znowu *cool*. Niestety, X przywodzi na myśl wiele rzeczy, ale nie cokolwiek, co jest faktycznie *cool*. Jest antynowatorska. Jest nijaka. Jest pójściem po linii najmniejszego oporu. Problem w tym, że to już było – tysiąc napojów energetycznych, wafelków, dezodorantów i pizzerii skorzystało z tego samego patentu. „Użyjmy litery X! To znaczy, że jest eXtremalna, eXtra, w rozmiarze XL i na maXa!".

Odruchowe skojarzenie ze stronami internetowymi dla dorosłych czy logo – znak z systemu Unicode, który w powiększeniu kojarzy mi się z wodą kolońską ze średniej półki cenowej, to najmniejszy problem. Znacznie większym jest fakt, że nowe technologie powinny uruchamiać wyobraźnię w kierunku przyszłości, a nie przyszłości, która miała zaistnieć w 1999 r., ale się nie udała.

Ale za wielkim ego i arogancką gadaniną Muska kryje się, jak podejrzewam, nieuleczalny nostalgik z generacji X. Jego inne przedsięwzięcia to próby realizacji pomysłów podszeptywanych przez *science fiction* – niekoniecznie użyteczne, ale w podjęciu tych wyzwań, choćby daremnie, jest z pewnością coś ciekawego. Załogowy lot na Marsa to pomysł wręcz dla tego gatunku kanoniczny, a wszczepianie implantów do mózgu to wizja wybitnie z lat 90., a dokładniej z filmu „Johnny Mnemonic". Była partnerka życiowa Muska, Grimes, obecnie przeobraża się najwyraźniej w nieznaną postać z gry „Final Fantasy VIII" (oczywiście wyprodukowanej w roku 1999). I śpiewa o tym, że chciałaby być oprogramowaniem. To właśnie pasja dla przestarzałej wizji cyberprzyszłości zapewne zbliżyła ich do siebie – na tyle, że nazwali wspólne dziecko X Æ A-12.

Nowa wizja Aplikacji Znanej Niegdyś Jako Twitter pod postacią „wszystkomającej" sieci w sieci może być próbą odtworzenia internetu takim, jak widziano go w 1999 r.: jako pirackiej przestrzeni wolności wypowiedzi i przedsiębiorczej inicjatywy. „Będziesz mówić, co chcesz, a cenzurować nie będziesz nigdy" – tak brzmiało pierwsze przykazanie internetu według Toma Mandela, założyciela Well, pierwszej znaczącej społeczności internetowej.

Sama tęsknię za takim wolnym od nadmiernej moderacji internetem i jestem przywiązana do zaufania, jakie niegdyś pokładano w samorządności i autonomii. Jednocześnie wiem, że pod rządami jednego człowieka swoboda taka musi pozostać symulowana, bo jej granicą jest opłacalność – dlatego deklarowana wolność słowa kończy się tam, gdzie zaczyna się np. komentowanie wyborów w Turcji. Przyszłość Twittera wyobrażam sobie więc jako rodzaj prywatnego parku rozrywki, w którym można pobawić się w niby-libertariański raj, ale zależny od widzimisię kapryśnego cesarza (nie mówiąc o tym, że skoro nawiązujemy do wizji przyszłości, to pierwsze skojarzenie z parkiem rozrywki brzmi „Westworld"). O ile oczywiście ta wiara we własną wszechmoc nie zakończy się dla Elona Muska podobnie jak dla Prince'a, który, otrzymawszy nauczkę, wrócił koniec końców do dawnego imienia i zaczął grać dobry, klasyczny funk. ©

PAWEŁ

Bravo:
Dobro w sprzeczności

Dwa razy więcej kosztowały parówki w dobrze znanej naszym oszczędnym podróżnikom sieci dyskontów Penny Markt. Podobnie żółty ser typu maasdamer, zamiast 2,49 euro kosztował 4,84. Cena organicznej mozzarelli podskoczyła tylko nieco mniej – z 0,89 do 1,55 euro. Zdrożał również jogurt, a nawet – odrobinę – wegańskie sznycle. (Zauważmy na marginesie, że cena podstawowa obu serów jest po przeliczeniu na złotówki podobna, a nawet nieco niższa od tej, jaką płacimy w tutejszych rzekomo tanich sklepach, mając niepomiernie chudsze portfele).

Ale tu nie o Polskę czy Niemcy chodzi, lecz o całą ludzkość i planetę. Oto bowiem sieć (ponad 2 tys. sklepów plus drugie tyle pod wyższą marką Rewe – krótko mówiąc, mastodont detalu) postanowiła pokazać klientom, ile powinno ich kosztować najzwyczajniejsze jedzenie. Wybrano dziewięć produktów, a współpracujące z projektem uczelnie oszacowały z jaką taką dokładnością ukryte koszty związane z ich produkcją, przetworzeniem i dostarczeniem na półki. W przypadku sera na dodatkowe 2,85 euro prawdy składało się m.in.: 85 centów za emisję gazów cieplarnianych przez krowy, 76 centów jako cena zużycia i degradacji ziemi pod hodowlę, 63 centy – ekwiwalent szkód dla zdrowia u rolników pracujących z pestycydami, 10 centów za skażenie wód gruntowych nadmiarem nawozu. Koszty zazwyczaj przerzucane na nie wiadomo kogo – trochę na budżet finansujący środki zaradcze, trochę na potomność, trochę na pechowych mieszkańców krajów dostatecznie dalekich, byśmy nie widzieli, jak muszą paskudzić środowisko.

Całą górkę zarobioną na dydaktycznym eksperymencie Penny przekaże fundacji wspierającej rodzinne gospodarstwa hodowlane w Alpach. Potrzebują wsparcia, bo w dzisiejszych warunkach są, rzecz jasna, ekonomicznie niewydolne, jak większość gospodarstw w Europie. To zresztą żadna nowość – już lud Izraela usłyszał na górze Synaj (por. Kpł 25), że raz na pięćdziesiąt lat w roku jubileuszowym musi nastąpić „reset" własności ziemskiej, co nasz zeświecczony umysł interpretuje jako bezpiecznik zapobiegający wzrostowi nierówności, które musiały się pojawiać przy nisko rentownej i podatnej na silne wahania produkcji rolnej. Rozmaite więc korekty mechanizmów wymiany dóbr, wyrównania i dopłaty są, można by rzec, stare jak świat. Podobnie jak ścisła reglamentacja tego, co jeść należy, a czego ruszać nie wolno, bo się to kłóci z wyższą racją. Kiedyś metafizyczną, dziś poddaną rygorowi naukowego badania skutków środowiskowych.

Chociaż z tym rygorem bywa różnie, bo wiele jest rozmaitych zmiennych, tworzących gęstą, pokrzyżowaną siatkę ekologicznych powinności. W badaniu towarzyszącym eksperymentowi (Penny nie pożałowała na ten piękny *greenwashing* i zleciła także sondaże) tylko 16 proc. respondentów deklarowało zamiar kupowania produktów z „prawdziwą" ceną. Nie dziwię się, bo dobrowolny finansowy wysiłek ponosimy (jeśli nas w ogóle stać) tylko, gdy równoważy go poczucie, że robimy coś dobrego. Dla siebie, dla bliźnich, dla zwierzątek, dla planety.

Okazuje się jednak, że te różne dobra, poza tym, że trudno mierzalne, są nieraz ze sobą w konflikcie. Rolnictwo tzw. ekologiczne, którego ma być coraz więcej, jest, owszem, dobre dla bioróżnorodności, ale w skali makro (a nie w skali przydomowego krzaczka pomidorów nawożonego kiszonką z pokrzyw) zużywa więcej lądu, zostawia ślady „organicznych" środków ochrony (które nie pozwalają precyzyjnie dawkować obecnej w nich trucizny) i miewa ślad węglowy obciążony ukrytymi składowymi – np. mączką mięsno-kostną, będącą jednym z ważniejszych nawozów ekorolnictwa. Nie wnikajmy, bo to przykre opisy, skąd mianowicie wzięły się zwłoki, z których pozyskuje się flaki, skórę i kości. Nie z Księżyca, to na pewno. Zresztą wiele płodów ziemi miałoby istotnie niższy ślad węglowy, gdybyśmy przestali się opierać GMO (ten opór to kuzyn fobii antyszczepionkowej) i zgodzili na tzw. precyzyjne rolnictwo, wymagające kapitału, inżynierii i komputerów.

Za dużo sprzeczności jak na jeden poczciwy rozum. Nie oznacza to zwątpienia, iż ktoś to lepiej rozumie, może nawet w całości, i że jest nad tym jakieś jedno wielkie Dobro. Sensownym wyjściem jest akt parareligijnej wiary – bez arcykapłanów – w ogólny nakaz powściągliwości w korzystaniu z dóbr przez małe „d". I nadziei, na przekór apokalipsom z pierwszych stron gazet.

©℗

OLEPESHKINA / ADOBE STOCK

Końcówkę lata (odleciały jerzyki, dla mnie to już jesień) warto wykorzystać na potrawy, w których ważną rolę odgrywają świeże zioła, mające teraz krótkie apogeum aromatu. Na przykład toskańskie gnudi, czyli „gołe" kluski (gołe, bo to jakby farsz z ravioli bez ravioli). Mieszamy ok. 200 g ricotty (dla krakusów: na Kleparzu na stoisku Magdalenki jest pyszny „ser serwatkowy") z ok. 200 g szpinaku, ugotowanego, mocno odciśniętego i posiekanego. Dodajemy 4 łyżki parmezanu, sól i gałkę muszkatołową, 1 jajko, mieszamy i dosypujemy tyle tylko mąki, żeby dało się z masy kleić kulki. Wrzucamy je na osolony wrzątek, gotujemy do wypłynięcia, przerzucamy bardzo delikatnie na dużą patelnię, na której uprzednio poddusiliśmy w sporej ilości masła listki szałwii – nie podam wam ilości, bo dla mnie nie istnieje takie pojęcie jak nadmiar szałwii.

ZMYSŁY

ZDJĘCIA URODZINOWE

WOJCIECH PLEWIŃSKI, FOTOGRAF:

Pod wodą następuje maksymalna koncentracja. Każdy ułamek sekundy ma ogromną gęstość. Skondensowane przeżycie, za którym się tęskni i które się śni.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Ile wykonał Pan autoportretów?

WOJCIECH PLEWIŃSKI: Pięćdziesiąt pięć. Nie wszystkie wykonałem sam, czasami ktoś inny trzymał aparat. Na jednym zdjęciu wychodzę z groty jak małpa, na innym wynurzam się z jeziora jak potwór z Loch Ness. A zaczęło się w roku 1966. Postanowiłem, że w dzień urodzin każdego kolejnego roku będę robił sobie zdjęcia z przodu, z boku, z tyłu.

Jak do policyjnej kartoteki?

Katalogowo, dokumentacyjne. Chciałem odnotować fizyczną degrengoladę człowieka, który nieuchronnie podlega procesowi starzenia się. Gdy zaczynałem ten cykl, wydawało mi się, że pociągnę co najwyżej do siedemdziesiątki. Maksimum: siedemdziesiąt dwa. Dalej moja wyobraźnia nie sięgała. A jeśli dożyję, to 31 sierpnia skończę dziewięćdziesiąt pięć lat. I zrobię sobie pięćdziesiąte siódme zdjęcie.

Kiedy patrzę na Pana, ostatnim słowem, które przyszłoby mi do głowy, jest „degrengolada".

Możemy iść do mojego gabinetu, to pani pokażę ten cykl, który nazwałem „Urodzinowe". Tylko ostrzegam: na tych zdjęciach jestem kompletnie nieubrany. To są akty. Ze wstydem to ja mam właściwie małe kłopoty. Jako płetwonurkowie na wakacje jeździliśmy ze znajomymi do Chorwacji czy Grecji i non stop – miesiąc, półtora, dwa – po obozowisku chodziliśmy nadzy. Nikomu to nie przeszkadzało. Kiedy obok naszych namiotów przechodziła ubrana dziewczyna, to wszyscy gapili się w zadziwieniu, jak na przybyszkę z innej planety. ↦

WOJCIECH PLEWIŃSKI (ur. 1928) jest fotografem. Przez 45 lat związany z tygodnikiem „Przekrój" (ponad 500 okładek) i z teatrami (ponad 800 fotografii). Portrecista i reportażysta. W 2011 r. ukazał się jego album „Szkice z kultury" – portrety ludzi sztuki i kultury oraz wybór zdjęć teatralnych. Autor wspomnień „Migawki" (Znak 2016). Pod adresem wojciechplewinski.com można oglądać wirtualną wystawę prezentującą jego najciekawsze dokonania. Składa się na nią 13 cykli (od 1957 do 2003 r.) wybranych z gigantycznego dorobku. Mieszka w Krakowie.

GRAŻYNA MAKARA

↦ **No dobrze, ale jak Pan to robi, że tak świetnie wygląda?**

Dzień w dzień ćwiczę. Widzi pani tę matę? I te dwuipółkilogramowe hantle? Robię szereg ćwiczeń na ręce – takie, śmakie. Potem kładę się i wykonuję ćwiczenia rozciągające. Do tego rozmaite brzuszki itp., itd. 25 minut, góra pół godziny. Uzależniłem się od tego psychicznie i fizycznie. Jeśli dwa, trzy dni jestem w podróży i nie mogę ćwiczyć, to czuję się kompletnie rozwalony.

Co oprócz ćwiczeń?

Teraz kije. Chodzę na czterech nogach. Staram się zrobić dziennie około czterech kilometrów. Jeśli jestem w Rożnowie, gdzie bywam raz na jakiś czas od kilkudziesięciu lat i gdzie nie ma niczego równego, tylko wszystko krzywe, to z kijami wchodzę także do wody. Ostatnio popływałem w masce z fają. Patrzę w dół i obserwuję układ dna. To tak, jakby szybować nad górskim pejzażem.

Pływa Pan od dziecka?

Mój ojciec świetnie pływał, zrobił uprawnienia, miał biały czepek z czerwonym pasem. Co oznaczało, że mógł pływać wszędzie. W roku 1938 spędzaliśmy wakacje w Siemakowcach, w majątku powinowatej ciotki. I chodziliśmy nad Prut. Tam było zakole – dość spora głębia. Ale nurt spokojny. Ojciec moją siostrę Bożenę uczył pływać: stali w jednym miejscu, on ją trzymał w pasie, w pewnym momencie puszczał, ona piszczała. A ja próbowałem podpłynąć do nich rozpaczliwym pieskiem – wynosiło mnie na brzeg, wychodziłem, lecz kamienie, kiedy świeciło słońce, były do tego stopnia rozpalone, że skakałem po kępach trawy i wysepkach piachu, by dobiec z powrotem do wody. W ten sposób potrafiłem bawić się w nieskończoność. Kiedyś ojciec z Bożenką poszli na jeszcze głębszą wodę, a ja ich opłynąłem w kółko. I to był mój egzamin pływacki.

Miał Pan 10 lat.

A po wojnie zaczęły się kajaki. W roku 1946, wracając z harcerzami ze zlotu młodzieżowego w Szczecinie, zatrzymaliśmy się we Wrocławiu. I z kolegami zawędrowaliśmy do przystani poniemieckiej. To były dwie gigantyczne hale, gdzie na regałach stały kajaki składaki. A na podłodze leżały luzem kajaki gumowo-płócienne. Do jednego nawet wlazłem, zasnąłem kamiennym snem. Po pewnym czasie wróciłem tam i zabrałem, według mojej oceny, najlepszy kajak: składak firmy Kette. I na tym kajaku popłynąłem Dunajcem. A tam stare repy – wtedy tak się mówiło na międzywojennych kajakarzy – kiedy zobaczyli mnie w tym kajaku, mówią: „Pan wie, co ma? To świetny sprzęt. Kiedyś nasze marzenie".

Okazało się, że Kette to było nazwisko Niemca, fabrykanta mebli giętych. Ten człowiek zachwycił się kajakarstwem. W rezultacie zaprojektował i wyprodukował kajak, który wewnątrz miał dużo miejsca, co dawało i pojemność, i łatwość pakowania. Sam Kette był potężnym facetem z wielkim brzuchem, zapewne jego gabaryty musiały wpłynąć na formę kajaka. Kette długo mi służył, pływałem nim jeszcze na początku lat 60.

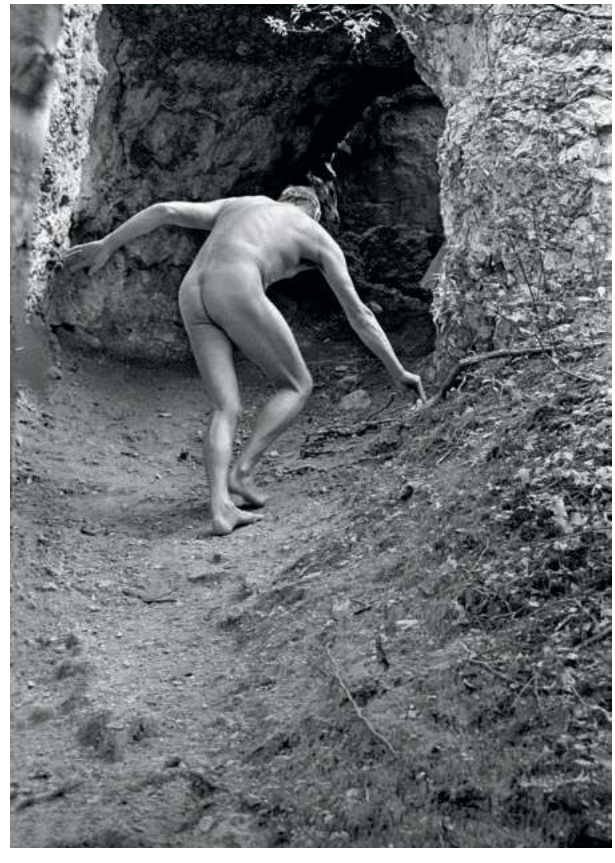

ARCHIWUM WOJCIECHA PLEWIŃSKIEGO X3

...nie wszystkie wykonałem sam, czasami ktoś inny trzymał aparat. Na jednym zdjęciu wychodzę z groty jak małpa, na innym wynurzam się z jeziora jak potwór z Loch Ness.
POWYŻEJ*: Dzień urodzin, 1985 r.*

Na jakich rzekach?

Brda i Wda. Wisła, ale ten odcinek do Sandomierza, on jest najciekawszy. Bo w sumie Wisła jest nudna i brudna, a przede wszystkim za szeroka. Były też Czarna Hańcza, Nida, Biała Nida, Czarna Nida. A najpiękniejsze są rzeki wschodnie: Biebrza i Narew. Dzikie, meandrujące, w latach 50. i 60. mocno zarybione. I ludzie tam serdeczniejsi, bardziej otwarci.

W Krakowie w tamtych latach stworzyło się mocne środowisko kajakowe. Ton nadawali kajakarze przedwojenni. Były możliwości: wojna miasta nie zniszczyła, można było oddać się kajakowaniu. W przeciwieństwie do Warszawy, gdzie ludzka energia szła na jej odbudowę.

Z kim Pan pływał?

W różnych konfiguracjach towarzyskich dziewięć razy płynęliśmy Dunajcem. Jeździliśmy na raty. Ktoś prowadził auto, potem się wsadzał na jakiś odcinek do przepłynięcia, dalej znowu wsiadał i odbywała się zamiana: ktoś inny płynął, a ten siedział za kierownicą.

A na Mazurach byłem z Janem Józefem Szczepańskim, jego też ogromnie cieszyła woda. Jan był dobrze zbudowany, opanowany, wytrwały. Bo już dla Jerzego Turowicza kajakowanie to był inny świat. W sierpniu 1956 r. zrobiliśmy razem spływ kajakowy po jeziorach mazurskich. Odnosiłem wrażenie, że Jerzy, milczący i łypiący spod oka, właściwie zniża się

Kraków, 1965 r.

Adriatyk, 1969 r.

do naszego rozentuzjazmowania wodą. On preferował wypoczynek z książką.

A nurkowanie?

W pewnym momencie wyparło resztę sportów.

Zaczęło się w Rożnowie z początkiem lat 50. Należałem do Klubu Turystyki Podwodnej, prawdopodobnie pierwszego w Polsce klubu swobodnego nurkowania. Wynajmowaliśmy basen i ćwiczyliśmy przedmuchiwanie nosa czy nurkowanie na bezdechu. Potem było Jezioro Rożnowskie. Jak schodziłem pięć metrów, to byłem kompletnie wypruty. Dalej progiem było dziesięć metrów. A po dwóch tygodniach uznawałem to za płyciznę – granicę wydolności organizmu da się przesuwać. Ważne jest i to, by pokonywać strach, który pod wodą stanowi barierę. Zazwyczaj schodziłem do osiemnastki. Rekord życiowy to dwadzieścia pięć metrów, ale to już w akwenach ciepłych, gdzieś w Grecji czy dawnej Jugosławii.

Skąd w latach 50. brało się sprzęt?

Kombinowało się. Wówczas nie było namiotów, tylko płachty z demobilu. Lub niemieckie panterki z dziurką na maszt. A materac robiliśmy w ten sposób: szyło się dwuwarstwowy worek z przeszytymi kanałami na całej długości. W te kanały wkładało się dętki rowerowe, pompowało, dało się na czymś takim wyspać.

Jestem pod wrażeniem.

Piankę sprowadzaliśmy najczęściej z Wiednia. Umawialiśmy się w kilka osób i kupowaliśmy całe jej bele – szerokie płachty z wyściółką. Mieliśmy formy do konstrukcji kurtek i portek. Sami to wycinaliśmy, kleiliśmy, sprawdzało się pod wodą, jakieś pozostałości plączą się nadal po domu.

Później zaczęliśmy jeździć za granicę, można tam było coś skompletować ze sprzętu. Lecz same przygotowania do takiej eskapady ruszały kilka miesięcy wcześniej. Gromadziliśmy wszystko to, co wiedzieliśmy, że się przyda: od sznurka, przez zapasy benzyny, po menażki, palniki, weki. Liczyliśmy, ile jajek dziennie zużyjemy. Trzeba było od chłopa kupić świeże, co za komuny nie było proste. I dalej wiozło się je w upale tysiąc kilometrów autem bez klimatyzacji. Opracowaliśmy technikę ochronną: gromadziliśmy tekturowe wytłoczki na jajka oraz czarny papier z opakowań papieru fotograficznego. Każde z osobna jajo zawijało się w gazetę, wkładało się do wytłoczki i raz jeszcze zawijało papierem fotograficznym.

Za granicą nawet kawa w kafejce nie była na nasze kieszenie. I to było coś! Przygoda na łonie natury wymagała wysiłku. Kapitalizm to zniszczył.

To argument za tym, że za komuny bywało przyjemnie?

Te wszystkie wyprawy to było odcięcie się od PRL-u, ucieczka w świat, gdzie nie rządzi ideologia, partia, towarzysze. Kompletnie nas to tam nie obchodziło. Im gorzej, tym lepiej, im trudniej, tym intensywniej. Cieszyliśmy się każdą znalezioną muszlą, każdym widokiem, każdym wschodem słońca, każdym zejściem pod wodę, każdą zobaczoną rybą. Ten stan ducha trudno wytłumaczyć dzisiejszym ludziom, którzy znają tylko świat otwartych granic i mają na koncie bankowym wystarczające środki, by pojechać, kiedy chcą, gdzie chcą i na jak długo chcą. A wtedy, kiedy myśmy na zachodnie wybrzeża przypływali marną łódką, obok której cumowały luksusowe jachty, to nie było w nas grama zazdrości. Prawdę powiedziawszy, nabijaliśmy się, że zagraniczniacy na pokładzie mają nawet kucharza. Poza tym myśmy już wtedy sprzątali po sobie, nie hałasowaliśmy, byliśmy ekologiczni.

I dlatego wyjątkowi?

Czuliśmy się bohaterami, którzy wywalczyli swoje szczęście. Naszym atutem było to, że potrafiliśmy się z każdym dogadać. Nieraz przecież biwakowaliśmy na dziko, byliśmy na celowniku wszelkich służb porządkowych. Kiedy jeździliśmy do Jugosławii, jeszcze rządzonej przez Tito, ↦

↦ mieliśmy bardzo dobre układy z tamtejszą milicją, która przymykała na nas oko. A trzepała hardych i bezczelnych Francuzów, którzy nie umieli negocjować jak Polacy. Jak to robiliśmy? W obozowisku mieliśmy przygotowaną kawkę, ciasteczko, stołeczek, stoliczek i leciała gadka z mundurowymi. O czym? Oczywiście o partyzantach. To działało zawsze. Ty partyzant, ja partyzant, my bili Germańca i wy też.

Zawód fotografa wymaga cech sportowca. Kondycja, wytrzymałość, sprawność są tu przydatne. No i refleks.

Ciekawi mnie ta wspomniana marna łódka.

Orka 2. W latach 70. marynarka wojenna podarowała ją Klubowi Turystyki Podwodnej. To była łódź – długa, płaskodenna, podszyta wyjątkowo odporną sklejką – stworzona do desantu na Normandię w trakcie D-Day. Ze Szczecina mieliśmy ją przetransportować do Splitu. Lecz okazało się to trudne: łódź nie mieściła się na lorach i na miejsce płynęła okrężną drogą. A myśmy dwa tygodnie jak durni czekali na koszmarnym kempingu znajdującym się na terenie miejskiego parku. Ale jak już dopłynęła, przebudowaliśmy ją i od tego momentu zaczął się prawdziwy wodny czas z rozmaitymi przygodami.

Opowie Pan?

Nie wiem, czy pani chce tego słuchać, bo to mrozi krew w żyłach.

Tym bardziej.

Działo się to na wodach otaczających wyspę Brač. Z naszej Orki widzimy łódeczkę, a w niej miejscowego rybaka i zapłakaną panią z dwójką dzieci. Podpływają do nas i pytają, czy pomożemy szukać męża tej pani. Okazało się, że to byli naukowcy z Uniwersytetu Wiedeńskiego, prowadzili badania nad roślinnością przybrzeżną. Z butlami nurkowali razem – pod wodę nie wolno schodzić samemu, to sprawa bezpieczeństwa. Tego dnia panią rozbolała głowa, coś nie tak też było z ustnikiem, wynurzyła się, mąż sam został pod wodą z powietrzem na 20 minut. A od rozstania minęła godzina. Skrzyknęliśmy się, bierzemy się do działania, przeczesujemy teren – na bezdechu schodzimy 10 metrów. W pewnym momencie jeden z kolegów macha ręką, daje znak, że znalazł. Podpływamy. On mówi, że na głębokości 40 metrów widzi nogę z cytrynowo-żółtą płetwą sterczącą w górze, reszta ciała znikła w skałach. Ten kolega założył butlę i zdecydował się zejść po mężczyznę. Kolega nie był widoczny, to jednak głębina. W pewnym momencie zobaczyliśmy, że holuje człowieka. Zanurkowałem na 15 metrów, chciałem pomóc, woda przecież stawia opór. Widzę, że z ust tego człowieka idą bańki. Błysk nadziei: żyje. Ale równocześnie chwytam go za rękę i czuję, że jest sztywna, nie da się już jej odgiąć. Te bańki to było powietrze, które wydobywało się w wyniku dekompensacji – usuwania gazów. Wyciągnęliśmy trupa, położyliśmy na deku Orki, nakryliśmy prześcieradłem, białą flagę spuściliśmy na pół masztu, co oznacza żałobę.

Nie zapaliła się Panu czerwona lampka?

Nurkowałem z grupą ludzi nieustannie nastawionych na ryzyko. Ryzyko zaczynające się od tego, ile pod wodą wytrzymam na bezdechu. Nurkowanie jest jak narkotyk.

Tak uzależnia?

Pod wodą następuje maksymalna koncentracja. Każdy ułamek sekundy ma ogromną gęstość, skondensowane przeżycie. To, co podwodne, bije na głowę wszystko to, co nadwodne. Za tym się tęskni, to się śni.

Śni?

Jak sen na jawie wygląda pod wodą samo przewrócenie się do góry i patrzenie na powierzchnię – srebrną i rozmigotaną blachę rozpościerającą się nad człowiekiem. Są skały, uskoki, wgłębienia, zakamarki. I groty z „gotyckimi" sklepieniami, uwielbiam je zwiedzać. Kiedyś w nocy z latarką poszedłem głęboko w dół. Zauważyłem poziomą szczelinę – przestrzeń pod ścianą. Chcę zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Wpływam w czarną czeluść, po jakimś czasie chcę wracać, ale nie wiem, jak daleko do wyjścia groty. Najpierw panika, potem opanowanie – jeszcze mogłem z maski pociągnąć pół oddechu. Płynę, płynę, płynę, w końcu widzę, że skała załamuje się pod kątem, więc ładuję w górę i dociera do mnie, że nie uda mi się dotrzeć na powierzchnię. To klasyczny błąd: doświadczeni nurkowie nie giną na dole, tylko na ostatnim metrze, jeśli nie zdążą wypluć fajki i złapać haustu powietrza. Mimo że byłem zamroczony, wypłynąłem, złapałem oddech.

Naprawdę warto tak ryzykować?

A wie pani, ile to adrenaliny? Ile zwrotów akcji? Ile przygód? Pod koniec lat 70. przeszedłem poważną operację kręgosłupa, pod znakiem zapytania stanęła moja pełna sprawność. Uznałem, że powinienem teraz z życia skorzystać maksymalnie. I wziąłem udział w wyprawie nad Morze Czerwone. A tam rafa koralowa – ściana kolorów, bajeczna mozaika, pełna ukwiałów. Przy brzegu widać jej szczyty.

A nasz Bałtyk?

Zimny, mała przejrzystość, piaszczyste dno – kiedyś z dużą ilością wraków. Mnie to nie pociąga. Wolę dziwne formy skał i bogactwo przyrody.

Czyli ten Rożnów?

Kiedyś pływały w nim leszcze, szczupaki, karpie. Pewnej nocy schodzę pod wodę z latarką i widzę przewróconą brzozę z cieniutkimi gałązkami, na których w różnych pozach wisi sześć, siedem węgorzy. Srebrzą się w świetle latarki niczym łańcuch na świątecznej choince. I nagle, w ułamku sekundy, spadają i znikają w głębinie.

Inne podwodne spotkania?

W Grecji z jednej strony ja opływałem blok skalny, a z drugiej strony to samo robiła foka. W pewnym momencie zderzyliśmy się pyskami. Oboje znieruchomieliśmy. Ona śliczna: eleganckie wąsiki i przenikliwe oczy. Po sekundzie

ARCHIWUM WOJCIECHA PLEWIŃSKIEGO

Mazury, 1981 r.

prysnęła. W czasie tego samego pobytu zobaczyłem z łódki duże stworzenia, prawdopodobnie walenie. Zgasiłem motor, chwyciłem za maskę i płetwy, dałem nura. Wielkie stworzenia, trzy, cztery metry długości, spłaszczone pyski, brzuchy białosrebrne. Jedno z nich zawróciło, spojrzało mi w oczy, przeszły mnie ciarki, mogło mnie przecież potraktować zupełnie inaczej.

Albo taka sytuacja: rano, po obudzeniu, natychmiast chlup do wody i w płetwach i masce z fają płynę wzdłuż brzegu. Ciach, ciach, ciach, a tu widzę, że kontrkursem, minimalne głębiej, sunie płaszczka. Ogromna manta z falującymi płetwami i trującym kolcem. Obłędnie piękna, z gębusią jakby się uśmiechała. Robimy rundkę oglądając się wzajemnie.

Wodne sporty zdominowały pozostałe?

Było też żeglarstwo i windsurfing.

Ale i wspinaczka oraz rajdy samochodowe. Raz balonem leciałem – w górze panuje kompletna cisza, w której wybrzmiewa każdy najdalszy dźwięk z dołu, włącznie z szuraniem po ziemi łańcuchem, na którym pies jest uwiązany do budy, czy podniesione głosy kłócących się małżonków w domu.

A w latach 70. i 80. biegałem. Teraz wszyscy to robią, wtedy nikt. Mieszkałem wówczas przy Senatorskiej, robiłem trasę wzdłuż Rudawy i Błoń. Nawet stan wojenny mnie nie powstrzymał. Raz jest późny wieczór, trwa godzina milicyjna, biegnę prosto na patrol, który rozstępuje się bez słowa i przepuszcza mnie dalej. W sumie miły obraz. To moje bieganie ówczesne zastąpiły wspomniane kije.

A w latach 90. zaczęło się wariactwo z rowerami górskimi, często jeździłem na wyprawy w Pieniny. I szkoda, że bardziej nie przyłożyłem się do nart, powinienem je szlifować. Byłem amatorem, nie ukończyłem żadnego kursu. Zaczynałem na bosych nartach – nieokutych. Narciarstwo dynamicznie się wówczas rozwijało, a związane to było z udoskonalonymi butami, techniką wiązania i bezpieczników. W pewnym momencie przestałem to śledzić.

Kiedy Pana słucham, zastanawiam, kiedy Pan miał czas, by zrobić tych kilka tysięcy zdjęć.

A ja się zastanawiam, dlaczego jeszcze bardziej nie oddałem się sportom. Tego trochę żałuję.

Serio?

Zszywałem życie z kawałków. I zawsze najważniejszy był plan wyjazdu, to mnie trzymało w garści. Jednocześnie musiałem wywiązywać się ze zobowiązań zawodowych. Te dwie płaszczyzny zachodziły na siebie. Emocjonalnie istotniejsze były podróże i sporty, ale równolegle mrówczą robotę wykonywałem w ciemni, pochłaniającej masę czasu. Istotne jest i to, że zawód fotografa wymaga cech sportowca. Kondycja, wytrzymałość, sprawność są tu przydatne. Prawdę powiedziawszy, popisywałem się, kiedy robiłem zdjęcia w teatrze. Scena jest dość wysoka. Kładę na niej ręce i hop – jednym susem – jestem na górze. Wszyscy inni – dyrektorzy, reżyserzy, kompozytorzy – drepczą naokoło. W fotografii chodzi o refleks. Trzeba działać szybko, by znaleźć się w optymalnym miejscu. I mieć dobry kadr – zdążyć uchwycić najlepszy moment.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Upadek w dezorientacji

Zacząć wypada od sprawy tkwiącej nam w głowie od czasów bez mała szkolnych. To dość żałosna fantazja, by mianowicie imię Hamlet pisać przez „ch". Jest to, każdy przyzna, psikus bardzo żałosny, zupełnie bez powabu, jest to po prostu rodzaj uczniowskiego żarciku, zupełnie nieśmiesznego, nieoryginalnego, wymyślonego po nic, bo nawet nie po to, by rozzłościć panią od polskiego. Nie ma chyba pani od polskiego, która by dała się „Chamletem" sprowokować do wezwania na dywanik tzw. opieki domowej. W dzisiejszych czasach wystawiono by nam raczej zaświadczenie medyczne, dzięki któremu moglibyśmy sobie bezkarnie pisać, jak chcemy, do końca naszych dni. Gdyby jednak zorientowano się, że chcemy taką dwuznaczną pisownią przekazać coś ogółowi, to wyrzucono by nas oczywiście ze szkoły.

Zapewne pan dyrektor próbowałby za pomocą krzyżowego systemu pytań dociec, czy aby nie jest to cyniczny żart z parlamentarzysty bądź z kuratora oświaty. Chamlet bowiem, tak napisany, wizualizuje się wstrętnie i jednoznacznie. Chamlet nie jest wcale kulturalnym, wykształconym nadwrażliwcem z dobrej skandynawskiej rodziny, nie jest też klasycznym bohaterem literackim. Ów dwuznak na początku każe się domyślić, że to ktoś z naszych. Żarty się więc kończą, a gdy tak się dzieje, do szkoły są wzywani rodzice, przyjeżdża policja z pałami i prokuratorem, dzielnicę obstawiają tajniacy, a minister edukacji wykreśla z kanonu lektur szkolnych np. Szekspira i wpisuje kolejną powieść Wildsteina. Z tego wynika, że dziś lepiej nie żartować. Nikt żartów nie rozumie, żadnego żartu powyżej pasa nikt nie łapie, więc należy być bardzo ostrożnym. Staropolskie powiedzenie „śmiech to zdrowie" przestało być aktualne, śmiech to bowiem kłopoty. I prawica, i lewica czyhają z kajdankami i biczami na człowieka śmiejącego się.

Gdy tak tu gwarzymy, zewsząd słyszymy coraz wulgarniejsze okrzyki, byśmy miast ględzić, chyżo przeszli do bieżączki, a najlepiej do grzybobrania. Każde dziecko usłyszało, że Jarosław Kaczyński zaalarmował ogół groźbą niemieckiego zakazu zbierania grzybów w Polsce. W istocie kampania wyborcza PiS od jej początku mocno trąci ciężkostrawną spożywką. Programem Donalda Tuska dla Polek, Polaków wedle Jarosława Kaczyńskiego, jest hasło „Od robaka do grzyba". Po jakiego grzyba Jarosław Kaczyński tak mówi, mniej więcej wiadomo. Żeby zapobiec zbrodniczym planom D. Tuska, żeby wynieść Polskę na wyżyny bogactwa, mistycznego odlotu po użyciu grzybków, żeby Polska była w centrum globalnej agendy politycznej, by była członkiem G20 i miała bombę atomową. By to osiągnąć, trzeba jeść więcej wieprzowiny i chodzić na grzybki. To wie każdy, i w PiS-ie, i w Konfederacji, czyli lekko licząc połowa tutejszych wyborców żyje w tym przekonaniu. Sumując: wszystko to wiadomo, więc lęk mięsożernego grzybiarza polskiego nie może nam być oryginalnym motywem twórczym.

Jest takim były minister zdrowia p. A. Niedzielski. Wyrzucony właśnie z pracy za zdradę tajemnicy gwarantowanej przez mało w Polsce używany dokument, czyli przez Konstytucję. Oto urzędnik ten, walcząc o swą pozycję na liście kandydatów do parlamentu z ramienia PiS-u, ubiegając się o przychylność Jarosława Kaczyńskiego i kół partyjnych, posłużył się klasycznym pisowskim językiem i metodą, czyli zgodnie z logiką tamtejszego awansu działał wedle norm funkcjonariuszy tej partii, pracując na partyjny sukces. Ale – popatrzmy – zderzył się zupełnie niespodziewanie z niezrozumieniem, a potem z niespodziewaną, ale okrutną karą. Ponoć w kompletnej dezorientacji jeździł tam i siam do głównej kwatery partii, błagając o zmiłowanie. Nic z tego. Jego ministerialna i polityczna kariera upadła, a chciał dobrze. Zapewne dziś, oczywiście nieświadomie, zadaje on sobie pytanie literackie, każdemu bowiem zdarza się mówić prozą, nawet byłemu członkowi rządu M. Morawieckiego: „Być albo nie być...?". To zdanie, jak wiemy ze szkoły, jest początkiem poważnych rozważań nad sensownością działania i zawsze pada w niewesołych okolicznościach. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

FOT. JAROSŁAW TARAŃ, 1968 R.

Co łączy koło gospodyń wiejskich ze Śląska, esperantystów z Białegostoku i polskich himalaistów?

zbioryspoleczne.pl

Poznaj ich historie dzięki pracy archiwistów społecznych!

Dowiedz się więcej na zbioryspoleczne.pl – portalu Centrum Archiwistyki Społecznej

INSTYTUCJE WSPÓŁPROWADZĄCE CAS:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ośrodek Karta

centrum archiwistyki społecznej